

GABANGA

PAWEŁ WASZKIEWICZ

Rozdział I

Geometra

W. posiadał wówczas mieszkanie w pobliżu Ronda Mogiłskiego, w przytulnej kamienicy niedaleko cmentarza. Gdybyście wiedzieli, jak łatwo do tego doszedł! Moim zdaniem facet miał szczęście do wszystkiego, za co się zabrał. Tej przychylności rzeczy i wydarzeń zazdrościłem mu w skrytości ducha, przynajmniej na początku – ale teraz to już nie ma znaczenia. Mieszkanie było przestronne, jasne, z wysokimi oknami osadzonymi w zabytkowej, kamiennej fasadzie z szesnastego wieku.

Nie znam nikogo, kto z taką pasją opowiadałby o Kleinowskim sposobie widzenia geometrii. Jego książka o grupach Weila, opublikowana, gdy miał zaledwie 23 lata, okazała się objawieniem. Wszyscy od dawna na coś takiego czekali. Ja, który właśnie napisałem rozprawę doktorską o rozmaitościach abelowych, czekałem w pierwszym rzędzie ze ściśniętym gardłem, możecie mi wierzyć. Dlatego pękałem z dumy, gdy zaprosił mnie do siebie na kawę i, tak przynajmniej sądziłem, na rozmowę o mojej pierwszej publikacji w *Fundamentach*. Był wtedy na urlopie naukowym – na tych bajecznych, płatnych wakacjach, których się u nas nie przyznaje nikomu – a mimo to zdecydował się, by poświęcić mi swój czas. Kamienicę, w której mieszkał, odnalazłem z trudem. Stała w szpalerze podobnych budynków, docieplonych przed zimą nastroszonymi kłębkami gołębi; podbite pierzem fasady ciągnęły się aż do Rynku i uchodziły pod Wawel.

Po drodze, idąc ulicą Kopernika, byłem odurzony powietrzem. Patrzyłem w migdałowe oczy jesieni: liście klonów skręcały się w pierścienie, na ozdobnych dachówkach kościołów

i szpitali zalegały kopce złota, na nich leżała mgła, zaś ponad mgłą, po niebie, maszerowały granatowe nize, przed którymi stary Kraków bronił się, wylewając przez okna gęstą jak miód elektryczność. No dobrze, przyznaję – zmyślam! Wymyślam! Gdyż prawie nic z tej drogi nie pamiętam, tylko huk w uszach i złoty dywan liści pod nogami – byłem w ekstazie, nie mogłem opanować natłoku wrażeń, i cholernie się bałem jego oceny, choć oficjalne recenzje miałem już za sobą. Każdy, kto chciał nadażyć choćby za częstką świątłych idei W., czuł się tak, jakby biegł za nim pod górę w ortopedycznym bucie.

Ale tego wieczora W. nie był zbyt przystępny – rosły brodacz, dość swobodnie ubrany, stojący boso na jednej nodze (drugą stopę ogrzewał, opierając podszwę na łydce) – sterczał w kuchni i parzył kawę. Pochylił się, delikatnie odmierzył trzy łyżeczki brunatnego proszku, wysypał na sitko, przygniótł, dołał wody, skrzył mechanizm kawiarki, która zginęła w jego dłoniach, wytarł naczynie ściereczką, tak na wszelki wypadek, postawił na płycie i odchylił pokrętko kuchenki piętnaście stopni w prawo. Dopiero gdy rozżarzyła się niewłaściwa część płyty i wyglądało na to, że czeka, aż parowozik z kawą zagwiżdże i przesunie się na właściwe miejsce, stało się dla mnie jasne, że jest – niezwykle, jak na niego! – niebywale roztargniony.

W. nigdy nie był jednym z tych przemądrzałych profesorów-mistrzów świata, który o wszystkim słyszał, wszystko wie i nic go nie potrafi zaskoczyć. Być może dlatego, że nie miał czasu na gierki o władzę. Postawny, barczysty, opanowany, ciemnowłosy, oryginalny, uduchowiony wizjoner. Ja ze swoimi nieśmiały obserwacjami na temat konstrukcji Kummera i ostentacyjną miłością do angielskich monografii! Dzielili nas przepaść. Dlatego wierzcie mi – nic nie mogło mnie przygotować na tak gwałtowne skrócenie dystansu. W., nie odwracając się,

rzekł: — Pawle — czy uwierzyłybyś, że dziś w sklepie zabrakło mi pieniędzy na chleb i mleko? Jego głos był łagodny, ale niezbyt głęboki, sypał się jak drobny piasek na membranę arabskiego bębenka.

Dodał też, że, oczywiście, uniknąłby tej sytuacji, gdyby co pewien czas spojrzął na swoje finanse — ale nie poczuwa się do winy, a nawet więcej: uważa, że to, co się zdarzyło, mieści się całkowicie poza kategorią winy i naturalnie wynika z podejmowanych przezeń decyzji. Jak miałem to rozumieć? Kawa zabulgotała i W. przelał ją do małych, przygotowanych uprzednio, białych filiżanek. Milczałem, starając się wydusić z siebie choćby jedno odpowiednie słowo. Łagodne światło zbliżającego się zmierzchu opakowało przedmioty w miękką kołdrę i każdemu z nich dorzuciło po jednym zdeformowanym cieniu z prawej strony. Gdybym był malarzem, ten widok zapewne nasunąłby mi myśl, że okna na obrazach Vermeera znajdują się zawsze na lewym brzegu płótna. Ale malarzem nie byłem, *ergo* — nic takiego nie pomyślałem.

W. podał kawę i usiadł obok mnie przy stole. Delektował się aromatyczną parą, smolistą esencją z afrykańskich ziaren, miękkim mulem na dnie filiżanki — pił z chciwością nędzarza, tak, jakby świat wokół niego nie istniał. Mówcie, co chcecie, ale dusza ma swoje potrzeby, zwłaszcza — wyobraziłem sobie — dusza tak pojemna jak u W. To może wyda się wam śmieszne, ale zawsze gdy myślę o skomplikowaniu duszy, co też nie zdarza się zbyt często, wyobrażam ją sobie jak włosowaty system naczyń krwionośnych oplatających płuca.

Obserwałem go w ciszy — zwyczajna rzecz, gdyż ani W., ani ja nie należeliśmy do ludzi gadatliwych — i sam z zapalem podnosiłem filiżankę do ust. Jestem uzależniony od kawy. Od kiedy związałem się z uniwersytetem, staram się przynaj-

mniej w połowie czynić zadość definicji Erdösa — tej która głosi, że matematyk jest maszyną, która przerabia kawę na twierdzenia. Więc od kawy musiało się zacząć, to oczywiste. Ale co dalej? Wtedy W. znów mnie zaskoczył. Spytał czy znam François Truffaut, i dodał że ten facet ma zachwycającą osobowość. Spojrzał na mnie uważnie, życzliwie, z b y ł m o j e m i l c z e n i e swoim milczeniem — ach, mało się nie udławiłem — i przytoczył następującą anegdotę: Truffaut siedzi przy niewysokim, okrągłym, kawiarnianym stoliku, pokrytym koronkową serwetą, i sączy espresso z porcelanowego naparstka z uszkiem.

— Skąd pan bierze pomysły do filmów? — pyta głos osoby ukrytej za kamerą. Truffaut odchyła lekko głowę, by zaciągnąć się papierosem i po chwili milczenia rzecze:

— Czterdzieści procent — z gazet, dwadzieścia procent — z literatury pięknej, dwadzieścia — z własnego doświadczenia, kolejne dwadzieścia to zasłyszane opowieści, zaś ostatnie dziesięć to czysta fantazja. Patrzy prosto w kamerę, spokojny, nieobecny, wytworny chłopiec. Zakłada nogę na nogę, niedbale wypychając w obiektyw elegancki nosek buta.

Moim zdaniem były cztery możliwości: W. żartuje, W. próbuje stworzyć swobodną atmosferę, W. zwariował, albo w końcu: niedościgniony umysł W. pracuje, ot, właśnie dowodzi kolejnego twierdzenia, a informacja, która wydostaje się przez człowiecze usta jest fantazją śniącego. Wybrałem pierwszą, drugą i czwartą możliwość, gdyż się nie wykluczały. Poza tym — być wariatem — jakie to naukowo niesatysfakcjonujące! Natychmiast poczułem też impuls wdzięczności dla W., gdyż stawiając siebie w centrum uwagi, pozwolił mi zapomnieć o moim, tak to powiedzmy: zawodowym zdenerwowaniu.

A przecież już wtedy powinienem czuć się zaalarmowany

i dostrzec, że W. interesuje się wszystkim, za wyjątkiem swoich czy moich wyników badań. Jego głos był poważny — należało na to zwrócić baczną uwagę. To, że W. podał 110% źródeł natchnienia F. Truffaut, nie budziło mojego niepokoju: prawdziwi mistrzowie myślą się w najprostszych rachunkach, ale w morderczych obliczeniach — nigdy. Akurat, przez przypadek, widziałem jeden z głośnych filmów francuskiego reżysera, ale my, szeregowi matematycy, nie mamy czasu na roztrwonienie, tak to przynajmniej widzę. Aby do czegoś dojść, musimy ciężko pracować, a wtedy każda inna rzeczywistość oddala się, rzeczy dzieją się za pergaminowym parawanem. Po to bierzemy sobie za żony polonistki, religioznawczynie, historyczki, a nawet archiwistki, archeolożki czy geografki, by przywracały nam wzrok na niektóre ważne sprawy humanistyki, cywilizując swoich troglodytów, czy coś w tym rodzaju — z pewnością są to najważniejsze ze spraw marginalnych.

Klucz do zdarzeń tego wieczora odnalazłem znacznie, znacznie później, gdy przestałem przejmować się sobą, gdy skończyłem z okazywaniem szacunku, jaki należy się profesorowi od młodszego kolegi. To stało się mniej więcej wtedy, kiedy pokochałem tego faceta. Moja żona Renata stwierdziła, i podkreśliła to dobitnie podczas przesłuchania pojednawczego, że dostałem szajby, że o niczym innym nie mówiłem, tylko o W., u W. i z W. — a W. to, a W. tamto, W. myśli to, tamto robi W., i tak dalej. A ja naprawdę z dnia na dzień stałem się jego prawą ręką, powiernikiem, słuchaczem, czytelnikiem notatek, szkiców, weryfikatorem planów, zaufanym doradcą, opiekunem i menadżerem. Ja — okular wizjonera! Flogistron dla jego płomienia!

Ale od początku. Pora już bym wskazał na pewien szczególny rys usposobienia W., który nie jest bez znaczenia dla mojej dalszej opowieści. Otóż W. systematycznie wpadał w stan cał-

kowitej niemożności niezachwycania się życiem. Oczywiście taki stan przytrafia się najłatwiej osobom, których życie tożsame jest z pewnym procesem na brzegu wnętrza i zewnątrz, na granicy prawej strony i podszewki, a nie ma wiele wspólnego z wyścigiem lub polowaniem, dywersyfikacją portfela, dążeniem do... , inwestowaniem w... , odcinaniem kuponów, itp. Innymi słowy W. potrafił wejść do tej samej rzeki dwukrotnie. Dar ten wynikał częściowo z jego niezwyklej skrupulatności i cierpliwości, a częściowo z odpowiednich doświadczeń, z wolna nabierających ciężaru, zbieranych jak ziarnka maku w korzec. Z początku, gdy W. jeszcze wykładał na uniwersytecie, sprawa wyglądała niewinnie. Każdy, kto przeżył radość tworzenia — jak ten, kto dysponując skąpymi środkami, wybudował dom, lub ten, kto wstał od biurka z nowym rękopisem, a choćby nawet i ten, któremu nocą wzeszła rzeżucha na bibule — zna doskonale tę gwałtowną powódź dumy i niedowierzania, przelewającą się gdzieś pomiędzy żołądkiem a klatką piersiową. I gdy zdarzało się, że ażurowa kombinacja prostych i łuków rozwiązywała złożony problem konstrukcyjny, W. poddawał się obezwładniającemu nurtowi. Ulegał... na ułamek sekundy. Potem, w kolejnej chwili — i tu tkwi tajemnica i największa trudność tej sztuki — odsuwał od siebie wszystkie myśli dotyczące odkrycia. Jak dokładnie się to odbywało — nie wiadomo. W każdym razie W. zamykał grodzie swych myśli i szedł na przechadzkę. Albo parzył kawę. Albo czytał wiersze. Albo sprzątał — zdmuchiwał kurz z książek i zmywał naczynia. I znów czytał, spał, posilał się, dzwonił i odbierał telefony, szedł do pracy, prowadził wykład, spóźniał się na dyżur, odpowiadał na pytania studentów... a wszystko wokół — siłą gwałtownie odsuniętej od siebie radości — wydawało mu się piękne, uwodzicielskie, z a c h w y c a j ą c e. Świat organizo-

wał się wokół niego w łagodnych strukturach, a W. z wielkiego oddalenia przyglądał się światu. — Oto rozdarcie w szczelnej kurtynie niewiedzy. — mówił do siebie, powoli szykując się do skoku w rwący nurt. Dla pewności zamykał oczy i szeptał: — Być może to jest coś, czego nigdy nie zdołam w pełni pojąć, nawet gdybym to badał całe życie. I już. Powódź oszołomienia zalewała W. po raz wtóry.

W. pracował systematycznie i równie systematycznie trwał w stanach wzlotów i oczarowań. Sytuacja taka była dlań ze wszech miar korzystna. Przez swą żarliwość, popartą kilkunastoma solidnymi publikacjami, W. zaskarbił sobie przyjaźń starego profesora Z., który w poczynaniach W. odnalazł obraz swej własnej młodości i pierwszych sukcesów. Jeszcze większą korzyść przyniosło to, że W. wzbudził jadowitą zawiść paru słabszych kolegów, tych nieszczęsnych bałwanów, którzy co dnia ściągali go w banalność, w klasyfikację, w powagę należną uczonym, w panikę przed autorytetem, w zatwardzenie administracyjne, w zakalec, jednym słowem: w r o b i e n i e nauki. Teraz dawali mu odetchnąć. Gdy W. otrzymał stypendium rządu brytyjskiego, ich zawiść stężała w brudną, lodowatą uprzejmość; jej mroźne manifestacje nie zdołały jednak dosięgnąć W., który wkrótce wyjechał na staż do Londynu. (Z czystym sercem należy dodać, że W. nie był świadomy fermentu wokół swojej osoby. Uprzejmość, nawet tę zatrutą, brał za uprzejmość, życzliwość, nawet tę skonstruowaną, za życzliwość. Był naiwny. Był niewinny.)

O, Londynie! O, miasto, które może wyrazić jedynie wołacz! O, Nowy Jorku Europy! O, tygłu narodów, kotle ras, sierocińcu świata! I ty, mgło nad Tamizą w niedzielny poranek! I wy, wysokie okna bibliotek! Bruku ulicy, po której kroczyli Keats i Blake! Minutowa wskazówko Big Bena, na której Halley usta-

wiał ostrość pierwszego dzieciennego teleskopu... O, tajemnicza substancjo, która sprawiasz, że w tym cudownym mieście wdycha się i smakuje nieskrępowaną wolność! Gdzie się ukrywasz? Czy wśród wytrawnych i cierpkich jak gęsia skóra samego szatana pikli *Branston*, czy w lepkiej słodczy *Tiptree Tawny Orange Marmalade*? Czy wśród dzieci swobodnie tarzających się po posadzce Tate Modern? A może w czułym zetknięciu dłoni dwóch mężczyzn kontemplujących tafle obscenicznych dzieł Gilberta i George'a? Czy też w śmiałości, z jaką orientalne oczy kobiet błyszczą spod kwefów?

Wykuty na uczonego w bibliotece małego miasteczka, do której dojeżdżał, przez błoto, dziesięć kilometrów rowerem, wyniesiony do wielkości w niewielkim pokoju z widokiem na malwy i brzozowy zagajnik, t e g o W. nie wiedział.

Nie wiedział, lecz przecież jakiś wir porwał go i targał nim jak trzcina na wietrze. Jedno było pewne: W. bez wstępnych negocjacji wskoczył w k u l t u r ę z a c h o d n i ą, choć jako „umysł ścisły” spostrzec tego, na Boga, nie umiał. Wszakże umysł ścisły w swej istocie zwartej i sztywnej od pojęć niewyraźnie określonych stroni jak islam od demokracji. Jakże objąć kulturę, skoro jej sztywno objąć się nie da? Wiedźcie, że Matematyk Współczesny z dumą wyznaje zasadę: jeśli coś nie poddaje się precyzyjnej definicji, to najpewniej nie istnieje. Słowo „najpewniej” otwiera malutką furtkę, lecz Matematyk korzysta z niej tylko w ostateczności. I dlatego W. nie dostrzegał, że przenika go obcy duch i że zmienia się jego sposób bycia. Już na początku stażu wydał całą miesięczną pensję na bilety do filharmonii — na cały nadchodzący sezon koncertowy. Zdobył też, nie dbając o trudy i koszty, oryginał *Gesammelte mathematische Abhandlung*, naszej Świętej Księgi wydanej w 1921 roku w Berlinie przez Juliusa Springera (tego samego, którego

potomkowie ściągają z nas dzisiaj żywcem skórę) i odtąd się z nią nie rozstawał. Ze spacerów i z żarłocznej lektury urodziły się idee, które urosły w cykl wykładów, będących — jak się później okazało — szczytowym osiągnięciem jego krótkotrwałej lecz zachwycającej kariery naukowej. Wykłady owe, spisywane na przestronnym dziedzińcu The Courtauld Institute, przesłane w szarej kopercie do Krakowa, wzbudziły zamęt na Wydziale; stary profesor Z. niezwłocznie odesłał rekomendację: „Znakomite. Publikuj. Natychmiast.” Recenzenci angielscy również nie szczędzili pochwał a korekty nie trwały długo — wkrótce W. stał się autorem swej monumentalnej monografii. Wydanie polskie, które ukazało się z niewielkim opóźnieniem, opatrzył wstępem sam Z. Oto końcówka tego pełnego szacunku tekstu:

W mojej *Geometrii pogładowej* usiłowałem zwracać się ku bezpośrednim wyobrażeniom przestrzennym; tutaj zaś okaże się, jak wiele pojęć tam stosowanych można tak uogólnić i sprecyzować, aby się stały podstawą nowej zamkniętej w sobie teorii. Żywa intuicja i tu jednak zachowuje swoją wartość kierowniczą, dając piękny przykład harmonii między intuicją i myślą.

Kubistyczny podpis staruszka, przywodzący na myśl akt schodzący po schodach, skopiowano i umieszczono pod tekstem.

Kiedy powiedziałem: „wykłady W. wzbudziły zamęt na Wydziale”, oszczędziłem wam szczegółów rzezi, której W. był nieświadomym sprawcą. Niektórzy docenci, brzemienienni niedonożoną habilitacją, pękali jak krwawe bańki mydlane, bryzgając żółcią i pianą. Cóż, może przesadzam, ale ludzie naprawdę tracili dorobek życia, gdyż W. za jednym zamachem rozwiązał wiele problemów, nad którymi siedzieliśmy dniami i nocami,

pracując pełną parą, bez wytchnienia. Och, gdzież tam rozwiązał! — zszedł jak nawałnica w ciemnościach nocy, grzebiąc nasze drobne plony. Co gorsza, zrobił to bez wysiłku, z wdziękiem lekkoatlety biorącego przeszkodę. Ale gdy wszyscy tarzali się w popiele, ja w domowym zaciszu płakałem z radości, gdyż jego wyniki potwierdziły moje hipotezy dotyczące modeli Zemana; poza tym byłem przecież świeżutkim — pączek w maselku — doktorem. W głębi duszy wiedziałem, że mam jeszcze dość czasu, by z resztek ze stołu W. urządzić sobie lukullusową ucztę.

Teraz łatwo wam będzie zrozumieć jak byłem rozgorączkowany i szczęśliwy, gdy pod koniec października W. zaprosił mnie do siebie. Pamiętacie? Wydawało się, że tego wieczora będę się grzał w blasku jego uwagi, ale tak się nie stało — nie zamieniliśmy słowa ani o mojej pracy, ani o matematyce w ogóle. Ale — ach! nawet nie miałem mu tego za złe. Zachłystywał się osobowością François Truffaut, a ja mu wybaczyłem. Przecież był geniuszem. Dla mnie, który doświadczam natchnień, by tak rzec, drugoligowych, matowych i przeterminowanych, pewne obszary myśli mogą być niedostępne — akceptuję to, tak jak akceptuje się niezawinione kalectwo. I dlatego postanowiłem cierpliwie zaczekać na ten nieuchronny moment, gdy królowa nauk wezwie nas przed swoje oblicze. Tyle, że wtedy jeszcze nie wiedziałem, co się zdarzyło w Londynie.

*

Jakże zdradliwe jest życie! — gdy tylko W. odebrał swoją książkę — w paczce, w kilkunastu kopiach, w budzącej zaufanie, obiektywnie granatowej oprawie i pięknie pachnącym drukiem — poczuł nie radość, a znużenie. Tak jakby dni, w których zatrzymywałem się w pracy, by nacieszyć się pieśczętą odkry-

cia, miały zrodzić – zgodnie z jakąś nieokreśloną zasadą zachowania energii – dni szpetoty i smutku. Na szczęście wskutek niedawnych ćwiczeń wpadł już w nałóg dobrego samopoczucia i nie przejął się nagłym spadkiem formy. Postanowił dłużej odpocząć! I wreszcie z o b a c z y ć Londyn!

Pierwszą rzeczą, którą ujrzał nazajutrz było przezroczyste pleksiglasowe pudło zwisające około 10 metrów ponad brzegiem Tamizy. Wewnątrz pudła niemrawo gimnastykował się człowiek o wyglądzie Araba. Zadałem sobie trud, by sprawdzić pewne fakty. Człowiek ten nazywał się David Blaine. W swojej klatce zawieszanej na dźwigu spędził 44 dni. Pościł. Poświęcono mu nie mniej niż 1551 artykułów w brytyjskiej prasie. Nie mniej niż 800 razy w klatkę trafiły niewymyślne pociski: kebaby, banany, jaja, pomidory, kalafiory, butelki, puszki i piłki golfowe. Nie mniej niż 8 kobiet obnażyło pod klatką swój biust (aby podnieść głodującego na duchu) i nie mniej niż 88 mężczyzn obnażyło swe pośladki (aby go obrazić). Magia liczb. Hindus, który otworzył w najbliższym sąsiedztwie budę z pieczonymi kurczakami, zbił fortunę żywiąc koczujący tłum. (Słodki zapach curry unosi się w powietrzu.) Doskonale sprzedawały się długopisy z laserowym promieniem, którym można było od dołu porazić Blaine’a w oko.

Publiczoność tej ascezy. . . Było, niestety, tak, jakby ktoś siadł za fortepianem i nie zagrał ani jednego dźwięku. Napięcie, owszem, piękne, ale marnotrawstwo – nie do zniesienia.

Tak przynajmniej pomyślał W. i, jak wszyscy, po kilku dniach przyzwyczał się do wiszącego nad miastem akwarium. Chodził starymi ścieżkami, poruszany pamięcią mięśni, i nareszcie w i d z i a ł. Odkrył wyrafinowane zbiory The Courtauld Institute. Zamyślane spojrzenie barmanki z Folies-Bergère, szkice tancerek Degasa, który rysował jak sam diabeł.

Księgarnia Foyles. W. wszedł do środka, ale nadal nie wierzył, że to miejsce istnieje: kilometry wypełnionych książkami półek, miękkie dywany, wiktoriańskie sofy, zapach mielonej kawy, wodospad na czwartym piętrze, tuż przy dziale filozofii.

W końcu — kawiarnie. Z racjonalnego punktu widzenia przesiadywanie w kawiarniach nie ma przyszłości, podobnie jak rozwiązywanie krzyżówek, struganie ołówków czy kupowanie dwulatkom ubrań na miarę. W kawiarniach trudno o skupienie, zewsząd ludzie, muzyka — wręcz wypada się gapić — za oknem pochody, bujność, piana, bąble, roje, gejzery, głębie, labirynt spraw połączonych, gargantuiczne płuca metropolii. Powiem to niezwykle ostrożnie: wydaje się, że w tych dniach W. z r o z u m i a ł do czego służą kawiarnie. Niczego nie można być pewnym, lecz on robił to, co trzeba: pił gorącą czekoladę, tracił czas, śledził wzrokiem kobiety. . .

Tydzień przed planowanym powrotem do pracy poszedł na wystawę obrazów Renoira — teraz już pamiętał nazwisko, wcześniej kojarzyło mu się z czymś szarym i ciemnym — na wielką retrospektywną wystawę w National Gallery. Tym chętnych czekał pod wejściem do muzeum. W. stanął w kolejce za żywo dyskutującą parą Amerykanów. On — rosły jak Wiking, otyły, w luźnej koszuli i w butach pochlapanych farbą; ona hojna w swej kobiecości, w typie podróżnym, ściśle opasana taśmą chlebaka. Kolejka posuwała się powoli i zanosilo się na dłuższe oczekiwanie. (Przekonywała o tym tabliczka z napisem:

Due to safety regulations a limited number of visitors is allowed in the museum. The maximum number has now been reached. From this point the waiting time is approximately 30 minutes.)

W. żałował, że nie ma ze sobą walkmana, gdyż Wiking przemawiał z wielką pewnością siebie; starał się uciec od tego głosu, ale było to niemożliwe.

W końcu wkroczyli do sal z ekspozycją. W aksamitnym półmroku żarzyły się szmaragdowe pejzaże. Zdawało się, że płótna pokrywa czysta esencja świetlna. Farby położone ponad sto lat temu migotały jak drogocenny kruszec.

I wtedy W. poczuł delikatne ukłucie i falę mdłości, a potem oczy spowila mu purpurowa mgła. Rudowłosy i cuchnący potem Wiking, ów tłusty wieprz, który uprzykrzył mu czas spędzony w kolejce, rozparł się przed ukwieconym ogrodem jak w chlewie przed korytem, i żarł. Żarł zachłannie: połykał subtelną materię, nie ruszając się ani na piędź przed napierającym tłumem. W. mógłby rzucić się teraz w przód i wykluć mu oczy, ale stał tylko – stał udręczony, a grube krople potu formowały mu się na czole. Odwrócił się z trudem i odszedł do następnej sali, a potem jeszcze do innej, gdzie umieszczono resztę kolekcji i gdzie nie było już tylu ludzi. W. wiedział czym są barwy: czerwona to fala elektromagnetyczna o długości od 630 do około 780 nanometrów, najniższa widzialna, sąsiadka tych fal, które już są czystym ciepłem, zielona to... itd. itp. Ta wiedza nic tu nie wyjaśniała. Renoir? Czy tak nazywał się artysta? Musiał, tak, musiał biegle czerpać z innego, potężnego źródła, lecz cóż mogło równać się z potęgą nauki, z podstawą unifikującą i wyjaśniającą rzeczywistość tak doskonale i co do ułamka, ze ścierającym na proch wszelką wątpliwość profetyzmem ogólnej teorii względności, z potężnymi archikatedrami geometrii stawianymi na ziarnkach piasku, z szalem pęku prostych znikających w nieskończoności...? Skurcz, który ścisnął mu skronie, nagle zelżał. W. zatoczył się, wzruszony, wśród tych cudownych ogrodów, w roju korpuskuł, które Renoir cisnął mu w oczy, mógłby podejść i przytulić tamtą dziewczynę, albo nawet wrócić i uściskać otyłego Wikinga, którego donośny głos niósł się od sali do sali, cóż, ten człowiek nie zasługiwał

na tak skromną i cichą współtowarzyszkę.

Wieczorem w Ray's Jazz Café na piętrze Foyles W. po raz pierwszy uświadomił sobie, że coś mu się stało. Teraz nie było już wątpliwości: przyszło chyłkiem, jak ból gardła, który zauważył się dopiero wtedy, gdy nie można swobodnie przełykać. Wydawało się być echem tamtego znużenia, które W. czuł ściskając w dłoniach swą właśnie co wydrukowaną książkę, ale... nie, nie był zmęczony. Raczej zatrzymany w pół drogi, zaskoczony, trochę tak, jakby uczestniczył w koncercie, który niespodziewanie przerwano, a muzycy skłonili się i wyszli bez słowa.

Po upływie kolejnych dni W. doszedł do wniosku, że było coś innego w sposobie, w jaki teraz patrzył. Jego spojrzenie nie ślizgało się już lekko po powierzchni. Miało swoją wagę: dotykało i rzeczy na zawsze traciły swą niewinność. Nawet ludzie, na których zatrzymywał wzrok, zaczęli zwracać na niego uwagę — bez przesadnej życzliwości, ale też i bez wrogości — w każdym razie akcja wyzwała reakcję.

To było ciekawsze i zabawniejsze niż dawniej: trafnie nazywać trajektorię poruszającej się łyżeczki podanej z rąk do rąk, wyprzedzać o krok przyczynowo-skutkowy ciąg zdarzeń, widzieć praktyczny efekt praw fizyki: stygnięcie cieczy, rozpad struktury krystalicznej cukru — z obiektywnym chłodem przyjąć cały ten fantastyczny wybuch faktów — i jednocześnie ujrzeć to w jednym błysku, przymrużyć oczy i dać się zaskoczyć, z a d r ż e ć na myśl o tym, że kolejny słój odłożył się wokół rdzenia rzeczywistości.

Ileż sprzyjających okoliczności złożyło się na to, by jeden człowiek, nic nie znaczący wśród milionów innych, rozpoznał w sobie drugą, dotąd głęboko skrytą naturę! Weszły w romans: oschłość z wrażliwością na szczegół, pedanteria z zamiłowa-

niem do spacerów, sztuczne konstrukcje z naturalną intuicją, wybiórcza wiedza z naiwną wiarą, samotność z magnetyzmem sztuki, i w końcu wolność, ukończona praca, kawiarnie i absurd dyndającego akwarium nad tym wszystkim.

Och, nie musiał już uciekać się do dawnych sposobów, by doznać wzruszeń! Wystarczało się rozejrzeć. W. pławił się w rozkosznym chaosie miasta, porywany przez te głębie i wiry, którym się do tej pory tylko przyglądał przez niewielkie uzbrojone oko w pancerzu racjonalności.

Dlatego, gdy którejs nocy wrócił do domu, zapalił nocną lampkę przy łóżku i po raz pierwszy od dłuższego czasu wziął w dłoń swoją książkę, znów ogarnęło go to samo... znużenie? zniechęcenie? Nie. Teraz W. potrafił już nazwać rzecz po imieniu.

Czuł wstęt.

Więc to ma być t o — jego myśl w formie skondensowanej, drukowanej, obiektywnej? — W. z pogardą przerzucał stronę za stroną. Powoli docierała do niego niezwykła prawda: zatarł za sobą wszystkie ślady, zostawiając jedynie tę żalosalną notę s a m o b ó j s t w a s w e j i n d y w i d u a l n o ś c i. Gdy t o pisał, musiał być obłąkany — wyciął z tekstu każdy ślad wahania, czasowości, wzruszenia, poddania się nastrojowi chwili! W imię czego? Obiektywności? Jasności wykładu?

Obiektywność nie istniała, gdyż teorie wznosili ludzie — z natury rzeczy ułomni w swej mocy postrzegania.

Pewna wiedza nie istniała, gdyż ci sami ludzie potrafili to obiektywnie udowodnić.

Siedział na łóżku, przytłoczony i cichy, z pustką w głowie. Podbródek mocno oparł na piersi aż ostre igielki zarostu wbiły mu się w obojczyk. Przyglądał się spode łba swym ciężkim dłoniom: najwyraźniej stworzone do fizycznej pracy, a używa-

ne by wykonywać solo baletowe nad klawiaturą lub podpierać grafitowy słupek ołówka nad kartką papieru, jakież marnotrawstwo!

Światło lampy czule podtrzymywało barki W. i jego złamane plecy; kładło się zdziczałym, kudłatym cieniem na przeciwległą ścianę. Obraz projekcji drżał lekko, gdy fala złości i żalu spłynęła na W. — Ach, dosyć... dość już tego! — wybuchnął gorzko i podniósł swą książkę do oczu — Diabli cię...! — syknął i z całych sił cisnął nią przed siebie. Zafurkotało w powietrzu. Ściana pędziła naprzeciw książce, trwoga wdarła się między kartki, twarda oprawa huknęła o mur i zanim W. opuścił ręce, książka w rozerwanych okładkach leżała już na ziemi jak ptak z przetrąconym skrzydłem.

*

Wiadomość o śmierci starego Z. była dla W. ciosem. Za jednym zamachem stracił i przyjaciela, i jedyne pewnego czytelnika, i „naukowego ojca”. W drzewie genealogicznym, które rozpoczął sam Felix Klein, Z. — można rzec metaforycznie — wyrastał niewielką gałęzią w drzewnej koronie, zaś W. zaznaczył się cienkim, zielonym pędem u jej końca. Teraz ta relacja ustaliła się raz na zawsze i nic już więcej nie mogło się zdarzyć. Sprawa zresztą miała przebieg fatalny. Wszystko wskazywało na to, że Z., będąc w pracy, przewrócił na siebie masywny, dębowy regał i skonał pod jego ciężarem przysypany stosem książek. Przebieg zdarzeń, znany głównie z relacji portierów, był jednak trudny do ustalenia. Jak na tak „oczywisty” przypadek (lecz która śmierć jest oczywista?), wiele było w nim luk i nieścisłości.

— Szłam właśnie po schodach na piętro, zamknąć okna w sali wykładowej, gdy usłyszałam krzyk i przekleństwa — Maria

spojrzała na śledczego, drżącymi rękami zapalając papierosa — ...cała ścierpłam! chwyciłam się poręczy i nie mogłam się ruszyć. A tam ktoś bluźnił — zastygła na chwilę — pierwszy raz słyszałam by ktoś tak bluźnił panu Bogu, aż mnie zatkało! Wtedy usłyszałam jakby lawinę i huk, a głos... jak nożem uciał, to pobiegłam od razu po Andrzeja, bo sama... za nic w świecie, tak się bałam, i tylko u pana profesora Z. paliło się światło... więc zapukaliśmy... spytać, czy czego nie słyszał. Nic... pan profesor nie otworzył, więc Andrzej pchnął drzwi i wtedy... krzyknęłam! tylko widziałam nogi, książki na kupie, i deski... i szkło... i rozbitą lampę... — rozplakała się, miazdząc papierosa w popielnicze.

W tym wypadku zeznania naocznych świadków tylko utrudniły ustalenie faktów — po pierwsze stary Z. był wzorem kultury osobistej — wydawało się niemożliwe, by ubliżał komukolwiek, a co dopiero Bogu, w którego nie wierzył. Po drugie, oględziny lekarza wykazały, że śmierć nastąpiła wskutek uderzenia ciężkim przedmiotem w skroń; zaraz też ustalono, że był to rocznik 1973 czasopisma *The Aesthetics of Spatial Reasoning*, który znaleziono tuż przy zwłokach. Jeśli więc Z. wszedł na drabinkę, by sięgnąć najwyższej półki, potem poślizgnął się i chwycił za regał, to jakże mógł znaleźć się na drodze spadającego tomiszcza, które — zgodnie z prawami fizyki — powinno sfrunąć po łuku i upaść dwa metry dalej? Rekonstrukcja zdarzeń sugerowała tylko jedno wyjaśnienie, które nie zakładało uczestnictwa innych osób w incydencie: profesor Z. zdenerwował się, w ekscytacji pchnął (czy szarpnął do siebie?) regał, z którego spadły nań ciężkie książki; potem runęły też półki i przygniotły umierające ciało. Ci, którzy znali Z., jednogłośnie odrzucili to wyjaśnienie jako absurdalne (lecz która śmierć nie jest absurdalna?).

Przesłuchania i dalsze ustalenia trwały kilka dni. Dzięki temu W. zdążył przylecieć do Krakowa, by wziąć udział w pogrzebie. Sam zresztą musiał odpowiedzieć na kilka pytań, co wydało mu się niestosowne i dziwaczne, ale nie protestował. Paradoksalnie to smutne wydarzenie wróciło mu spokój. Po ceremonii pogrzebowej podszedł do niego miły człowiek i wyjaśnił, że jest – to znaczy: nadal jest – adwokatem profesora Z., i że ma zaszczyt wykonywać jego ostatnią wolę. Krępy, wylupiasty, w kołnierzyku dusznym i z przedziałkiem – wzbudzał zaufanie.

– Proszę, by pan udał się za mną do kancelarii, tu niedaleko na Rakowickiej – adwokat skłonił się lekko i wskazał drogę. Utykał. Idąc u boku W., sapał rytmicznie jak prototyp maszyny parowej Watta i co kilkadziesiąt kroków przystawał z przepraszającym uśmiechem, by przytknąć do czoła bawełnianą chustkę. Kancelaria okazała się pokojem niezwykle skromnym, wysoko sklepionym, obitym w welur, z oknem, z ławą przykrytą wrzosowym sukniem i ze złotymi gałkami u drzwi. W znajomej przestrzeni adwokat ożywił się – wspinając się na palce, odwiesił na wieszak szary, skrojony po angielsku płaszcz i wskazał W. krzesło. Sam z ulgą zajął miejsce po drugiej stronie ławy i odetchnął ukontentowany. Utkwił w W. ciepłe lecz przenikliwe spojrzenie wylupiastych oczu.

– Panie Witoldzie – zaczął bez mrugnięcia – jak panu wiadomo, profesor Z. był człowiekiem samotnym. Rodzice Z., mieszkańcy krakowscy, zmarli jeszcze przed pana urodzeniem, zaś Z. – chrząknął i na chwilę otwartą dłonią zakrył usta – nigdy się nie ożenił. Będąc człowiekiem niezwykle małych potrzeb, nie powiększył majątku rodziców, ale też nie sprzeniewierzył go. Jednym słowem – adwokat gestem drugiej ręki powstrzymał pytanie W., chrząknął jeszcze cicho i uspokoił organizm

— Z. pozostawił po sobie — można rzec — niewiele śladów, za wyjątkiem imponującej spuścizny naukowej, rzecz jasna! Nie miał rodzeństwa, ani bliższej rodziny, dlatego rok temu wezwał mnie i zdecydował, to jest: zdecydowaliśmy — adwokat uśmiechnął się, delektując się zaskoczeniem, jakie wywoływały jego słowa — że w wypadku zgonu jego mieszkanie i niewielka działka pod miastem przejdą w pańskie ręce. Jak pan widzi, profesor Z., choć nigdy nie potrafił wprost okazywać swych uczuć, pokochał pana jak syna. Proszę jeszcze o szczyptę cierpliwości, pozwolę sobie wyjaśnić szczegóły... — adwokat pochylił się do przodu i mówił z ożywieniem, a słońce wtargnęło przez wysokie okno kancelarii i odkryło w przygaszonym dotąd powietrzu romby i trójkąty, w których tańczył kurz.

Śledztwo w sprawie śmierci Z. trwało bez pośpiechu kilka tygodni, a potem umorzono je z braku dowodów. „Nieszczęśliwy wypadek” — tak brzmiał końcowy wniosek; raz wypowiedziany i powtarzany z ust do ust osiadł spokojnie w umysłach, z czasem zmieniając się w pewność, w prawdę o świecie, ba, ta myśl podszyła się jakąś przytulnością i ciepłem, które miało dar uspokajania ludzi, gdy doświadczali drobnych nieszczęść. „W porównaniu z profesorem...” — mamrotał niejeden, wywinawszy się z potrzasku. A gdy poczęto żartować: „Nie pracuj tyle, bo cię ta wiedza w końcu przygniecie”, stało się jasne, że stary Z. odszedł na dobre.

Nie było więc przeszkód formalnych, by W. stał się właścicielem dużego lokalu w zabytkowej kamienicy; kamienica stała w rzędzie podobnych sobie, naprzeciw niemal lustrzanego pochodłu domów po drugiej stronie ślepej, brukowanej uliczki; uliczka ta odchodziła pod dziwnym kątem od ulicy Bandurskiego i była na tyle wąska, by każdy, kto tam trafił,

mógł później przysiąc, że okalały ją niezwykle wysokie i masywne budynki. W rzeczywistości były to zwykłe czynszówki, niczym nie różniące się od tych na Kanoniczej czy Poselskiej, jedynie mocniej ściśnięte i jakby nachylone ku sobie powyżej pierwszej linii okien. Ta szczególna bliskość zabudowy sprawiała, że życie ulicy kwitło warstwami: na poziomie bruku, piętra i poddasza.

Do kamienicy wchodziło się przez kutą żelazną furkę zwieńczoną kamiennym łukiem. Za nią otwierał się wewnętrzny dziedziniec, zaślepiiony ogrodem i niewielką kawiarnią, w której oprócz tytułowej kawy podawano też wino i likiery. Szerokie schody, prowadzące na piętro, zaczynały się z lewej strony i – jak natychmiast zauważył W. – biegły po spirali Archimedesesa, odwracając na górze wszystkie kierunki: lewo ruszało w prawo, prawo na lewo, zaś tył cofał się, by weprzeć przód w przód. Schody liczyły 17 stopni, a siedemnastka była ulubioną przez W. liczbą pierwszą, ale to akurat – trzeba uczciwie przyznać – nikomu nie rzucało się w oczy. Wzrok przyciągały ozdobne balustrady i wystające z bielonej ściany baranie rogi, które przy bliższej inspekcji przeistaczały się w imponujące okazy amonitów kredowych.

Na piętrze po raz pierwszy przydawał się klucz. Otwierał wejście do całkiem sporej antresoli, gdzie mieścił się fortepian i kilka donic z egzotycznymi i, by tak rzec, niewystarczająco oswojonymi roślinami. Było to miejsce „niczyje”: nie należało ani do lokalu Towarzystwa Bibliotekarzy Polskich, ani do położonego na drugim krańcu antresoli mieszkania profesora Z.

Nie własność, nie oranżeria i nie sala koncertowa – antresola pełniła wszakże ważną rolę. Była ostatnią stacją przed wejściem na luksusowe poddasze, do dwóch wysokich apartamentów, w niczym nie przypominających dawnych szcurzych

strychów, gdzie gnieździli się cyganie, artyści i świerszcze.

I na tej stacji zwykle kończył swą drogę do domu lokator wysokiego piętra, Achille Onamalas, Grek z urodzenia, który był – jeśli można tak powiedzieć – przyzwoitym pijakiem. Achille nie rzucał się w oczy, nie brudził i nie hałasował, tylko że cuchnął octem jabłkowym. Zwykle nie umiał pokonać kolejnych siedemnastu stopni dzielących go od drugiego piętra, więc zawijał się w brezentowy pokrowiec od fortepianu i spał w cieniu zdziczałej cytryny. Jego pies Boreasz – mieszańiec do złudzenia przypominający niski stołek od fortepianu – rozciągał się wtedy wzdłuż klawiatury czarnego Steinwaya i pilnował swego pana.

A jednak Achille zawsze docierał do swojego mieszkania. Zawdzięczał to cichej ofierze swoich najbliższych sąsiadek. Siostry Suchetyнки zajmowały ostatnie z mieszkań na poddaszu. Co noc, wracając z wieczornego nabożeństwa, mniszki pochylały się nad nieprzytomnym Grekiem, odwijały go z brezentu i – zaczynając litanie do Najświętszego Serca Jezusowego – wciągały po schodach, po jednym stopniu na każde *kyrie elejson*. Modląc się żarliwie, rozbierały go na łóżku, obmywały ciepłą wodą i werbeną, suszyły, czesały... Potem rozczesywały też sierść psa i karmiły obu – człowieka i zwierzę – chlebem, oliwkami i rybą.

Co tydzień zakonnice prały ubrania Greka i sprzątały pokoje, choć mieszkanie Achillesa, nieużywane, nie wymagało żadnej troski. Gdy trzeźwiał, uczyły go modlitw i porządku katolickiej mszy, co przyjmował z pokorą człowieka dopiero co zmartwychwstałego.

Grek był krzyżem, który Suchetyнки dźwigały krocząc prostą drogą ku świętości.

W., który po pogrzebie i spotkaniu z adwokatem znów wyjechał do Anglii, długo wahał się, czy wrócić do kraju. Jakże głęboko wżarł się weń Londyn! Ruch na ziemi i w niebie, nagle, ciepłe deszcze, leniwe kłęby mgły nad Tamizą — już wplotły się w jego dni; herbata z imbirem — five o'clock, miętówki — after eight; kino — wyłącznie w oryginale. Lecz w Polsce Święta, choinka, dom rodziców pod lasem, wypukłe, sine grzbiety pól porośnięte sierścią traw, błotne dymienice kretowisk — i brzezina, szorstka brzezina, staropolska brzezina — tam herbata, Renoir, Tower, tu brzezina odwieczna, polska — five o'clock, ale przeciw temu brzezina, brzozy, brzożki, kilometry pól, ludzie zwyczajni, swoi, szarzy, kochani, bliscy; rodzice, Święta, spokój, rosół z makaronem, głośny zegar w pustej sypialni, Bóg Ojciec u Franciszkanów.

A także mieszkanie po Z. — czekał na niego hojny, wzruszający prezent od starego człowieka, który rozumiał czym jest samotność. Czy mógłby po prostu wynająć pokoje i co miesiąc notować wpływy na swoim koncie? Sama myśl wydała mu się odrażająca — i to przeważyło. Gdy tylko skończył się staż, nie szukał dalszego zatrudnienia za granicą, lecz wrócił do Krakowa.

Ponieważ wszystko co posiadał mieściło się w plecaku, wkraczając do mieszkania Z. jednocześnie rozpoczął i zakończył przeprowadzkę — jakże świetny początek! Lecz nie jestem pewien, czy przewidział, że w ciągu tej jednej sekundy, gdy przeprował przez próg, jego dobytek zwiększy się stukrotnie (na pierwszy rzut oka), nie, raczej pięciusetkrotnie (ogromna biblioteka!), a może...? Było tego jeszcze więcej, ale o tym później.

Prawdę mówiąc, ledwie W. odczuł ową obfitość, „zamroził” swoje dla niej zainteresowanie (bojąc się skutków rozproszenia

uwagi), zainstalował się w sypialni z najjaśniejszym oknem, wydeptał ścieżkę do kuchni i toalety, pozachwycił się trochę zabytkowym urokiem kamienicy, co wyglądało tak jakby ze strachu składał ofiarę potężnym acz złośliwym bogom, a potem, nie mogąc już dłużej odwlekać tej chwili, zapuścił żurawia w głąb duszy.

Natychmiast dostrzegł rozpaczliwość swojego położenia. Przecież on – tylekroć Odsuwający – nie mógł już dosięgnąć nieodsuwalnej przecież Rzeczywistości, tylekroć Zamrażający, wykreował w duszy pustynię czarnego lodu, tylekroć Opóźniający, nie nadażał łapać wyslizgujących się myśli, które odrywały się jak iskry od ogniska i znikwały w chmurnym bełcie – niedosiężnym, a przecież otulającym szczelnie jego tak dotąd jasny umysł. Musiał zatem sam wpaść w porzask, który szykował Chwili – o nieszczęsne *carpe diem*, które stosował tak dosłownie! Gdyż jak się Chwyta, trzeba też umieć Wypuścić – chwila raz złapana, a nie puszczona, czyli *n i e p r z e ż y t a*, gromadzi się i zalega, uniemożliwiając skupienie uwagi na tym, co terażniejsze. I właśnie w tym tkwił największy problem.

Ponieważ W. tym razem nie dawał za wygraną, jego zgryzota wypełzła na ciało i przykuła go do łóżka. Leżał w potach dwa dni, z sulfamidami pod językiem – paskudna, prawdziwie niekartezjańska udręka. Pod koniec trzeciego dnia ból żołądka wzmógł się tak dotkliwie, jakby w jego solnej florze otwarła się łąka mięsożernych roślin.

I dopiero w tej pozycji poziomej i poniżającej, zameczony fizycznością, po raz pierwszy zbliżył się do źródeł swojej udręki. W pewnym sensie nie miał już sił, by cokolwiek udawać – i ta sytuacja bezpośrednia, czysta w interpretacji, udzieliła swej jaskrawej czystości myślom, które mogły wykonać umyk i wyslizgnąć się z samonapędzającego się koła natręctw. W chwili

błogosławionej obojętności W. zrozumiał, że pasja, która pchała go do odkryć matematycznych, zniknęła. A raczej — gdyby porównać ją do rwącego strumienia — że opuściła swe dawne, ustalone łożysko i rozlała się na inne czynności i działania, w których uczestniczył. Rzecz jasna, nie starczało jej teraz na wszystko. Powrót do dawnych zajęć wydawał mu się czymś odległym i nie wchodził w rachubę. W końcu napisał wszystko, co miał do powiedzenia, zamknął w książce, wydał; wdarł się na jakiś tam szczyt, miał czas by rozejrzeć się wkoło. Nic ciekawego: następne szczyty w oddali, wyższe i niższe, et cetera. Widok niedobry: gęstwiny, zwarcia, białe plamy, grunt niepewny, nękany wstrząsami, górotwór wypływający coraz to nowe katedry; inne szczyty — ledwie uformowane, a już nieaktualne, zapadające się w przepaść — po co je zdobywać? Czemu trudzić się, jeśli obrazy świata dawane przez naukę starzeją się tak szybko? Za kilka lat odkrycia W. staną się — w najlepszym razie — klasyką skromnego odłamu geometrii, zaledwie jakąś nędzną „poddyscypliną fragmentu” tej sztuki. A po dziesięcioleciu — pyłem w atmosferze Nowej Matematyki, utrudniającym Nowym Matematykom dostrzeganie Nowych Horyzontów. Do tego — nieunikniona anonimowość twórcy, jego skrybia skromność, zgoda na pogrzeb za życia! I wielka pustka wokół, albowiem nawet uczony kolega uniwersytecki nie rozumie prawd, które głosi poddyscyplina fragmentu innego uczonego kolegi. Prawd gorzkich, gdyż... falsyfikowalnych i w końcu zawsze... falsyfikowanych.

Lecz jeśli nie Nauka — to co? Zresztą jeśli nie Nauka, to...!
To co?

Są chwile, kiedy ma się wrażenie, że wszystko wolno. Można iść naprzód lub cofnąć się — to nie ma znaczenia. Ale są też chwile, kiedy wachlarz możliwości składa się i wskazuje

jedną drogę; nie wolno przegapić takiego momentu, gdyż nie da się do niego wrócić. Ten drugi rodzaj upływu czasu jest w pełni zrozumiały, gdyż zamyka w sobie dobrze nam znaną nieuchronność następstwa chwil. Ale pierwszy stan — kiedy „wszystko wolno” — to tylko złudzenie! Czy wybór nie pociąga za sobą odrzucenia pozostałych możliwości? Czy decyzja nie zamyka wszystkich drzwi, które do niej nie prowadzą? Owszem, można zawrócić, ale ktokolwiek uczyni krok wstecz... czyni k r o k w s t e c z właśnie! — nie wraca nie zmieniony w to samo miejsce, ale zaledwie ucieka od skutków rozpętanej wichury. Jest w tym coś obłąkanego by zawracać, anulować, upodabniać swe życie do migotania jedwabnej tkaniny. Ale fakt, że wybór ogranicza się zaledwie do tak lub nie-tak jest zatrważający! Władza *tertium non datur* nie podlega negocjacji. Nawet bierność jest wyborem, w pełni zobowiązującym. Gra więc toczy się o to, by nie poddać się... nie przeoczyć momentu... nie przespać... nie przegapić...

... płynnym, roślinnym wzrostem sulfamidów, zanurzony w szumie, węzowymi zygzakami, leniwą falą — W. unosił się i roilo się mu, że musi nawrócić armię mędrców — uczonych pod jego dowództwem, skrytych w laboratoriach, bibliotekach, korytarzach, w gablotach, na plakatach, w czasopiśmie listy filadelfijskiej, w spiralnych domkach ślimaków — musi pokazać im wyjście z paradoksów praw logicznych, wprost w pierwotny prymat Prawdy — musi walczyć zwłaszcza z prawem niemożliwości: nie w nawiasie *pe i* nie *pe*, zamknąć nawias, stanąć mu naprzeciw, zanegować i wyrzucić, pozbyć się dręczącego nawyku racjonalności, prześlizgiwać się pomiędzy, widzieć ponad, kierować się intuicją, cierpliwie podążać za własną obserwacją, poznać jak najwięcej z tego, co dokoła, jak i swoje możliwości, spać osiem godzin dziennie, parzyć moc-

na kawę, jeść cukierki i dać sobie czas. Iść za głosem poety i wrzucić dychę do studzienki kanalizacyjnej. Rozpocząć własne studia! Rozpocząć własne studia! Rozpocząć własne studia!

Plan, który zrodził się w malignie, marny i nędzny, był jednak planem i odtąd W. postanowił trzymać się go, nie czyniąc wyjątków. Wziął urlop na uczelni i – na dobry początek – rzucił się w wir studiów humanistycznych. A raczej – w wir z a j ę ć humanistycznych; choć może raczej – w wir zajęć, którymi, jak sobie to wyobrażał, zapelniają swój czas humaniści. Idea zaniedbania tego, co osiągnął dotychczas, poczęta w samotnej desperacji, niosła w sobie jakiaś przykrą sprzeczność, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę to jak W. znakomicie był-w-świecie przez ostatnie dwadzieścia pięć lat. Cóż jednak możemy wiedzieć z wysokości naszych doświadczeń! Plan jawił się prosto i siła zeń płynąca podniosła W. na nogi. Świat zachęcał nieskończoną obfitością, a ciekawość W. rosła z każdym dniem. Chodził do teatrów i galerii, na wszystkie nowe przedstawienia, wystawy, odczyty i recytacje. Czytał. Namiętnie odwiedzał kawiarnie. Zaczął kupować książki, wzmacniając jeszcze potężną bibliotekę, którą otrzymał w spadku po Z. W „Taniej książce” raz po raz tracił małą fortunę. W księgarni „Matras”, wtopionej w fortyfikacje Rynku dostał linię kredytową szeroką jak delta Nilu. Od „Hetmańskiej”, jako rzadki okaz klienta, otrzymał nawet uroczą, poufałą kartkę urodzinową z drapieżnym przedstawieniem smoka wawelskiego, który pożerał książki. Kawiarnie, księgarnie, kawiarenki, księgarenki, a także księgarnie-kawiarnie. I księgarnie-antykwarjaty oraz księgarnie-antykwarjaty-kawiarnie – te W. ukochał szczególnie – wszystkie stały, lubieżne, rozparte na jego drodze!

Wkrótce plan zajęć W. ułożył się naturalnie – stare przyzwyczajenia nie znikają przecież jak za dotknięciem czarodziej-

skiej różdżki. Kończyły się też oszczędności, które przywiózł z Londynu. W. coraz rzadziej wychodził z domu. Całe dni spędzał w fotelu naprzeciw cynowego dzbanka z kawą, obłożony opasłymi książkami i lukrowanymi krążkami drożdżówek. Wieczorami, otepiały of nadmiaru cukru i kofeiny, przeciągał się i szedł na spacer. Co kilka dni, w zależności od potrzeby, przetrząsał domową bibliotekę. Kartkował powieści i suche, cienkie tomiki poezji, w których banknoty dotrzymywały towarzystwa ulubionym przez niego wierszom. (Zwyczaj przekładania poezji drukowanymi symbolami życiowej prozy wydawał mu się zabawny.) Szedł bez planu, w nadziei, że pomija jakieś wysokie nominały, które zamierzał wyłowić dopiero wtedy, gdy nadejdzie czarna godzina. Zwykle odnajdywał zeszcłe liście, sprasowane musze mumie, paragony fiskalne i karminowe smugi po dżemie, ale zdarzało mu się wypatrzyć nawet całą stówę. Jakieś trzy dni życia oszczędnego — cieszył się wtedy — a może i cztery. Po czym wracał do lektury. Delikatnie lecz stanowczo odsuwał od siebie myśl, że gdyby czarna godzina naprawdę nadeszła, nie tylko nie znalazłby ani jednej tłustej zakładki, ale musiałby sprzedać książki, sprzęty, a może i mieszkanie. Na tym bowiem polega perfidia tej mrocznej chwili, że pozostawia swą ofiarę w poniżeniu, zabierając sprzed oczu każde, choćby najwątlesze, światełko nadziei.

W miarę jak W. coraz więcej czytał i zanurzał się w lirycznej materii słów, podejmował gry epickie, zagłębiał się w obcych fabułach, jego uwaga, i tak do tej pory skierowana na wewnątrz, jeszcze bardziej się we wnętrzu zasklepiła i zapiekła. Był teraz niemal ślepy na to, po czym chodzi i jakie przeszkody omija — coraz pojemniej i obco odczuwał widok uliczki, dachów, kamienic, miasta. Nie ruszał się zbyt często z domu. Dni, w których rzeczywistość mieszała się z fikcją, miały jak

sen.

Ten sen czerpał według własnego uznania ze ścisku nowych przemysłów i minionych zdarzeń, stawał się abstrakcyjną permutacją czasu przeszłego, nasyconą sekretnym znaczeniem. Dawał mu wytchnienie i uwalniał od kalectwa racjonalności, wodził po rubieżach i prowadził pajęczymi ścieżkami, wysługiwał się szaleństwem, kpił z logiki, rujnował obiektywny ogląd rzeczy – wysuwał na pierwszy plan śniącego – i tylko o niego czule się troszczył. Tak właśnie objawia się potęga literatury – może sprowadzić jawę do zaledwie jednej nieciekawej możliwości.

*

Mijały tygodnie a W. nadal nie odpuszczał sobie. W ciągu dnia pracował z wielkim słownikiem kultury, który służył mu za pierwszy elementarz wiedzy nieścislej. Wychodząc od humanistycznego ‘abc’, czyli mniej więcej od opozycji ‘duszciało’ i ‘człowiek-kultura’, przemierzył już pewną drogę. Trzeba zaraz powiedzieć, że aż nazbyt dobrze zapadła mu w pamięć pogarda Roquentina dla Samouka, ślęczącego w bibliotece miejskiej w Bouville, który kształcił się w porządku alfabetycznym. Dlatego bezwzględnie uważał, by nie ulec palącej potrzebie systematyczności. Hojnie pozwalał sobie na swobodne asocjacje i niewyczerpywanie tematu. To zaś było odmienne od wszystkiego, co dotąd wydawało mu się właściwe, roztropne, i działało nań jak narkotyk. Zaczynał więc od jakiejś pojemnej idei humanistycznej, a kończył... No właśnie, weźmy choćby *gender*. By zgłębić *gender*, należało wpierw rozpoznać go w nurtach postmodernizmu. To z kolei wymagało rozróżnienia postmodernizmu od modernizmu, co dalej wiodło do przyjęcia prymatu rozumu jako transcendentalnej normy spo-

łącznej. Sama ‘transcendentalność’ nie wydawała się niczym trudnym postawiona przeciw próbie sformalizowania ‘normy społecznej’, co zresztą okazało się śmiertelnie nudne. W. czynił więc powrót do modernizmu przez somnambulizm, zatrzymując się jak rażony gromem wobec Odile Redona i onirycznej kolorystyki jego martwych natur. Idąc tropem wpływu koloru na człowieka, W. wpadał wprost na prace filozoficzne Goethego, ten zaś krok za krokiem wiódł go do wielkiej romantycznej literatury niemieckiej, nie mniej potężnej w formie niż wielka romantyczna muzyka niemiecka. Tej ostatniej zaś dobrze było przeciwstawić koronkowe drobiazgi Debussy’ego, który – jak wiadomo – do typów takich jak Wagner żywił nieprzepartą niechęć. Przy Debussym W. zrozumiał ideę stroju temperowanego i poznał charakterystykę skali całotonowej, a także inne systemy tonalne, po czym zarządził całkowity odwrót, gdyż zmierzał, jak neutrino ku czarnej dziurze, ku znanym sobie terenom rachunku różniczkowego i analizy zespolonej.

Więc zaczynał ponownie, inaczej: prawosławie, ortodoksja, zaśnięcie Maryi Panny, rem, id, analiza transakcyjna, gra psychologiczna, logika monadyczna, automaty chodzące po drzewach, koindukcja, stop, znów terra cognita.

Albo sonet, tetrastych, gen, helisa, krzywizna, torsor, znajomo, znajomo, znajomo...

Po tygodniach prób zrozumiał, w co wdepnął. Choćby pragnął, nie potrafił uwolnić się od siebie. Był jak człowiek, który chce wstać z krzesła, wyszarpując sobie włosy. Miał przed sobą dziwny, niespójny świat napęczniały emocjami i tajemniczymi symbolami kultury, oddziałujący na wszystkie zmysły. Tymczasem jego umysł, zastygły w swojej ścisłej formie, widział tylko matematyczną esencję, dawał szansę zaledwie jednej, niepełnej interpretacji faktów. Czy miał to pokochać?

Czy znienawidzić? Intuicja jako system poznania! Intuicja jako system poznania? Nieznane namiętności szarpały duszą W. Poddać się? Rozkoszować? Do tej pory dniami i nocami studiował matematykę, nic innego. Jakie miał szanse, by nagle zmienić skórę? Ale cała reszta życia, tak to nazwijmy: życia pozamatematycznego, domagała się swoich praw. Należało coś z tym natychmiast zrobić, przedsięwziąć. Droga przez dalsze zdobywanie wiedzy nie wydawała się już tak obiecująca.

*

Jesień nadeszła niepostrzeżenie – ogarnęła ziemię cicho i pewnie. Po drodze na Rynek, na ulicy Kopernika, złote liście klonów skręcały się w kubańskie cygara. Tego wieczora, do którego będę ciągle wracał myślami, na chodnikach, pod drzewami, na ozdobnych dachówkach kościołów i szpitali zalegały stosy liści, na liściach leżała mgła, zaś ponad mgłą, po niebie, maszerowały granatowe niże, przed którymi stary Kraków bronił się, wylewając przez okna gęstą jak miód elektryczność. Siedzieliśmy przy kuchennym stole, a ja wysłuchałem już anegdoty o natchnieniach F. Truffaut. Zrozumiałem, że stało się coś nieodwracalnego i – tak jak nigdy do tej pory nie ulegałem irracjonalnym przeczuciom – zrozumiałem też, że to właśnie ja będę świadkiem triumfu wielkiego umysłu. Albo jego upadku.

I chyba właśnie w tamtej chwili przestałem się wahać i wziąłem sprawy w swoje ręce. Zacząłem pytać i ustaliłem pewne fakty. Najkrócej to ujmując, W. zawisł nad potworną dziurą finansową, boleśnie rozciągnięty w szpagacie egzystencjalnym, na wyjście z którego nie widział sposobu. Sytuacja przedstawiała się następująco: W. miał dwa złote siedemdziesiąt groszy w portfelu, dług na karcie kredytowej i wypatroszoną do cna

bibliotekę. Czy aby na pewno? Tak. A może by spróbować jeszcze raz? W. zamyślił się, ale w końcu rzekł krótko: — Dobrze.

Ruszyliśmy do biblioteki i poczęliśmy przetrząsać półki. Mijały kwadranse, aż w końcu mój upór przyniósł efekt: po jakiejś godzinie poszukiwań natknąłem na cienki jak plaster szynki parmeńskiej banknot pięćdziesięciozłotowy, ukryty w tomiku poezji, którego autora nie znałem. Widząc to, W. odetchnął głęboko i chciał mi dziękować, ale ja postanowiłem kuć żelazo póki gorące. Po kolejnej godzinie namówiłem go, by na forum ogłoszeń internetowych zamieścił krótki anons. Nie ma wyjścia? Nie, nie ma wyjścia. A zatem:

Poszukuję współlokatora. Mieszkanie w dobrej lokalizacji.

Czynsz płatny z góry.

Enter.

Dopiero, gdy ogłoszenie ukazało się na ekranie, pożegnałem się. Uścisnęliśmy sobie dłonie i wyszedłem — z mętlikiem w głowie, ale i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Gdy przemaszerowałem przez antresolę i naciskałem już klamkę drzwi prowadzących na schody, brezentowy rulon w cieniu zdziczałego drzewa cytrynowego nagle poruszył się i spod płachty wyjrzała zaspana ludzka głowa. Tuż za nią pojawił się czujny psi pysk.

— Wypawajmy Pana, bo jest drobny — huknął Achille, mistrz katechezy, gubiący się jednak w zawiłościach obcego języka.

— A jego miłosierdzie trwa na wieki — odpowiedziałem automatycznie i wyszedłem. Dopiero gdy znalazłem się na ulicy jasno oświetlonej księżycem, parsknąłem śmiechem i śmiałem się czas jakiś, zasłaniając sobie dłonią oczy. Po pewnym czasie, już spokojny, skierowałem się w stronę do domu. Zadzwoniłem do Renaty, przygotowałem się do ćwiczeń ze studentami.

Potem spałem, czytałem fachową prasę i stare angielskie monografie, jadłem i znowu spałem. Pracowałem wówczas nad pewnym pomysłem, który wkrótce zmienił się w załączek publikacji naukowej i na wiele dni zajęły mnie inne sprawy.

Rozdział II

Wizyta

Pierwszego listopada W. zbudził się o wczesnej porze. Leżał nieruchomo, aż ciemność zrzędła i nastał świt, a z nim wróciły do sypialni ściany, szafy i rama łóżka. Chwilę trwało nim uznał, że jest w Krakowie, na wysokości pierwszego piętra i że czuwa raczej niż śpi. Wtedy wstał z łóżka, otworzył okno, potem umył się starannie, okręcił szyję gryzącym jak pluton faraonek szalem, i wyszedł, omijając za drzwiami czarny kadłub fortepianu. Zdażał na dworzec — lekkim krokiem, bez śniadania, napędzany wyłącznie przez wilgotne jesienne powietrze. Ciemne chmury, jak kłęby waty nasączonej atramentem, wisiały nisko nad łukiem ziemi.

Gdy W. wchodził na peron, akurat zdarzyła się jakaś awaria. Potężna lokomotywa elektryczna stanęła w słupie pary, skondensowany, syczący strumień strzelał pod kopułę dworca i ten jeden jedyny raz, jakby na potrzeby mojej opowieści, stacja krakowska zyskała atmosferę niemal paryską — był to już dziewiętnastowieczny Gare Saint-Lazare, a nie współczesny Kraków Główny — ludzie ze śmiechem rozpoznawali się w kłębach mgły, zrobiło się gwarno i tłoczno, wjeżdżały nowe pociągi i wylewali się z nich pasażerowie, z dobrze skrywanym zdumieniem pogrążając się w nierównej, mlecznej zawieszynie, a wysiadła też pewna dama, z woalką, z parasolką, w towarzystwie młodej kobiety — potem przybiegło dwóch spoconych zwrotnicowych i maszynista z młotem, o, p...wr...! no, dalejże kur..., buch, bach, i się skończyło. Te sprawy właśnie tak się załatwia — wedle obowiązującej powszechnie umowy, że przyczyna wsparta żelaznym autorytetem wywołuje natychmiastowy skutek.

W. zauważył, że młoda kobieta i dama z parasolką pożegnały się serdecznie, po czym ta druga odeszła. Czy mogło być tak, że...? W. z pewnością oczekiwał kogoś innego, z pewnością starszego, z pewnością... Podchodził bliżej, młoda kobieta odwiecznym, niedostrzegalnym dla niej samej ruchem obwiodła opuszką palca ucho, tak, że jej długie włosy zaczepiły się o palec i odsłoniły twarz. Rozglądała się, ściskając miękką torebkę, nos rzucał cień na delikatnie wykrojone usta, których kąciki zadrgały wesoło... jak dawniej.

— Witek? — To jest — Witold? — Witek! — I już te usta śmieją się na całego, wargi zbliżają się błyskawicznie ku jego twarzy, W. czuje oszałamiający zapach perfum: pomarańczy? żywicy? jaśminu? a może i tego, i tego, i tego, dłonie na ramionach, miękki pocałunek na policzku. — Ach! — dziewczyna otwiera szeroko oczy i ze śmiechem odskakuje. — Ten szal gryzie! — w jej ruchu jest coś nieporadnego, ale W. tego nie dostrzega, dopiero, gdy ręce M. — bo nie ma już wątpliwości, że to ona — niemal po omacku szukają uchwytu niewielkiego plecaka, W. budzi się z zaskoczenia, chwyta za bagaż, idą teraz ku wyjściu z peronu, schodami w dół, wzdłuż najdłuższego krakowskiego składu starych książek, potem w górę, do ulicy Rakowickiej, ona trzyma go pod rękę, jest miłym, ruchliwym ciężarem... i poznałam cię, bo chodzisz jak niedźwiedź — śmieje się M. — choć trochę bałam się spotkania, i ciebie, starszego. Zdjęłam soczewki, żeby się przespać w pociągu i teraz nie mogę ich znaleźć, może zatrzymamy się gdzieś, to poszukam w torebce — mama, wyobraź sobie, przeziębila się i nie mogła przyjechać — dobrze będzie zobaczyć twoją zaskoczoną minę, niech ja tylko znajdę... — M. przyciska się odruchowo do ramienia W. — wyszła boso myć podłogę na tarasie, czy możesz w to uwierzyć, w październiku, po przymrozkach — ja — choć to właśnie

mówię — nie wierzę. — Ta starsza dama, z którą jechałam — siedziałyśmy przy oknie — widzisz, nici ze spania — siedziałyśmy i gadałyśmy jak najęte, mówiła, że w dużych domach należałoby mieć służbę, ale te czasy już dawno minęły — starowinka wzdychała i kładła rękę na piersi — wyobraź sobie, też jechała na cmentarz, do swojego syna, to straszne, szeptała, przeżyć swoje dziecko, Boże uchwaj, tyle lat wciąż ten sam straszny ból, i znów kładła rękę na piersi, wzruszyłam się, ona przy oknie, przycupnięta, posiwiała, dobrze, że zapominała co chwila o tym, gdzie jedzie, a ja ją zagadywałam: opowiadałam o tym, jak grałam latem w Paryżu, że zgubiliśmy skrzypka i altowiolistkę w ogrodach Les Tuileries... — włosy M., dokładnie i równo przycięte, sięgały ramion. Rytmicznie, jak miękka szczoteczka, omiatały brzeg bordowej chusty z włóczki, która była zawinięta wokół jej szyi. Jeśli to nie jest sen, pomyślał W., nie mam nic przeciwko temu.

Oczywiście nie był przygotowany na przyjazd Madeleine. Jak to się dzieje — pytał, czując kobiece dłonie obejmujące jego ramię — że takie rzeczy dzieją się zbyt wcześnie? Jeszcze wczoraj rozmawiał ze swoją chrestną — czyli z matką M. — i to ona miała zejść po schodkach wagonu na peron, udać się na cmentarz Rakowicki, zapalić świeczkę na grobie rodziców, jak zawsze pierwszego listopada każdego roku. Tymczasem zjawił się ktoś, kogo nie było, kto wyjechał za granicę, by nie wrócić... a oto wrócił, wróciła, idzie, idą, teraz już porwani przez tłum, który spieszy, by odwiedzić swoich drogich zmarłych.

M. miała ładne, różowe wargi, którym nie była potrzebna szminka, i które w ciągu dnia niezbyt często spotykały się, aby odpocząć w bezczynności. Środek górnej wargi, punkt ruchliwy i rezolutny, o wybitnej delikatności, był jedną z najbardziej zapracowanych części jej ciała. Ale, trzeba przyznać, jego nie-

przerwana wędrówka pchała świat M. do przodu, porządkowała go dla niej i nadawała sens. Łagodna złośliwość, na którą Madeleine zawsze sobie pozwalała, dodawała jej wdzięku. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

— Madeleine... — zaczął W., gdy M. zaczerpnęła oddechu.

— We Francji kazałam na siebie mówić Elena. — przerwała mu z niewinną miną. — Poczułam, że tu nie pasuje mi amerykańskie imię, takie za duże, dla facetek przy kości, tłuste i rosnące w ustach, zresztą wszyscy kojarzą je z moją przekłętą babką. Elena, zgodzisz się chyba, brzmi bardziej słowiańsko. No i w ten sposób, za jednym zamachem, podkreśliłam swoją wyjątkowość — uśmiechnęła się lekko — wśród tych wszystkich Marie-fi-fie, Jacqueline-pitu-plim, Thérèse-blé-blèse. Kobietom to jest potrzebne! Potrzebne, może nie? — M. przylgnęła ściślej do W.

Trudno było zaprzeczyć, i to z wielu powodów. Patrząc w ciemne, załzawione od jesiennego wiatru oczy Madeleine, W. przypominał sobie że Mady nienawidziła swojej babki, która opiekowała się nią w dzieciństwie podczas licznych wyjazdów matki. Otóż babka Madeleine była wziętą pisarką kryminałów. Co popołudnie z jej pracowni dochodziły strzały klawiszy starej maszyny do pisania, a szparą pod drzwiami wypływał bury papierosowy dym. Gdy potrzebowała skupienia, kładła małą M. wcześniej spać i — by oszczędzić sobie trudów doglądania dziecka — zawijała szczelnie kołdrą i przywiązywała do łóżka konopną linką. Matka M. długo nie mogła zrozumieć, dlaczego mała budzi się w nocy z krzykiem i nie pozwoli okryć zmarzniętego ciała, nawet podczas szczypiących mrozów. Gdy przyczyna lęków dziecka wyszła na jaw, w domu rozpętało się piekło — babkę, ku jej zadowoleniu, odsunięto od opieki, a M. dostała w prezencie od mamy mięciutki, pucho-

wy śpiwór. Mady używała go przez wiele lat – a od dziesiątych urodzin dzieliła go z łysawym kociątkiem, które, nie wierząc swemu szczęściu, wślizgiwało się do puchowego worka, przesuwalo do samego dna i spało w nogach swojej pani. Wydaje się, że zakorkowane szczelnie i odcięte od dopływu powietrza zwierzę nie miało prawa przeżyć, ale tak wielka dawka miłości i ciepła widać starczały mu za każdy spłycony oddech. Z biegiem czasu kocię wyrosło na pięknego, tygrysiopregowanego kocura. I dopiero wiele lat później pierwszy z kochanków Madeleine wyrzucił go z sypialni. Naturalnie nie obyło się bez straszliwej awantury – jest bowiem czym innym pieścić miękkiego kotka, a czym innym – wyeksmitować starego kocura z legowiska. *Don Tigre*, który nagle znalazł się w roli zrozpaczonego, odtraconego faworyta – notabene, świetnie odegrana rola – rzucił się na intruza z furją, sycząc i tnąc pazurami. . .

Ale to już zupełnie inna historia, o której, siłą rzeczy, W. nie mógł wiedzieć zbyt wiele. Potem Mady wyjechała na studia muzyczne nad Sekwanę. Kształciła się, by zostać pianistką. W przerwach trymestralnych koncertowała z grupą przyjaciół – ale wyłącznie dla przyjemności. Występowali w kameralnym składzie i obsługiwali gwiazdkowe hotele Paryża. M. nie chciała wracać do kraju, takie życie jej odpowiadało. Lecz widocznie coś się stało. . . coś niespodziewanego. . .

– Mady, dlaczego wróciłaś?

Dziewczyna zamilkła i powiodła wzrokiem po ziemi.

– Nie mówmy teraz o tym. – Posępny cień zamroczył jej twarz, lecz za chwilę żywiołowa natura wzięła górę. Nadała się – ale na niby. Koniuszek jej nosa zadrgał wesoło. – Chodź, najpierw załatwimy babkę, a potem zabierzesz mnie na kawę, z mlekiem i z cynamonem – zadysponowała i pociągnęła W. za sobą.

Dochodzili już do bramy cmentarnej, której wejście oblepiał tłum. Panie w średnim wieku, w najdroższych futrach, dominowały nad swoimi partnerami o starzejących się, wysoko podgolonych szyjach, co, mimo powagi święta, wyglądało tak, jakby wielkie, włochate wirusy pożerały pałeczki dobroczynnych bakterii. Spoza prętów bramy można było dostrzec kwestujących aktorów – twarze znane z teatrów Krakowa i z ogólnopolskich seriali. Księża wynieśli dwie szkolne ławki, by wiecznym piórem skrupulatnie spisywać datki na msze żałobne – za zbawienie duszy i o wstawiennictwo świętych i błogosławionych; święci, co oczywiste, cenili się wyżej niż błogosławieni. Kwaciarnie pękały od ludnej objętości, przerwy między palatami zacieśniały się, trwał złoty dzień interesu, choć przecież kwiaty są najpiękniejsze wiosną. Sprzedaż płynęła jak srebrna ławica ryb, monety chłodziły palce biznesmenów, poprzecinane i opuchnięte od wiązania drutu na wieńce. Na każdym ze stoisk leżały znicze i czarne wstęgi – a najdrożej u harcerzy. Obfitość towaru mnożyła się przez plus nieskończoność, stały walce stearynowe z knotem, flaszki, korkowe podstawki, pischingery, maca, turecki miodek, miętowe draże, sugusy i kukulki, a także niejadalna pulpa woskowa w dmuchanym szkłe. Złote przykrywki z otworem na dym zamykały plastikowe wiadra z liliową parafiną, wisiał udręczony drut w koszulce, kępy sztucznych chryzantem zagrażały z góry, podwiązane do aluminiowych stelaży, a wśród tych dóbr przechadzało się mieszczaństwo, próżno wypatrując sprzedawców zapalek. Bo zapalek do tyłu świec nie było.

Tylko palacze w duchu błogosławili swój nałóg, zapalniczki – tak, zapalniczki w kieszeniach definiowały człowieka pierwszolistopadowego, niezależnego, wyniosłego i skoncentrowanego O! trzcino myśląca, która niesiesz płynny ogień! Bo nic tak

nie równoważy stresu nie-codzienności (konieczności święta, metafizycznego chuchu) jak posłannictwo. Nieść zapalniczkę to nie patrzeć w twarz wieczności. Któż chciałby pamiętać, że *ile czasu minęło po dzień wczorajszy, to już przepadło; a że i ten dzień, który właśnie spędzamy, również dzielimy ze śmiercią*. Któż chciałby marnować czas, który nam pozostał! W. dostrzegł jak koc z deszczowej włókniny przedarł się i z nieba wytrysnęło światło, by natychmiast zgasnąć. Na ziemi powstał jednak ruch, wyroili się świetliste punkciki i ogarnęły pożarem cmentarz. W zapadającej przedburzowej ciemności, pośród grobowców i krzyży leżały gwiazdne galaktyki, oriony i znaki zodiaku zrobione z ognia, zapalonego tym, którzy odeszli. Gdy siedzieli już w przytulnej kawiarence w pobliżu Rynku, W. widział jeszcze raz jak Madeleine pochyla się nad grobem babki Madeleine, jak od jej delikatnych dłoni oddziela się świetlny punkcik, jak szepce z żalem: „dzieci trzeba kochać, babciu”, jak szybko żegna się szerokim krzyżem, jakby chcąc odpędzić od rzęs wełnisty stearynowy dym, i jak odchodzi pośpiesznie, a za nią on sam, z poczuciem nadzwyczajnej ostrości widzenia i przejrzystości rzeczy.

Co się za tym kryło? Jaki był sens tych wypadków? Czy przyjazd Mady, już druzgocący jego samotność, stanowił konsekwencję jego dziwnego stylu życia, czy przeciwnie – wyłonił się z chaosu niezależnych wydarzeń? Czemu M. wybrała tę a nie inną kawiarnię, czy szli ulicą Szpitalną tylko po to, by uniknąć tłumów między Barbakanem i Bazyliką Mariacką? W. nie mógł oprzeć się wrażeniu, że za wszystkim kryje się jakiś temat przewodni, bardziej literacki, niż racjonalny, który z nieznanых przyczyn nie może przesunąć ku rzeczywistości na tyle, by wyprzeć absurd. Chryzantemy – symbol pamięci czy fabryka chlorofilu? *Zjawiska, któreśmy rozpęta-*

li działaniem? Lub — jeszcze skuteczniej — niedziałaniem? Po miesiącach spokojnego życia, poświęconego lekturze, pewne możliwości, które dla W. zarysowały się w Londynie, ustaliły się i dojrzały. Przekonał się, że jest on jedną z tych osobowości, która najcelniej poznaje rzeczy przez — wybaczcie metaforę hydrodynamiczną — *n a s i ą k a n i e*. Weźmy dla ilustracji oschły, pośpieszny kurs, na którym opiera się współczesna edukacja uniwersytecka. W. przystosowywał się doń przez lata — wpierywając się doń jako student, potem jako nauczyciel, ale jego właściwa natura prowadziła z tym systemem ciągłą walkę, stosując *Zamrażanie* i *Odsuwanie*, szykując luki w czasie, potrzebne na nasiąknięcie nową treścią. Czyż nie jest prawdą, że nawet najtrudniejszy wykład, przeczytany z natężeniem i odłożony — odparowany — prostuje się i rozjaśnia? Czy nie na tym polega radość studiowania, albo pompatyczniej: nasiąkania mądrością? Czy tajemnica nie staje się mniej tajemnicza, gdy nadgryzie ją żąb czasu? Czy to nie czas goi rany tkanki mózgowej, która rozdziera stare struktury, aby pomieścić nowe treści? W. — zdaje się — najcenniejszym odczuwał to, co nie pozwalało się wyartykułować. Odczywał to właśnie tak — ostro i przejrzyście. I całkowicie niewyraźalnie. Weźmy tu jeszcze usta Madeleine — symbol płynnego ruchu, słodczy, swobody, melodii bez analitycznej pojemności, erotyzm w postaci czystej, esencja bardziej niebezpieczna od nitrogliceryny, ale zawsze przede wszystkim — coś niewyraźnego. Albo jej torebka, sama jedna większa niż kosmos.

Owa torebka leżała na stoliku, a M. raz po raz zanurzała rękę — bo nie można tu użyć łżejszych słów — w jej ziejącą czełuść. Szukała szkieł kontaktowych. A był to świat według Mady: siedem biletów tramwajowych, w tym pięć skasowanych, jednaście paragonów fiskalnych, zasuszony kasztan, dwie agrafki,

etui na okulary – bez okularów, organizer (terminarz, spis telefonów, szuflada na wizytówki, wizytówka koleżanki i sześć wizytówek własnych, wstążka-próbka), garść drobnych (centy, grosze), banknot stufrankowy, wycofany z obiegu, szpuleczka białych nici, dwie igły, jedna z nawleczoną czarną nitką, pudełko żyletek – nierozpakowane, mały zszywacz, dwa pęki kluczy, portfel, komórka, czterdzieści kolczyków robionych własnoręcznie z masy plastycznej, zabranych, by pokazać koleżankom, muszelka z Côte d’Azur, partytura „Popołudnia fauna” – wydawnictwo kieszonkowe, rozmówki włoskie, jedna paczka chusteczek higienicznych, dwa ręczniczki perfumowane, wilgotne, nieużywane, intymna kosmetyczka, miniaturowa szczotka do ubrań, maskara, pełne pudełeczko różu do ust, puste pudełeczko różu do ust, próbники kremów w miniaszetykach (ściągnięte różową recepturką), w tym: jeden inteligentny krem przeciwzmarszczkowy z systemem dotleniania skóry, jeden inteligentny krem-maskara z systemem samoregulacji poziomu natłuszczenia, nanokrem korygujący owal twarzy, a także liftkrem, dwa aktikremy, krem anti-aging aktywowany światłem i jego wersja aktywowana metabolicznie, a także maseczka przeciw starzeniu się skóry „na dzień” i jedna klasyczna maseczka „ze świeżych ogórków” w żelu; ponadto lakier do paznokci, buteleczka małych perfum, osiem wacików, dwie spiniki, jedna duża klamra do włosów, długopis, pudełko rysików HB 5mm, notatnik promocyjny, duży zeszyt w kratkę, naszyjnik z paury, bransoletka z grupą krwi, zgoda dawcy organów, zapalniczka, kredka do oczu, a także jeden ochronny błyszczak, perłowy, do ust: „efekt: zmysłowe, soczyste, pełne blasku usta”. Irchowa ściereczka do okularów i nabój do wiecznego pióra, oraz – nareszcie! – poszukiwane pudełeczko, przypominające bongosy w kolorze kości słoniowej, skrywające we

wnętrzu miękkie soczewki kontaktowe do ciągłego noszenia. W końcu – sznurówka. Kamerton. Zakładka. Guzik.

Takiej napierającej obfitości nie można po prostu ominąć. . . Myślę, że W. bezskutecznie próbował rozgryźć tę tajemnicę. . . Ale przecież to jest takie proste. Im dłużej pozostajemy w samotności i w rozciągłej ciszy, tym ostrzej i wyraziściej rysują się drobiazgi. Ot, W. po prostu stracił pancierz, który chronił go przed mikrokosmosem. Nie udziela się dawnym genialnym zajęciom, które oślepiały go na rzeczy nieistotne – jego myśli nie odbiegają już po znajomych torach, nie nosi w sobie pewności, nie wypowiada niezmiennych sądów, nie porusza się w określonym kierunku, nie ma celu, który przesłoniłby codzienność, musi więc dziwić się i obserwować. Musi patrzeć i widzieć wszystko. Cóż za udręka! Cóż za przygoda!

Ach, jakże chciwie pragnąłbym oddać W. moją intuicję, a zabrać w zamian jego talent, który on tak radośnie, żałośnie marnował!

M., która zdążyła już spakować torebkę i zamówić kawę dla obojga, od pewnego czasu z czułą uwagą przyglądała się Witoldowi. Ten podparł dłonią czoło, spuścił wzrok i, patrząc gdzieś na czubki palców M., zaczął opowiadać. Mówił: – Tak długo się nie widzieliśmy. Przez cały czas studiów i jeszcze trochę. Zrekapitulował ostatnie miesiące: wziął urlop na uczelni, znużył się tym, napisał książkę i odszedł, chciał zobaczyć trochę świata, zbudzić się, dotknąć, podziwiać. . . Renoir, Impresjoniści! Literatura! Teatr! Sztuka! Sztuka! No i kochany Z.! – zostawił mu mieszkanie. Sąsiedzi, Achille, jego lektury. . . Słowa, tak wiele dni wstrzymywane, płynęły szerokim strumieniem. Madeleine, nienawykła do ciszy wewnątrz własnej głowy, powtarzała, ruszając wargami: Renoir. . . , kochany Z. . . , Achille. . . – Tak – ciągnął dalej W. – zrezygnowałem z azyłu legalne-

go, poukładanego życia, bo szkoda — tak mi się teraz wydaje — trwonić go na pracę, której nikt nie rozumie, nawet ja sam. Powiem ci, że biegłem na oślep — z zawiązanymi oczami przez ciemny las. Teraz myślę, że wolałbym nawet zawiesić się w szklanej klatce nad Wisłą. Jeśli jednak mówimy o tym — zwrócił się ze smutkiem do Madeleine — kto o nas pomyśli za sto lat? Powiedz — poprosił, podnosząc wzrok — jak to jest — być artystką? Zawsze, gdy myślałem o tobie, chciałem cię o to spytać. Próbowałem to rozgryźć, ale nie umiem — wierzysz w natchnienie? — nagle parsknął śmiechem i zdziwiony własną mocną reakcją, zamilkł.

— Mój mały, zagubiony chłopczyku — Madeleine powoli wyciągnęła dłoń i pogładziła Witolda po policzku. Było w tym geście, i w tych słowach, wiele odwagi — oto po tylu latach zdała się na dawną zażyłość i przeszła obojętnie, bez drżenia serca, nad dzielącą ich przepaścią różnych doświadczeń. — Mój mały, ciekawski chłopczyku, widzę, że wyruszyłeś na wyprawę dookoła świata! Czy nie przyszło ci jednak do głowy, że nie musisz wszystkiego rozumieć? Wyjaśnianie jest obłudą tej epoki. Ojcowie dzieciom, żony mężom, mówcy słuchaczom, specjaliści laikom, koledzy kolegom, lekarze pacjentom — wyjaśniają — znasz to? A dusza chce, czego chce, ma własną przyrodzoną wiedzę — źrenice M. rozszerzyły się. Przechyliła głowę na bok, była teraz w swoim żywiole.

— No tak — W. zgodził się bez zastrzeżeń i nie wiadomo dlaczego przypomniał mu się smutny pisk Boreasa leżącego pod fortepianowym stołkiem. — To znaczy: nie! — bronił jeszcze przegranej sprawy, z przyzwyczajenia, z chęci podtrzymania dyskusji — w sprawach fundamentalnych warto chyba byłoby mieć jako taką pewność i nie zdawać się na ślepy los?

— Ależ ty właśnie dokonałeś ślepego wyboru! Tak to wy-

gląda — wzrok Madeleine nappełniał się światłem, koniuszek nosa drżał z podniecenia. — Teraz powiem coś, co prawdopodobnie ci się nie spodoba: nie jesteś pierwszy. To znaczy, nie jesteś pierwszą osobą, której się coś takiego przytrafia. Sam musiałeś o tym czytać, literatura jest zaludniona rzeszami podobnych tobie... bohaterów. M. ujęła W. za rękę. Miała ciepłe dłonie. Długie, ruchliwe palce. Francuski manicure nałożony na starannie przycięte paznokcie.

— Po prostu chciałem mieć czas, aby o tym wszystkim pomyśleć. Nauka... — W. spróbował wyrazić się prościej, ale nie udało się — nauka zna jedynie działania badawcze, anonimowość, czysty intelekt... A ja żyję, składam się z fizycznych części, połączonych, w ruchu, posklejanych uczuciem. Tak i jako serwisant nauki, jak i bohater powieściowy byłbym co najwyżej postacią drugoplanową — W. podjął grę, ale musiał uważać. Jak dobrze pamiętał, Mady potrafiła być mordercza w polemice. Jej rzucane niewinnym głosem opinie zawierały, gdy trzeba, sporo złośliwości, lecz wyróżniała je trzeźwość osądu.

— Przepraszam cię na chwilę — Madeleine była poruszona i musiała zapalić. Puściła rękę W. i wstała szybko. Podeszła do sąsiedniego stolika, gdzie siedziało dwóch biznesmenów, o wysokich czołach podchodzących, każde jedno, pod czubek głowy — rzekłbyś: podwójna pomyłka fryzjera — o wypielegnowanych dziurkach od nosów, bliźniaczo opalonych w solarium na stare złoto i pod krawatami. Ucichli. — Poczęstuje mnie pan papierosem? — zapytała i nachyliła się nad pierwszą z brzegu starozłotą kopułą. Włosy rozsypały się jej po twarzy. Błysnęła zębami. Piękna linia pleców wygięła się, spódnica opięła pośladki. Robiła wrażenie. Gdy wracała, gwałt się już dokonał. W. postanowił nie patrzeć w tamtą stronę — na wypadek, gdyby szczątki tych facetów walały się po klasycznej posadzce, uło-

żonej w szachownicę i po skosie. Madeleine z przyjemnością zaciągnęła się dymem — która z kobiet nie nosi w sobie zarodników burzy?

— Lubiałam wyobrażać sobie ciebie jako roztargnionego profesora — rzekła. — Jedną ręką kreślisz niezrozumiałe wstęgi tajemniczych symboli, z pasją miażdżąc o tablicę skorupki kredowych otwornic, drugą zaraz wszystko zmazujesz — a jednak studenci nie wążą się przerywać twojego skupienia. Wracając do domu, wdeptujesz w każdą kałużę. Brudna woda ścieka ci z nogawek do butów — a ty nie zauważasz tego. Przygotowując śniadanie, patrzysz w skupieniu na jajko i trzy minuty gotujesz zegarek — Ale w twojej głowie... — głos Madeleine był teraz wibrujący, pieszczotliwy, zmysłowy — w twojej głowie Brucheion — świetlisty, drogocenny, zatopiony w mlecznej, chemicznej ciszy, w takiej ciszy, jaką daje niewzruszona pewność wiedzy, i jaką może jeszcze słychać w akordach bez tercji i w czeluści czystej oktawy — palce dziewczyny wykonały niewidzialny pasaż, potem lekko spadły na powierzchnię stolika. Mady wytrzeszczyła oczy i obdarzyła W. szerokim, łobuzerskim uśmiechem. Podniosła papierosa z popielniczki, znów z przyjemnością zaciągnęła się wytrawnym dymem.

Takie postawienie sprawy rozpoczęło dyskusję. Mady twierdziła, zresztą słusznie, że nie można wszystkiego wiedzieć, ani tym bardziej wszystkiego doświadczyć, a co za tym idzie, porzucenie życia uczelnianego było błędem, cholernym błędem — dodała — te wątpliwości załatwia się po pracy, można sobie doksztalać się humanistycznie w sposób h o b b y - s t y c z n y, nawet — nie mając żony i dzieci — zapisać się do szkoły wieczorowej, pracowni malarskiej, tyle ich tu w Krakowie, albo, niechże i tak, czytać i krytycznie myśleć. Otóż krytyczne myślenie jest sprawą najważniejszą, i do tego uni-

wersalną w swej dziedzinie i w swoich wpływach. To całe pieprzenie o pięknie i wartościach sprowadza się wyłącznie do postawy krytycznej wobec zastanego brudu świata. W. pomyślał, że musi przez to przebrnąć. Owszem, dobrze było widzieć jak Mady, która dostała wypieków, rozprawia się z problemem, ale przecież wcale nie gonił za pięknem czy wartościami. Powiedział jej to. Chciał zaledwie poznać swoje motywy i możliwości. Przyjrzeć się sobie, z daleka, nie przez pryzmat kariery. Nauka nie jest już na miarę człowieka, sięga swoimi mackami poza znaną naturę, stawiając go w obliczu nieludzkich dylematów moralnych, nie mówiąc już o tym, że musi on na co dzień akceptować niemal sakralny charakter jej absurdów: branie hipotez za wyznacznik prawdy, podtrzymywanie mitu o obiektywności badań, podczas gdy trwa morderczy wyścig naukowców o finansowanie — gonitwa, w której nie bierze się jeńców, istny bieg po życie w Pampelunie, etcetera, etcetera. W. świadomie milczał na temat przyziemnych spraw. Gdyby spojrział prawdzie w oczy, byłby zmuszony przyznać, że nie ma z czego żyć. Ale nic nie mówił, przede wszystkim dlatego, że rzadko które zjawisko dorastało dlań do rangi kłopotu. Z pewnością nie finanse — miał ważniejsze sprawy na głowie. Ktoś kiedyś pisał — chyba Bellow — że kiedy zmyjemy z oczu wewnętrzną błonę i wzniesiemy się na wyższy poziom świadomości, potrzeba nam będzie mniej pieniędzy. Zresztą, byłoby śmieszne, gdyby facet, który jest właścicielem zabytkowego mieszkania w centrum Krakowa, biadolił nad brakiem zabezpieczenia. Mady, kochana Mady, jej entuzjizm dla spraw bliźnich! Ciągłe robiła bilans strat, ale wrażliwość nie pozwalała jej nazwać rzeczy po imieniu. Zaangażowanie, z jakim mówiła, dawało pojęcie o jej duchowej sile, jak też o trafnej, kobiecej ocenie sytuacji, a także — trzeba by widzieć żywiół jej

warg, wprost stworzonych do całowania — o zawiedzionej nadziei rozkapryszonej kochanki, a nawet o furii macierzyńskiej kobiety zatroskanej o nieposłuszne, ukochane dziecko. Wyglądało na to, że W. dostał się między dwie burze. Ta pierwsza zła mała ołowianą blachę chmur — za oknem prało teraz, zacinało strugami w szybę, waliło wodą. Ta druga odarła go z osamotnienia i raz po raz wprawiała w zdumienie. A on — w obliczu dwóch sztormów, ale i w pępku świata — nie mógł dostrzec, że zaangażowanie Madeleine ma również charakter osobisty. Cóż bowiem budzi większą namiętność, niż własne problemy? Wybierzcie się do państwowej przychodni lekarskiej w poniedziałek rano, zobaczycie o czym mówię. Mady była na tyle silna, że nie potrzebowała lekarza, za to z chęcią, w ramach swoistej autoterapii, udzielała pomocy innym. Nigdy nie dowiedziałem się, dlaczego przerwała studia na ostatnim roku i wróciła, by zamieszkać u swojej matki. Czy wyjaśnianie wszystkiego nie jest obłędem tej epoki? Ale dwa miesiące później, z walizką w rękę, zapukała do drzwi W.

Rozdział III

Wykład

No właśnie – dwa miesiące, dwa chude, surowe miesiące, podczas których W. stęzał w swojej nowej roli. Ja zaś – jakże teraz żałuję – przegapiłem to! „Nie byłem wtedy uchwytny” – uczestniczyłem pełną parą w przygotowaniach do ślubu z Renata, który miał się odbyć na początku lutego ze względu na koniec semestru i wolne terminy w kościele, a przede wszystkim, by spełnić największe marzenie mojej narzeczonej. Bowiem do dziś nie jestem pewien, czy chodziło o ślub ze mną, czy o wylot na południową wyspę Nowej Zelandii, nad jezioro Wanaka – wszystko musiało zagrać: środek lata na przeciwnej półkuli, egzotyka, my, kiwi i dziobaki. Ale widzę, że odbiegam od tematu, więc lepiej, żebym natychmiast powrócił do zimowego pejzażu Krakowa. Przyroda, nawet ta miejska, przezroczysta dla oczu ludzi miasta, szykowała się z wielką powagą do skwierczących, czarnych mrozów, do śnieżyc stulecia. Jak można było przypuszczać, nic takiego nie nastąpiło, ale ten, kto chce wiedzieć, wie dobrze, że mięśnie natury – wielkie łąpska prastarych mechaników niebieskich – zawsze naprężają się ponad miarę, jakby poddawane sezonowym przeglądom gwarancyjnym.

Więc dobrze, będę się streszczał. Na nic zdały się ostrzeżenia Madeleine: W. od razu wskoczył na głęboką wodę. Na początek napisał list do dyrektora, który był jednym z niewielu życzliwych mu kolegów:

Szanowny Profesorze G.!

Waldku!

Z przykrością informuję Cię, że podjąłem decyzję o odejściu

z uczelni.

Moja pensja profesorska, a zwłaszcza forsa, którą otrzymuję, będąc na urlopie naukowym, są zbyt wysokie; doprawdy, nie potrzebuję aż tylu pieniędzy. Wyobrażam sobie, że właściwa zapłata za moje dotychczasowe osiągnięcia przybierze inną formę. Zgódźmy się, że upływający czas jest jedynym sprawiedliwym sprawdzianem płodności nowych idei, zaś płodność mierzy się ilością potomstwa, a nie wysokością pensji!

Ponadto zauważam, że estyma, jaką cieszą się wszyscy nasi wybitni koledzy, niesie ze sobą nie tylko możliwość mnożenia bogactw materialnych, ale i nadużywania władzy i dobrodziejstw wysokiego statusu społecznego. Lecz czy nie jest oczywiste, że nadmiar przywilejów jednych zawsze godzi w potrzeby innych?

Pracę, za którą moja alma mater tak hojnie mnie nagradza, wykonałem w czasie, gdy byłem jeszcze członkiem społeczności uniwersyteckiej i w zasadzie podzielałem jej ducha i dążyłem do podobnych wartości. Ale dziś coraz bardziej oddalam się od uczelnianego *millieu*, gdyż spostrzegłem, że etyka środowiska sparszywiała do tego stopnia, iż jawne podkradanie wyników naukowych (zwłaszcza młodym pracownikom, którzy nie potrafią się jeszcze bronić) stały się niemal obowiązującą regułą, a w najgorszym razie są tolerowane nawet w najbardziej oczywistych i niegodziwych przypadkach. W takich warunkach wyrażenie zgody na uczestnictwo w grze pozorów szacunku, iluzji służenia prawdzie, oznaczałoby moje podporządkowanie się panującemu duchowi i temu trendowi w świecie naukowym, który postrzegam jako fundamentalnie zły, a nawet samobójczy, zarówno materialnie, jak i intelektualnie.

Waldku! Proszę Cię, byś jeszcze dziś, gdy czytasz ten list,

przyjął moją rezygnację.

Jak możecie przypuszczać, list był zlepkiem kłamstw — W. wsobny, osobny, w swoim czasie genialny, nie przejmował się losem przeciętniaków, nie schylał się też, by patrzeć na mrówki w trawie. Ale taki list wystarczająco dobrze racjonalizował sytuację. Dobrowolnie wyzbyć się majątku i władzy pałając świętym oburzeniem — tak, to jeszcze było do pomyślenia. Bo gdyby wiedziano, że to chłodna, głęboka myśl, kalkulacja, rozwiązanie wewnętrznego sporu, a nie pochopność, brawurowy akt podejrzanego szlachetności. . . List dawał pretekst, by nakleić W. łatą idealisty, ekscentryka, a nawet idioty — słowem: by w płytki sposób podsumować głupi wybryk. Możliwość programowego nie-wybryku — to byłaby otchłań, coś nie do pomyślenia.

W każdym razie W. odetchnął, gdyż zrobił sobie — w sercu, w duszy? — miejsce na zupełnie nowe doznania. Po kilku burzliwych rozmowach telefonicznych, jego rezygnację przyjęto, a on pozbył się wszelkich krępujących go więzów. Nie pracował już na czyjekolwiek konto. Dysponował czasem, ba! — leniwie żeglował po oceanie czasu. Mógł stać, albo chodzić, a wszystko bezkarnie! Mógł snuć ospałe myśli, a jego twarz — dotychczas ściągnięta w grymas logiczno-dedukcyjny, rozciągała się w poszukiwaniu nowych form skupienia. Tę nieokreśloność, to rozmycie, połączone w niepojęty sposób z pogłębieniem formy, dostrzegłem natychmiast po powrocie z antypodów; może wpłynęła na to dojmująca samotność, która pchnęła mnie zimnym paluchem w pierś podczas nowozelandzkiej ekstrawaganzy? Zmiana, którą wyczułem u W. poruszyła mnie bardziej, niż złe humory Renaty z powodu „mojej szokującej nieumiejętności oderwania się, choć na chwilę, od pracy”. Nic

na to, do cholery, nie poradzę, że warsztat mam zawsze przy sobie.

— Wejdz — zaprosił mnie W., gdy wbiegłem na piętro, przy każdym tupnięciu strząsając z płaszcza sypki śnieg. Opalony słońcem południa, dziwiłem się, że śnieżynki nie roztopiają się z sykiem na moim czole. Bo doprawdy — wyglądałem jak biznesmen, który wrócił z narciarskiego szaleństwa w Aspen. W. serdecznie ścisnął mi dłoń. — Mamy jeszcze czas na szybką kawę, potem — wskazał na przeciwległe drzwi — zaproszono nas na wykład. Jego twarz rozciągnęła się swobodnie w nowym kierunku, i powstał dość ciekawy, z pewnością życzliwy, uśmiech. Zdażyłem tylko obrócić się i odcyfrować napis na tabliczce: „Towarzystwo Bibliotekarzy Polskich”, i już piliśmy espresso, oparci o kuchenny blat. Zamknąłem oczy, by nic nie przeszkadzało sycić się wytrawnym aromatem; ach, coś we mnie rozkręciło się i rozlało szeroko, i musiałem powstrzymać eksplozję radości. Znów tu jestem!

Rozglądałem się jeszcze. A więc t o nie tylko rozlało się po twarzy, ale i wyszło, by zadomowić się w mieszkaniu. Tyle, że w zetknięciu z martwą materią powstał efekt odwrotny — nieokreśloność, zamiast rozciągnąć się, stygła w formy ascetyczne. Względne układy przedmiotów nie zmieniły się wprawdzie, ale w oczy biła aura surowości: patrzyłem na znajomy krajobraz, ale pod arktycznym niebem. Stylowe wnętrze ubożało i hartowało się, nie tyle na skutek redukcji, ile drobnych przesunięć lub perturbacji. Najodważniejsze z przedmiotów dążyły już uparcie do swoich ukochanych pozycji, ruch się rozpoczął i prowokował resztę martwoty do otwarcia oczu. Stary klarnet, który został tu po profesorze Z., stroik do oboju, aparat fotograficzny, lampa, maselniczka, proporczyk, klamki — robiły z sobą coś dziwnego. Stara serwantka była teraz, zdaje się, złożona

z niebieskozielonej szyby — ciepło ornamentów wiśniowego drewna wycofało się skromnie na drugi plan. Zabijcie mnie, ale tak właśnie wyobrażam sobie działanie w algebrze Griesa: w strukturze o 196884 wymiarach rzeczywistych elementy stać jedynie na mikrotranslacje, nic więcej, a my — cóż, my musimy się jakoś ratować w obliczu tak monstrualnych abstrakcji! Niewyobrażalne też trzeba jakoś pomyśleć! Zadrżałem na myśl o tym, co widzi tutaj W. — pamiętajcie, że w porównaniu z nim byłem tylko marnym rzemieślnikiem. On jednak zdawał się nie zauważać niczego, oddając się wyłącznie naszej nikłej rozmowie i przyjaznemu milczeniu.

Gdy przestąpiliśmy próg Towarzystwa Bibliotekarzy, wrażenie zmian spotęgowało się jeszcze. Oba lokale miały bowiem identyczny rozkład, odbity w symetrii lustrzanej, której oś biegła przez środek antresoli mieszczącej Greka, fortepian, cytrynę i psa.

Tyle, że gdy w mieszkaniu W. postępowała asceza, u Bibliotekarzy królowały obfitość i przepych. Wchodząc w aksamitną przestrzeń, rozpromienioną miodową luną, płynącą od zatopionych w cynie szkiełek zastępujących szyby, poczułem dziecięcą pewność, że jesień ukryła się tu, by przezimować kolejny rok. Moim zdaniem również inne dzieci powinny się o tym dowiedzieć. Chyba w każdym przedszkolu, gdy pada pierwszy śnieg, pada też sakramentalne pytanie: i gdzie, drogie dzieci, poszła pani jesień? Krasnale są w kropce, no bo i kto by nie był! A przecież wyjaśnień astronomicznych w przedszkolach się nie udziela.

No więc pani jesień poszła na Stare Miasto do siedziby szacownego Towarzystwa, kochane dzieci.

Gdyby się nad tym zatrzymać, jedynie lepkie światło, gliniany wazon z zasuszonymi liśćmi i owalnymi szypułkami nie-

znanych mi roślin, i może jeszcze kilka kurczących się kasztanów na parapecie, zdradzały zimową kryjówkę jesieni. Ale to wystarczyło. Idąc po wełnianej wykładzinie, która głużyła wszelki dźwięk, wzdłuż rzędu wąskich regałów zamykających się nad naszymi głowami, dotarliśmy – ciągle skręcając w lewo – do pomieszczenia o nadzwyczaj harmonijnych proporcjach, przytulnego, ale jednocześnie otwartego, zapraszającego, które – jak sobie zaraz uświadomiłem – w bliźniaczym odbiciu odpowiadało sypialni W. Możliwości tego pokoju zostały w pełni wykorzystane. Był tu urządzone prywatny gabinet, z ustawionym pośrodku masywnym stołem. Ściany zajmowały wysokie aż po sklepienie półki pełne ksiąg, uporządkowanych w dwuseregach, jak drużyna chłopców na kolonii, odliczanych przed kąpielą w Bałtyku. Szerokie, wygodne biurko pod oknem, roztopiało się w nikłym świetle styczniowego popołudnia.

Wkroczyliśmy z W. do gabinetu i naraz otoczył nas wytłumiony przez wełnę i tekturę szum kulturalnych rozmów. W pomieszczeniu zebrało się już liczne grono osób. Wyglądało na to, że znają się od dawna. Pozbywali się płaszczy, szali, zaparowanych okularów, zupełnie jak jesienni bohaterowie piosenek Agnieszki Osieckiej. Niektórzy zajmowali miejsca przy stole, wymieniając uwagi o pogodzie, ostatnich lekturach, Sztuce, Kulturze, repertuarze Teatru Starego... Albo rozdzielali zwykłe uprzejmości poparte szerszym otwarciem oczu i uprzejmą ekwilibrystyką brwi. Pod stołem, nieporuszony hałasem, drzemał kudłaty pies, który wyglądał na senny owoc wełnianej wykładziny, z której wypączkował w sposób naturalny. Był to... Boreasz? A więc...

Achille siedział w kącie przy biurku i wyglądał przez okno. Jego ostry profil stępiał w miodowej poświacie witraży, ale w oczach odgadywałem ogień Termopilów. Nietrafnie! Gdy

tylko spojrział na mnie, to jest na nas — na wchodzących — dostrzegłem w nim spokój, powolność i niemal słowiańską nostalgę. Był też niezupełnie trzeźwy.

W czasie, gdy ja rozgadałem się ciekawie dokoła, W. witał się już z jakimś budzącym zaufanie starszym panem, który sapał jeszcze z wysiłku po wejściu na piętro. — Witam, mecenasie — usłyszałem głos Witolda, ale usłyszałem z trudem, gdyż pojedyncze słowa ginęły zaraz w dookólnej paplaninie, od której powietrze gabinetu falowało jak morze.

— Trans-Atlantyk, Irenko, koniecznie idź...

— umalowane, jaskrawe usta Janka Peszka, magnetyczne, Jadziu, możesz sobie...

— ... prowokacja Rydzy...

— ... Jureczku, Jureczku, t w o j a k i c i a cię prosi!...

— ... rozumiesz, rozkopali już miesiąc temu, rozumiesz, i koniec, pif-paf, kropka, nie da się, rozumiesz, choćbyś pęł...

— ... dostał Nike, a werdykt..... że nie tylko wpisuje się w kody kultury, ale je przekracza...

...i tak dalej, w luźnym stylu — statystycznie pełny przegląd tematów, ze skrzywieniem humanistycznym, na co wskazywały „kody kultury” i poufałość w stosunku do „Janka” Peszka, którego znakomicie pamiętam, bo był wtenczas modnym aktorem — charyzmatycznym, szczupłym na sposób japoński, zasuszonym, zwartym jak owad, z pałającymi węglami źrenic. Przypominam sobie, jak mówił kiedyś, dając wywiad, a mówił z dyk—cją: — Mój ta—lent daje mi władzę. Ale tę władzę trzeba u—mieć trzy—mać. Trzeba — przeszywał wzrokiem kamerę — umieć trzymać widza za mordę. I dodał jeszcze: — Artysta tylko stawia problem. A odpowiedź każdy daje sobie sam. Artysta to jest ktoś, kto nie ma stępionej intuicji, kto żyje, i to życie z niego wycieka.

W jego słowach przeczuwałem prawdę — zresztą uwielbiałem go we wszystkich rolach, w jakie się wcielał, ale — jak to zwykle bywa z twierdzeniami ludzi kultury — z tego, co mówił, nie udało mi się wyłowić żadnej przydatnej, praktycznej informacji. Co robić? Lepiej zostać artystą? Lepiej nim nie być? Jak to uczynić? Jak tego uniknąć? Renata zawsze wścieka się, kiedy w ten sposób mówię, ale racja jest po mojej stronie.

— Siadźmy, zaraz się zacznie — W. najpierw wyrósł przy mnie, a potem zmałał, gdyż zajął miejsce na pobliskim krześle.

— Co tu robi Achille? — zapytałem, siadając obok.

— A... tak. — W. odszukał wzrokiem Greka. Dawno temu prowadził sklep na Kazimierzu. Sprzedawał oliwę i oliwki, które sprowadzał prosto z Grecji. Prezes Towarzystwa był jego stałym klientem i do tej pory się przyjaźnią. Ale to stare dzieje.

Wydawało się, że W. wyczerpał temat, ale ja chciałem jeszcze spytać, po co zaproszono tu mnie. Niestety, nie udało się, gdyż na ścianie za moimi plecami coś gruchnęło zniecka, zacharczało wściekle i gruchnęło ponownie.

Nie musiałem się odwracać. Znałem te zegary. Produkowane w latach osiemdziesiątych, obciążane żelaznymi szyszkami. Kiedy duża wskazówka pokrywała dwunastkę, w małych wrotach stawała kukułka — na tyciutkich kółkach toczyła się poza obręb tarczy i pochylając łebek, charczała miarowo przez zadany czas. Tak było dopóki mechanizm działał sprawnie. Po kilku miesiącach psuły się sprężyny miniaturowych wrót. Przy pełnej godzinie dreszcz przeszywał szyszki, drewniany ptasi manekinek wiązał w zegarowej tarczy na dwie, trzy straszne sekundy, po czym wrótka wybuchała. Z wnętrza wyjeżdżała pełnym gazem spóźniona kukułka, z szalem kuła swój podeścik, a potem zniknęła w ponownym wybuchu małych drzwiczek.

W tej samej chwili odezwał się drugi zegar, łagodniej, chy-

ba na biurku, potem trzeci, czwarty i inne za szybami witryn. A zatem — zdumiałem się — ten gabinet nie został pomyślany jako miejsce odpoczynku i lektury. Mógł być raczej — jakże zaskakująca zmiana perspektywy! — kwaterą główną kogoś zdyscyplinowanego i skupionego na pracy badawczej. Zaraz też dostrzegłem więcej szczegółów, które potwierdziły moją tezę.

Kakofonia zegarów uciszyła rozmowy, zresztą — widziałem — hałas był znajomym sygnałem, po którym. . . punktualnie do gabinetu wkroczył drobny, łysiejący staruszek i zajął główne miejsce przy stole. Był to prezes Towarzystwa. Pozdrowił zebranych i przedstawił się nam, nowo zaproszonym, z imienia i nazwiska. Był wyraźnie wzruszony, ale ze względu na znakomite wychowanie — tak właśnie pomyślałem: znakomite wychowanie — opanował emocje; wstając, poprosił najmłodszą z kobiet (studentkę? asystentkę?) o wodę, a gdy szklaneczka znalazła się przed nim na stole, uprzejmie podziękował. Potem zdjął okulary i białą chusteczką polerował okrągłe szkiełka. Robił to szybko lecz z niebywałą precyzją, oszczędzając monogram — od środka na zewnątrz ruchami okrężnymi, naprzemiennie kciukiem i palcem wskazującym.

— Drogie koleżanki i koledzy, szanowni goście — bez osłony okularów zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się, dając pierwszeństwo przyrodzonej bezradnej życzliwości, charakterystycznej dla krótkowidzów. — W ostatnich latach zacząłem przeżywać jakby olśnienie, wywołane nie werbalnym, ale życiowym rozumieniem, co jest istotą mojej pracy — mówił cicho, ale ten głos, podszyty dumą, niósł się doskonale. — Z moich doświadczeń wynika niezbicie, że osiągnięcie mistrzostwa w klasyfikacji jak najszybszej i jak najgłębszej rzeczywistości jest oparte nie tylko na poznaniu intelektualnym, ale rów-

nież na poznaniu poprzez rozwijające się funkcje uczuciowe i popędowe, samodekonstruujące się i odbudowujące na coraz wyższym poziomie, z udziałem naszych postaw emocjonalnych i zawsze – zawsze – względem przejrzystej hierarchii wartości. Staruszek dostojnie nałożył okulary na nos, wsparł się dłońmi o stół i kontynuował: – Ale akt klasyfikacji budzi nie tylko funkcje intelektualne, lecz także odczucia estetyczne, wątpliwości moralne, przy udziale wszystkich naszych sprzężonych właściwości psychicznych. Innymi słowy – dmuchnął lekko w powietrze, jakby przetykał stroik niewidzialnego instrumentu – twórcza praca ożywia nas i zniewala ku jeszcze wyższym formom twórczości.

Ach tak! więc byłem w jaskini lwa. Szary prostopadłościan leżący na biurku, który przedtem wziąłem za pudełko, był w istocie plikiem dokumentów, artykułów lub obszernym manuskrypcem, którego kartki perfekcyjnie złożono jedna na drugiej – a tak dokładnie i równo, że zlały się w optycznie jednolitą masę. Podobnie w astronomii nie rozróżnia się gwiazd, które, będąc odpowiednio blisko siebie, są odpowiednio, od nas, daleko. Moje zdumienie rosło, gdy dyskretnie wodząc wzrokiem dokoła (wstrzymywałem się przed gwałtownymi gestami, by nie rozpraszać uwagi innych) odnajdowałem nowe oznaki ładu i harmonii. Był to gabinet wielogodzinnych, samotnych poszukiwań, pracoholicznych ciągów, gawra Wielkiego Klasyfikatora, miejsce, gdzie panowała doskonała równowaga, święta katedra nad żywą komórką, gabinet minimalnej entropii. Garść kasztanów na parapecie zdała mi się teraz symbolem krzyczącego wielkim głosem szaleństwa. Czy inni czuli to, co ja? Rozejrzałem się, ale niewiele z osób zdradzało objawy jakiegokolwiek poruszenia – może przywykli już, albo zwyczajnie – nie posiadali tej umiejętności czytania nikłych śladów,

pozostawianych przez ludzi, gdziekolwiek się znajdują. Jakże serdecznie przeklinałem teraz empatię, intuicję i cały ten nierzeczywisty, nieracjonalny, metafizyczny kram, który zawsze mam przy sobie! Przeklinałem słowiańskie wychowanie, to samo, które robotnikom na emigracji każe w zagiętym gwoździu zobaczyć kaczuszkę na przydomowym stawie i rozpłakać się z wścieklej, patriotycznej tęsknoty. Przeklinałem nieudolność rodziców, którzy za punkt honoru postawili sobie, by pokazać mi jak najwięcej z tego, co sami uważali za warte uwagi — zabierali na koncerty, do zoo, wozili do teatrów i wysyłali za granicę, zamiast wystarczająco wcześniej odsłonić i zogniskować mój talent do wyższej matematyki. Talent, który przez to spóźnienie nigdy nie miał czasu się rozwinąć i dojrzeć, a może... a może — może nigdy nie posiał się we mnie w ilościach wystarczających... Zadrzałem i na krótką chwilę wróciła mi trzeźwość spojrzenia. Jaki zły duch wstąpił we mnie, że winiłem biednych rodziców?

Prezes mówił dalej.

— Poznanie rzeczywistości opiera się nie tylko na reakcji na bodźce zewnętrzne, ale na ich wewnętrznym przetworzeniu, a więc przez wyobraźnię, fantazję, projekty. Klasyfikacja — jego głos wznosił się nad głowami — jest po prostu wszechstronnym odkrywaniem rzeczywistości. A nadto, drogie koleżanki, koledzy — polega ona również na t w o r z e n i u tej rzeczywistości z udziałem procesów subiektywnych wszczepionych w procesy obiektywne i odgrywających zasadniczą, twórczą rolę w... po... poznaniu — prezes zaksztusił się niegroźnie z emocji — przepraszam państwa: w poznaniu — powtórzył i sięgnął po szklanke z wodą.

Ale ja już trząsałem się ze wzburzenia i nie poznawałem siebie! J e g o emocje znajdowały we mnie lustro, ale — ależ tak!

— było to krzywe, zniekształcające zwierciadło, które przyjmowało wzruszenie, a wypluwało gniew. Zabrakło mi tchu i pewnie kilka par oczu zwróciło się na mnie właśnie w chwili, gdy przełykałem lepka, szarą kulę wściekłości. Chodziło bowiem o to, że w głębi ducha nie cierpiałem wszelkiej roboty, prowadzącej do katalogowania i klasyfikacji. Lecz gdy księgowych, zbieraczy owadów, bibliotekarzy, archiwistów, historyków, kartografów... — mogłem traktować za ledwie z pobłażaniem — z całą mocą pogardzałem klasyfikującymi matematykami. Były ich rzesze — zastępy drobnych ciułaczy, wymyślających właściwość A i dzielących świat względem A, a potem dodających B, by stwierdzić, co A i B posiada naraz, a co A tylko, albo tylko B, czy też B i nie A, lub w końcu A lub B, albo jeszcze żadne z powyższych — i te części, te odpadki po klasyfikacji głównej, rozstawiano względem dalszych C, D, E... Prawdziwym i jedynie godnym twórczym zajęciem wydawała mi się synteza zastanej wiedzy, izolowanie ogólnych praw, a potem zasad rządzących tymi prawami, schematów rządzących zasadami, i tak dalej, aż do omegi. Zresztą tak dawniej pracował W. — na każde jedno jego nowe twierdzenie odchodził w niebyt jeden system klasyfikacji — odtąd zbędny, opisany prawem ogólniejszym, oszczędniejszym. Siła wyrazu! Potęga ascezy! Głębia niepowtarzalności!

Tymczasem — i było to mordercze — zmuszony zostałem do konfrontacji z pasją analityczną wielkiego formatu, i to w jaskini samego Wielkiego Klasyfikatora. W zimowej kryjówce jesieni! Wiłem się jak przydepnięty zaskroniec, a to był dopiero początek udręki, gdyż pewna myśl — ciemna jak burzowa chmura — formowała się w mojej głowie i tego kłębiącego się, napierającego kształtu obawiałem się najbardziej.

— Jak więc rozwijamy naszą wszechstronną zdolność do

poznania i klasyfikacji rzeczywistości? — mówca zawiesił głos i pytanie — zgodnie z intencją — zawisło w powietrzu. — Otóż, wyłącznie przez odrzucenie wąskości, stereotypowości i oczyszczenie niższych funkcji poznawczych. . .

Nie mogłem już dłużej skupić się na wykładzie, gdyż czarna mgła zasnęła mi oczy. To był strach, śmierdzący i lepki, obkurczający żołądek, rozdymający serce, ściskający nerki, napierający na wszystkie otwory w moim ciele, strach, który zamienił mój system narządów w łopoczącą flagę — irracjonalny (nie się nie zdarzyło!), ale w straszny sposób nieunikniony, budzący chęć natychmiastowej ucieczki. Przetoczył się jak walec po moich bebechach, a po nim nadeszła fala wstydu, która rozbiła w pył osobistą dumę i zdruzgotała resztki rozumu. Na tych wreszcie zgliszczach wyrosła, w potwornym tempie, w jakim mnożą się śliskie, białe kłaczka w próchnicznym złogu wysypiska, pewność, że będę musiał jednak podnieść głowę i spojrzeć prawdzie w oczy. W., w którym od pewnego czasu widziałem przyjaciela i mistrza, nie mógł mi teraz pomóc. Siedział skupiony. Siedział — na krześle. Słowa prezesa poruszały go, ale — o ile w tej sytuacji mogłem zaufać trzeźwości mojego osądu — to była oczekiwana, wzbogacająca reakcja. Ja natomiast, będąc tuż obok, stałem w obliczu innych faktów.

Byłem klasyfikatorem. Pojąłem, że jest wielka różnica między swoim wyobrażeniem o sobie, w którym nasza istota jest przedłużona poza terażniejszość i święci już przyszłe triumfy, a stanem faktycznym. Otóż j a w i e m, co mi w głowie piszczy i j u ż j e s t e m tym kimś doskonałym, do którego w obiektywnym reflektorze zaledwie zdążam. Jestem swoim celem i omijam faktycznego terażniejszego trupa, po którym w przyszłości, gdy rzeczywistość powoli przetworzy się w świat ideału, przejdę do celu. Ale tak jak człowiekowi małoduszne-

mu do głowy nie przyjdzie hojność, tak i ja mogę nigdy nie dostąpić wyższego wtajemniczenia — ta myśl doprowadzała mnie do agonii. Moje dzieła były skromne, moje sukcesy — analityczne, mój warsztat — ubogi i skoncentrowany na problemach niskiej rangi. Byłem klasyfikatorem pospolitym, rozdartym w kierunku wielkości, ale — być może — zbyt krótkim, aby doskoczyć do rąbka szaty, w jakiej paraduje wiedza objawiona. Ale może tak miało pozostać? Może powinienem to i w tym siebie pokochać?

Mijały grube minuty, o których nic nie potrafię powiedzieć. Ale ocknąłem się wreszcie i bez wyraźnej zgody świadomości postanowiłem już niczemu się nie dziwić i nie wydawać pochopnych sądów. Postanowiłem trzymać się Witolda i pracować, pracować, pracować... Ta myśl otrzeźwiła mnie — jak każda obietnica poprawy, choćby nigdy nie miała się spełnić. Lęk odpuścił, sflaczałem. W zasadzie nic się nie wydarzyło — przekonywałem siebie — po prostu dopuszczam możliwość, że to, kim t e r a z jestem ma sens, jakiś tam sens — pomyślałem z większą pewnością siebie. Utwierdzałem się w tej myśli, ułdzałem i ustalałem ją jako obowiązujący fakt. Otworzyłem oczy a wykład jeszcze trwał. Nie wiem, ile czasu upłynęło. Ludzie oddychali.

— Chodzi o to, że rzeczywistość jest zazwyczaj subiektywna i obiektywna zarazem, że jest rzeczywistością psychologiczną, społeczną, moralną, percypowaną, odczuwaną i logiczną, a więc wielopoziomową i wielopłaszczyznową. Wtłoczenie rzeczywistości w jakiegokolwiek formalny zapis zawsze oznacza bezpowrotną stratę jej właściwych, subiektywnych cech. Chcę przez to powiedzieć, że dokonując klasyfikacji zjawisk, przede wszystkim eksponujemy aspekt obiektywny, poświęcając subiektywne i twórcze Ja. O, dlaczego nie przyjdzie nam do głó-

wy, że decyzja przeciwna rodzi po stokroć cenniejszy owoc!

Prezes zamilkł. Na jego twarzy grały żywe uczucia, których nie starał się już powściągnąć. Ach, było to tajemnicą Wielkiego Klasyfikatora, jak to uczynił, że pełna wyższych emocji pauza rozciągnęła się ponad skrzeczącą rzeczywistość, nie tracąc nic ze swojego czaru. . . Napięcie, które wytworzyło się pośród części słuchaczy (tych, którzy nie odrętwieli od gabinetowego ciepła i patosu przemówienia), miało w sobie coś rozkosznego, przyprawiającego o zawrót głowy, a było jednocześnie przesycone oczekiwaniem na niewiadome. Uczułem, że teraz nie zrobię samodzielnie nawet kroku. Starsza pani, która od początku wykładu, ze zręcznością automatu, robiła szal na drutach, zgubiła oczko i ukłuła się w palec. Ale prezes mówił dalej:

— Lata studiów przyniosły w moim życiu zawodowym wiele ważnych rozstrzygnięć. Ostatnie miesiące spędziłem w przeczuciu nadchodzącego odkrycia. Wydawało się, że wszystkie atuty mam w ręku, że moje badania dobiegają końca, i że dalsze pogłębione rozważania nad istotą „dobrej roboty” w naszym bibliotekarskim fachu staną się jałowe i próżne. A jednak oczekiwany przełom nie nadchodził. Dopiero rozmowa z panem Witoldem — oczy wszystkich zwróciły się na W., w kierunku, w jakim prezes wykonał ukłon (znakomite, znakomite wychowanie!) — z którym omawiałem problem rozpuszczania się esencji indywidualnej w kulturze masowej, pozwoliła mi na transcendencję, dekonstrukcję, a potem syntezę moich poglądów na wyższym poziomie.

W. mrugał oczami i zagryzał dolną wargę. Starsza pani ssła palec.

— Myśl, której poświęcam ten wykład, jest niezwykle prosta: przeciwstawmy się schematycznej obiektywności. Esencja indywidualna, o ile przenika postawę obiektywną, w sposób

doniosły ją wzbogaca. Pamiętajcie – czy tego chcemy, czy nie, żyjemy w świecie wyimaginowanym niegdyś przez Duchampa. To dziś: (a) produkuje się białą szminkę do przebarwień pod oczami dla psów i kotów, (b) kurtyną stumetrowej wysokości zasłania górską dolinę w Colorado, (c) uczęszcza na „kursy pielęgnacji dziecka asymetrycznego”, (d) rzuca butem w prezydenta USA, (e) wystawia pomnik owegoż buta na dziedzińcu ochronki dla sierot w Iraku. I tak dalej. Trudno odmówić tym czasom absurdalnego uroku, a absurdalnym działaniom – piękna. Więc i my: bądźmy twórczy, bądźmy bajkowi! – Mamy prawo do indywidualnej ekspresji, do obojętności, do nietolerancji wobec nadmiernej tolerancji, do miłości własnej, ba! do prywatnej jednostki czasu, do zwolnienia od poczucia winy!

(Prezes przestąpił z nogi na nogę i wymamrotał coś jakby: „dość już Giottów i Ingresów bibliotekarstwa”, wtrącając jednak tę nie dość stanowczo wypowiedzianą uwagę w nawias).

– Zróbmy... – mówca zamknął na chwilę oczy i już nie wahał się dłużej – zróbmy dla sztuki katalogowania dzieł to, co impresjoniści i surrealiści zrobili niegdyś dla malarstwa!

– To znaczy co?! – wyrwało się młodej kobiecie (studentce? asystentce?). Speszona, spiekła raka, budząc powszechną acz życzliwą wesołość – była młoda, pełna wdzięku, a w swojej niepohamowanej ciekawości – zniecierpliwiona, zmysłowa.

Prezes – wydawało się – właśnie na to czekał. W jednej chwili osadził emocje w miejscu i począł mówić sucho, przenikliwie, dowodząc że na pewnym poziomie namiętności nikną wszelkie różnice między umysłem ścisłym a humanistycznym (co wywracało do góry nogami cały mój ustalony obraz świata). Przez prezesa przemawiała czysta esencja ludzkiego ducha: – Mogę służyć tylko własnym przykładem – jednym z nieskończonej liczby możliwości, z których i wy zrealizuje-

cie jedynie skończony odcinek początkowy. Mój prywatny księgozbiór składa się z 5217 woluminów, co stanowi około jednej dwudziestej majątku Towarzystwa. Posiadam też kolekcję foliów, pewną ilość akcydensów wydawniczych, manuskryptów, partytur, cennych opakowań, rycin, spisów, pocztówek, banderoli, afiszy i prospektów, których liczba, dokładnie mi znana, przewyższa dalsze dwa tysiące elementów. (Pamiętam, że niewinne słówko „liczba” brzmiało tak gładko, jakby staruszek mówił: „perła”). Zbiory spoczywają w ciemności, zamknięte w dębowych szafach bez dostępu światła. Dzięki temu okazy nie blakną i nie pokrywają się kurzem. Szafy, różnej wielkości, są jednak bliźniacze, gdyż wysokość każdej ma się tak do szerokości, jak szerokość do głębokości. Rozrzuciłem je po całym mieście, w miejscach, które lubię szczególnie. W ten sposób, gdy doglądam swoich zbiorów, łączę przyjemne z pożytecznym. Pierwsza szafa znajduje się na najwyższym piętrze Collegium Novum, druga – w drugiej sali Botaniki, trzecia stoi w prawej kaplicy kościoła ojców Franciszkanów, jeszcze inne: w Coffee Heaven w Galerii Centrum, w pomieszczeniach BHP huty Sędzimir, w bibliotekach Wydziałów Filozofii i Matematyki, obok punktu ksero na Religioznawstwie, w Mandze, w Dworku Łowczego, w domu pana Leszka Długosza, i tak dalej... W dni pogodne, najlepiej suche i wietrzne, jeżdżę rowerem po mieście i wentyluję swój księgozbiór (choć zadbałem wcześniej o to, by budowa szafy umożliwiła minimalny obieg powietrza). Dzieła, które są mi akurat potrzebne do pracy, lub które chciałbym mieć przy sobie dla przyjemności, przewożę w niewielkiej walizce, którą przypinam do bagażnika roweru rzemiennymi paskami.

Nie jest możliwe, aby każdemu z obiektów z mojej kolekcji przypisać ustalone miejsce w szafie. Wprowadzam wciąż nowe

hierarchie, które odzwierciedlają stan mojego ducha i aktualne potrzeby badawcze. Uwzględniam podobieństwo tematyczne, a także syntaktyczne, pokrewieństwo wywoływanych nastrojów, związki historyczne, obiektywne, i wpływ na moją własną historię. Grupuję razem książki, które wzbudzają nadzieję, i te, które ją niszcza, łączę ze sobą miłość i zazdrość, buduję szafy, które zadowolilyby wyłącznie ambitnych inżynierów, i szafy marzeń bladych flegmatyków, szafy infantylne, szafy absurdalne, szafy oddalonych tematów a dużej bliskości fizycznej. Tak naprawdę cały czas poszukuję kombinacji idealnej, która łączy w sobie drapieżność i intuicję, charakterystyczne dla wybitnych debiutów, wraz ze stanowczością i przejrzystością – znamionami dzieł dojrzałych, monumentalnych, wielkich. Chcę złamać symetrię, wyzwolić się z męki patetycznego idealizmu, który mnie dusi od lat, chcę połączyć myśli zawarte w dziełach w myśl nową. Jestem tylko starym bibliotekarzem, ale wierzę, że Bóg bibliotekarzy istnieje i kiedyś pokieruje moją ręką.

Śledząc dynamikę przemieszczeń (międzyszafowa), jestem świadomy tego, kim się staję na starość. Bowiem każda zmiana, której dokonuję w ułożeniu kolekcji, coś o mnie mówi. Ale jest to obserwacja obarczona nieusuwalnym błędem logicznym – moja świadomość siebie wpływa na samą siebie – zatem i ja się zmieniam w sposób niezależny od siebie i zarazem nieusuwalnie zależny od siebie. I dlatego nic o przyszłości nie wiem na pewno. To jednak czyni mnie szczęśliwym człowiekiem.

Jedną z moich książek noszę zawsze przy sobie, odkąd pamiętam. Moim zdaniem jest to najdoskonalsza z powieści napisanych w XX wieku. Nie czytam jej, gdyż wiele lat temu nauczyłem się jej na pamięć. To tylko dziewięć rozdziałów, kilka arkuszy, garstka bohaterów w ciasnej przestrzeni, potem

na wycieczce w górach. Gdy zasiadam do czytania, wystarczy, że książka leży na moich kolanach. W ten sposób oszczędzam coraz słabsze oczy, a nadal syce się tą skończoną doskonałością.

Nie prowadzę katalogu swoich zbiorów w sensie klasycznym. Nie widzę możliwości oddania wszystkich subtelności połączeń pomiędzy elementami księgozbioru, który satysfakcjonowałby moją bibliotekarską duszę. Poza tym, ileż to zbędnych decyzji do podjęcia – wymiar fiszki, rodzaj papieru, a gdzie znalazłbym maszynę do pisania, która wybiłaby ponad siedem tysięcy kartoników? Ale od niedawna, od jakich trzech lat, zauważam dziwny proces. Zaczyna mi się wydawać, że potrafiłbym każdą z książek czy rycin opisać jednym zdaniem-kluczem, które – raz wypowiedziane – zamykałoby w sobie informację oraz aurę dzieła – w pełni. Czysty rozum podpowiada mi, że to niemożliwe... Lękam się, gdyż tę sprzeczność godzi tylko jeden wniosek – kochani moi, nadchodzi koniec – jakiś koniec – mojej epoki, kurczy się czas, który pozostał... a ja nie potrafię się spieszyć... – prezes, nagle wyczerpany, spuścił powoli głowę, i palcem wskazującym, powolnym ruchem, pocierał nasadę nosa.

– Zeszłej jesieni – podjął jeszcze – szedłem przez Zakrzówek. Idąc, czytałem, jak to zwykle... na spacerze. Wiał silny wiatr i dlatego... gdy między kartki książki wpadł żółto-czerwony, żyłkowany liść... dałem mu kilka, a potem jeszcze kilkanaście sekund, by odleciał. Nic takiego się nie stało. Został. Został, a ja zamknąłem go między okładkami. Zamknąłem go – między okładkami.

(Kobieta-automat, robiąca szal na drutach, drgnęła – po czym niespodziewanie nasze spojrzenia spotkały się. Był to, wydało mi się, wzrok od jakiego pękają kolczaste łupiny kasztanów i szarzeje trawa).

Prezes opuścił ręce i znów zamilkł. — Pani Anno — zwrócił się po chwili do młodej kobiety (studentki? asystentki?). — Katalog to ja. Był to oczywisty cytat, którego źródła nie umiałem jednak odgadnąć.

*

Jako następny zabrał głos mecenas Aleksandrowicz, ten sam, z którym W. tak serdecznie się przywitał. Osobisty adwokat profesora Z. nie mówił długo. — Aleksandrowicz — przedstawił się, po prostu. Potem skupił swe świdrujące, wyłupiaste spojrzenie na twarzy prezesa, choć znać było, że zwraca się do ogółu. W trzech zdaniach zawarł wszystko: wysłuchał wykładu z żywą przyjemnością. Przybył tutaj, gdyż, po uprzednim porozumieniu z W., ma zaszczyt przekazać tak znakomitemu Towarzystwu prawo dysponowania księgozbiorem, który pozostał po profesorze Z. Pod jednym wszakże warunkiem — pragnie, by spuścizna po Z. została uporządkowana według osobistej metody prezesa. Prezes wzruszył się tym oświadczeniem, i my wszyscy też się siłą rzeczy wzruszyliśmy, po czym rozległy się gorące oklaski. Pomyślałem, że jest w tym coś niebywale podnoszącego na duchu — patrzeć na grupę kulturalnych ludzi w anonimowym pomieszczeniu, którzy bardzo serio podchodzą do swojego „siebie zebrania”, wzruszają się spontanicznie i tworzą historię, zapisaną potem w kronice poważnego, znającego swoją pozycję Towarzystwa.

Wtedy adwokat niespodziewanie zwrócił się do mnie i poprosił, bym zechciał podjąć się usystematyzowania prywatnych notat i szkiców profesora, wśród których, jak już sprawdził pan Witold (W. potwierdził skinieniem głowy) znajdują się niepublikowane dotąd artykuły, a także dziesiątki, o ile nie setki drobnych obserwacji natury matematycznej, które, być

może, chciałbym wraz z W. opracować, rozwinąć, a następnie wydać w czasopiśmie naukowym, którego tytuł sam wskażę.

Niezdolny wydusić słowa, wykonałem serię dziwnych gestów, które zostały odczytane jako „tak, zgadzam się”. Wtedy zebranie skończyło się i ruszyliśmy tłumnie do mieszkania W. Naturalnie, członkowie Towarzystwa chcieli zobaczyć, o czym mówił Aleksandrowicz. Rzeczywiście, zbiory Z. imponowały objętością. Ja widziałem je po raz kolejny, ale tym razem, tym razem. . . dostrzegłem coś, czego wcześniej nie umiałem wydedukować. Otóż nie był to księgozbiór, który mógłby zgromadzić profesor matematyki. Gdzie podziały się teksty specjalistyczne, opasłe rozprawy czy angielskie monografie, których skrycie pożądałem? Gdzie Church, Haskell, Curry, Gentzen, Bourbaki, encyklopedie? Nie widziałem ani jednego rocznika czasopism, ani nawet śladu książek poświęconych fizyce czy chemii, czy jakiegokolwiek innej nauce ścisłej, które czasem lubią podczytywać geometry. A może to W. — przemknęła mi myśl — wyniósł, zużył do swoich celów, ustawił z woluminów stos w sypialni. Ależ nie, braki nie były powierzchowne. Nie dostrzegałem bowiem nic, nic, nic tematycznie powiązane go z naukami ścisłymi, ba! na półkach nie było nawet jednej cienkiej, nędznej rozprawki popularnonaukowej. Księgozbiór Z. był mi obcy jak mapa nieznannej planety. Na górnych półkach stały ciągiem serie wydawnicze: czarne szeregi PIWu, kolorowe okładki Znaku, grzbiety z elipsą Wydawnictwa Literackiego, a więc literatura piękna, literatura faktu, poezje, pamiętniki, niewymiarowy górotwór albumów o sztuce, niżej wiele grzbietów niepodpisanych oraz nagle: *Teach Yourself: Sanskrit*. To przykuło moją uwagę — podszedłem bliżej i przejechałem palcem po rzędzie okładek: Schopenhauer, Kirkegaard, *Siedem dowodów na istnienie Boga*, *Istota myśli chrześci-*

jańskiej, Historia kościoła, pisma ojców pustyni, socjologia religii, etnologia religii, geografia pielgrzymek, studia maryjne, Pisma ascetyczne, Idea Boga po Auschwitz, Kultura a religia. . .

Nagle uczułem z wielką jasnością, że nic, nic, nic nie możemy wiedzieć o innych, żadnego człowieka poznać choćby powierzchownie i znużony już tymi falami odkryć i zastanowić, byłbym może natychmiast wybiegł do domu, gdyby nie prezes, który pojawił się tuż obok mnie i odciągnął na bok. Jeszcze raz wykwinicie podziękował za deklarację współpracy i wskazał odległy kąt pokoju, gdzie stało biurko z przyległą niedużą witryną. — To właśnie powierzamy pańskiej pieczy, doktorze — rzekł z zagadkowym uśmiechem. Potem odszedł do innych, hucząc radośnie, jak transformator o dużej mocy, a ja podszedłem do biurka i ogarnąłem je uważnym spojrzeniem. Zostałem tam jeszcze godzinę lub dwie, nie doznając dalszych przygód. Piłem czwartą kawę, obserwowałem w sekrecie Annę, prezesa, mecenasa Aleksandrowicza, ustalałem z W. szczegóły pracy, która nas niebawem miała pochłoniąć ze szczętem, a za oknem padał ciężki, mokry śnieg.

*

Od tego momentu, a właściwie od chwili, gdy Madeleine ponownie zjawiała się w Krakowie, zdarzenia poczęły gmatwać się, jakby znaczone jakimś fatalnym piętnem. Co gorsza, fakty, które zaraz opiszę, wypływały z siebie w sposób logiczny i nieuchronny, jakby szły z góry ustaloną ścieżką, nie poddane w najmniejszym stopniu ludzkiej kontroli. Coraz bardziej bezradny, mogłem tylko obserwować konfiguracje łańcucha przyczyn i skutków, których sam nie umiałbym wyimaginarować. Bo ja wiem, może powinienem tylko zdać wam suchą relację z wydarzeń? Ale to oczywiście niemożliwe, bo nie mogę ustrzec się

komentarza, który wypływa nie tylko z samych słów, ale tkwi ukryty w strukturze zdań, selekcji faktów, etc., etc., etc. Pamiętajcie, jak powiedziałem, że w skrytości ducha zazdrościłem W. przychylności rzeczy i wydarzeń? Och, do czasu, do czasu... Może gdyby nie udawało mu się absolutnie wszystko, co sobie zaplanował, sprawy potoczyłyby się inaczej.

Madeleine krążąca jak krew w tej historii! Pojawiła się ze zgrabnym neseserkiem, ale cztery ogromne paczki ubrań i osobistych drobiazgów miały nadejść pocztą. Z dworca przysła piechotą, ulicami Olszańską i Bandurskiego – jej zaróżowiona twarz płynęła w chmurze oddechu, w słodkim mleku pary wodnej, zwykle niewidocznej, ujawnionej teraz przez poranny mróz. Gdy Mady przekroczyła próg antresoli na pierwszym piętrze (kamienne schody wgłębiły się na środku od setek tysięcy wykonanych kroków), oniemiała z zachwytu. Czarny Steinway – tutaj! Teraz! Nie zdejmując płaszcza, ani nie wycierając rosy, która zebrała się na jej nosie i końcówkach włosów, usiadła na stołku. Rękawiczki, które zsunęła z dłoni, spadły na podłogę. Położyła palce na klawiaturze – jeszcze zmarznięte, opierały się kością o kość klawiszy (u pianistów najmniejszy palec u każdej dłoni wygina się do środka od setek tysięcy wykonanych uderzeń). Pierwszy pasaż był zmrożony, narastał długo, jakby staruch Steinway nabierał oddechu. Ale następne dźwięki wpadały już w koleiny rytmiczne i struktura muzyczna zaczęła rosnać – potężniała od wewnątrz, wzmacniała się, nabierała tempa, pojawiły się cykle, imitacje, powtórzenia z drobnymi zmianami. Materia muzyczna nabierała pewności, pochłaniając w siebie coraz większą przestrzeń, ogłaszając światu (to jest: mieszkańcom domu) pojawienie się nowego życia, nowej wrażliwej inteligencji pod jednym dachem. Madeleine żywiłowa, zmysłowa!

Gdy wybrzmiały ostatnie nuty, stare mury pograżyły się w absolutnej ciszy. Madeleine była zadowolona z siebie – fortepian brzmiał głęboko i czysto, choć oczywiście w tak małym pomieszczeniu nie wykorzystwała nawet ułamka jego możliwości. Postawić tak rasowy instrument w tak fatalnym miejscu – było to zdumiewające marnotrawstwo, ale Mady nie lubiła dociekać przyczyn rzeczy, o ile w grę nie wchodziły ludzkie namiętności. Wstając od klawiatury, myślała już tylko o W. Poprawiła włosy i rozpięła płaszcz. I zadzwoniła do mieszkania Witolda. – Przyjechałam się tobą zaopiekować – rzekła, gdy otworzył drzwi.

Tymczasem mieszkańcy kamienicy powoli trawili wrażenie, jakie wywołał ten gwałtowny, niespodziewany koncert. A trzeba powiedzieć, że każdy usłyszał to, na co zasłużył. (Zważcie, że na podobny mechanizm wykorzystują przepowiednie astrologiczne). Prezes, który od siódmej rano przekręcał klucz w zamku siedziby Towarzystwa, a pięć minut później zasiadał z filiżanką kawy do porannej prasy, odłożył gazetę, zdjął okulary i wetknął końcówkę oprawki w usta. – Grażyna Bacewicz, 1909–1969, *Allegro z Simfoniety*, 1929, z małym błędem w tytule, ale za to w niezłej transkrypcji na fortepian – zamruczał, zadowolony ze stanu swojej wiedzy ogólnej. Po czym wrócił do lektury, bo wścibstwo było mu całkowicie obce.

Piętro wyżej siostry Emanuela i Kamila, które właśnie wierzyły pokój modlitw, spojrzały po sobie i parsknęły śmiechem. To był mroźny dzień, z oślepiającym białym słońcem. Smród grzechu ulotnił się w ułamku sekundy, otwarte okno buchnęło parą.

Matkę Agnieszkę, przełożoną Sióstr, porwały duszne wspomnienia. Padła na kolana i modliła się słowami z dzieciństwa, jak gdyby ich niewinność mogła ujarzmić rozpasane obrazy

dawnego życia.

Achille zerwał się z łóżka i próbował biec, ale jego ciało odmówiło posłuszeństwa. Runął na podłogę. Nie potrafił i nie chciał się podnieść. Zamknął oczy i chłonał w siebie obce, północne dźwięki, obrazy germańskich borów i jezior skutych lodem. Ogarnęło go wielkie uniesienie. To było coś, czego szukał od lat w tym deszczowym, ponurym kraju introwertyków. Poczł uderzenie gorąca i wilgoć na twarzy. Z trudem dźwignął się i zastygł na czworakach ze zwieszoną głową, naprzeciw swego psa. Trwali tak długo, podobni do siebie, jak osobnicy jednej rasy. Ale właśnie wtedy muzyka zniknęła.

Rozdział IV

Maszyny

Wykład w siedzibie Towarzystwa Bibliotekarzy i oferta, którą otrzymałem później, ugodziły mnie w samo serce i nasączyły je słodkim narkotykiem. Byłem szczęśliwy i oszołomiony: zacząłem pracować z Witoldem, uzyskałem też dostęp do osobistych notatek profesora Z., które sporządził w ostatnich miesiącach swojego życia. Przeczuwałem... przeczuwałem, że skrywają obserwacje wielkiej wagi, które zupełnie odmieniają jakość moich badań.

Moją radość mąciła tylko jedna myśl: że pewnego dnia ulegnę woli Wielkiego Klasyfikatora, któremu już raz udało się zahipnotyzować mnie podczas wykładu, a który zjawiał się od czasu do czasu w mieszkaniu Witolda, by z miłością przyjrzeć się nowemu inwentarzowi Towarzystwa. Musiałem jakoś wykluczyć możliwość, że oczaruje mnie swoimi ideami i zniszczy pancerz obiektywności, który i tak trzyma się na mnie z trudem.

Rozwiązania problemu poszukałem na uniwersytecie. Poprosiłem dziekana o znaczące zwiększenie pensum — spojrzał na mnie wzrokiem, jakim niegdyś pierwszy odkrywca okapi musiał patrzeć na pierwszego odkrytego okapi, ale w końcu zgodził się. Ja zaś wiedziałem, co robię. To miała być moja nić Ariadny, po której, w wypadku zagrożenia, wydobędę się z labiryntu szaleństwa. Odtąd codziennie prowadziłem ćwiczenia ze studentami — odbywały się w niewielkich grupach i zwykle przypominały występ w teatrze jednego aktora — naprzód proponowałem zadanie, po czym wprawiałem się w stan bliski euforii, by skrzesać choćby iskrę zainteresowania w siedzących naprzeciw mnie władcach przyszłej, wspaniałej epoki. Tym-

czasem władcy, nastawieni do życia ultraracjonalnie i hiperoszczeniowo, milczeli. Och, byli wspaniali w swojej lodowatej pogardzie dla mego autorytetu — dla wszelkich autorytetów! Ale ponieważ spotykaliśmy się na dobrym uniwersytecie — od czasu do czasu któryś z nich wstawał i przy tablicy rzeczowo, zwykle bezbłędnie, objaśniał rozwiązanie. Wtedy ja znów wpadałem w trans, wydobywałem z magicznego kapelusza nowe problemy, dając swoją postawą do zrozumienia, że odkrywam przed nimi Prawdę. Nawiasem mówiąc, tak też w istocie było, tyle że mówienie wprost o czymś tak nieokreślonym jak Idea, Prawda, Pasja, Namiętność przyjmowano tu za głęboki nietakt, którego unikałem, kryjąc się pod maską nadmiernej egzaltacji. (Będąc nadmierny, stawałem się ironiczny — to zaś rozwiewało podejrzenia, że angażuję się sercem, a nie rozumem). Niestety, nie potrafiłem inaczej! Gdyż najwspanialej byłoby całkowicie pozbyć się euforycznego stylu i ciąć precyzyjnie jak chirurg. Ja — nie umiałem. Jakże ubolewałem nad tym! Jakże wyrzucałem to sobie! Oddałbym wiele, aby być jak maszyna, która nie popełnia błędów i nie okazuje najmniejszej ułomności — wtedy byłbym królem nad zimnymi władcami przyszłości — faraonem, którego czciliby jak boga.

Już za pierwszym razem, gdy usiadłem za biurkiem starego Z., przyrzekłem sobie, że zrobię wszystko, aby zostać profesorem. Mebel był ogromny, szeroki, masywny, a blat pokrywała błyszcząca politura. Biurko ustawiono pod oknem, by wykorzystać w pełni światło dnia, a może po to, aby wzrok mógł odpocząć, ślizgając się leniwie po węzowisku nagich gałęzi orzechów i wiśni, które rosły na dziedzińcu. Ale większa jeszcze przyjemność czekała tuż obok: gdy człowiek wyciągnął się w obrotowym fotelu, dostawionym do blatu, stopy sięgały grzejnika.

Więc z ochotą przyjmowałem pozycję pólleżącą, podłączając się stopami do źródła ciepła. Siłą rzeczy, wzrok wędrował w górę i często, zamiast pracować, oglądałem desant śnieżynek lub zwykłe, ciche nadejście zmierzchu. Pozwalałem myślom dryfować swobodnie, ale łapałem się na tym, że rozmyślam głównie o swoim mażeństwie, które — zaczynałem to widzieć jasno — nie zaczęło się najlepiej. Na szczęście, gdy tylko ten wniosek formował się w mej głowie, trzeźwiałem i odłączałem się od kaloryfera. Tak minęło kilka dni, ale praca w końcu ruszyła. Niebawem nie mogłem już myśleć o niczym innym, tylko o tym, co znalazłem w biurku profesora Z.

— Zauważyłem coś dziwnego — zagadnąłem W., gdy wrócił do domu z jakiegoś wernisazu. Od kilku dni miałem swój klucz i mogłem pracować, kiedy chciałem. W. zdejmował szal i pochylił się nad kartką, którą trzymałem w dłoni. Wskazałem na uwagę, którą Z. uczynił na temat znanego twierdzenia geometrii różniczkowej. Gdy W. usiadł obok mnie, wykonałem kilka przekształceń i przez kilka sekund wlepialiśmy oczy w nieoczekiwany wynik. — Wniosek narzuca się sam — szepnął W. w zamyśleniu. — Zgadza się, to niemożliwe — podjąłem, ale W. powstrzymał mnie, kładąc mi rękę na ramieniu. — Chwileczkę, chwileczkę, chciałem tylko powiedzieć, nie wiemy przy jakich założeniach pracował Z. — Spójrz, to przecież tylko luźna uwaga na marginesie, nieopatrzona komentarzem.

O, nie ma potężniejszej zachęty, niż wykazanie swojej racji, zwłaszcza gdy występuje się przeciw trudnemu przeciwnikowi — opędziałem się od tej myśli, ale w głębi serca dojrzało postanowienie — pokażę, że moje na wierzchu! Dowiodę, że geniusz się myli, że szkodzą mu te wycieczki w krainę humanistyki — no, bo jeśli widać, że dwa plus dwa jest pięć, to jest to nieodwołalnie błąd, którego nie sposób obronić.

Poysłałem: niech noc rozstrzygnie, niech noc zadecyduje! Tego wieczora nie poszedłem do domu. Zostałem w mieszkaniu Witolda. Punkcik lampki na biurku Z. trwał długo w czarnym odmęcie nocnym — nikły atom na powierzchni planety ciśniętej w otchłań kosmosu.

Rankiem znaleziono mnie w ciasnym rulonie koca, zgiętego w fotelu, z głową złożoną na brulionie w kratkę. Ślina, która wyciekła mi z ust, gdy spałem, zrobiła czarną plamę na końcu zdania. Zawstydzilem się. Szybko zatrzasnałem zeszyt i wsunąłem go do szuflady.

Byłem zgnieciony i osłabiony — niestety! — W. odgadł prawdę: stary profesor poruszał się w nieznannej mi asjomatyce. To, co czytałem, wciągało i budziło nieoczekiwane zaufanie, ale bez klucza — po prostu nie miało sensu. Około północy poddałem się i chciałem krzyczeć z bezsilności. Powstrzymała mnie tylko myśl o tym, jak absurdalnie wyłoniłby się ten krzyk w ciszy uśpionej kamienicy. W pasji kilkakrotnie zapaliłem i zgasilem lampę, a potem, zgrzytając zębami, powlokłem się do kuchni. Poruszając się po omacku, zaparzyłem smolistego szatana i wypilem duszkiem, parząc sobie wargi. Wtedy pojąłem, że nie wolno mi przestać — muszę szukać wyjaśnień, szukać do skutku. Wróciłem do biurka i wyjmowałem po kolei wszystkie papiery, starannie zapisując ich pierwotne ułożenie w szufladach.

Z. używał cienkich, luźnych, gładkich kartek, które pokrywał ciasnymi znakami. Z głównego tekstu pączkowały wyjaśnienia, prowadzone dalej po skosie, znikające przy marginesie lub miażdżone o brzeg stronicy. Profesor pisał szybko i pewnie, wykorzystując każdy skrawek karty, tak że zapisana strona wyglądała jakby ktoś wylał na nią farbę drukarską.

Zdumiewała mnie treść tych rozważań... Ale musiałem się

koncentrować — jeszcze nie byłem u źródła, odkładałem na bok wszystko, co nie mogło mi pomóc w tamtej chwili. W końcu moja dyscyplina i cierpliwość przyniosły owoce — oto znalazłem początek dziwności, centrum, z którego rozchodziły się aberracje. Z. pisał: „Model prostej geometrycznej zrealizowany arytmetycznie jest nie do przyjęcia — prawdziwe *continuum* jest niepodzielne i, w szczególności, nie ma punktów.”. A potem: „Euklides utrzymywał, że prosta jest nie tylko pierścieniem przemiennym, ale ciałem, co w sposób oczywisty wynika z założenia, że wyróżniając dwa punkty na płaszczyźnie, albo są sobie równe, albo wyznaczają dokładnie jedną prostą. Nie mogę się zgodzić z Euklidesem. . . ”. Przetarłem oczy i spojrzałem jeszcze raz. Tuż poniżej odczytałem aksjomat, od którego wstały mi włosy na rękach: „Każda styczna łączy się z krzywą w zbiorze afinicznym, który ze swej natury nie może być ani zgięty, ani przerwany, a mimo to nie jest punktem”.

*

W. potraktował moje znalezisko z wielką powagą i zainteresowaniem. Moja zawziętość stopniała w ułamku sekundy — i tak zaczął się miesiąc, który zapamiętam na zawsze. — Natura non facit saltus! — W. skomentował zdumiewający aksjomat. Już wtedy musiał widzieć więcej, niż ja po całej nocy rozmyślań. Gdyż — zastanowiłem się później — mógł wydedukować wiele z naszej wczorajszej rozmowy. Do tego trzeba było jednak odwagi i zaufania — pewności, że stary Z. nie mógł się mylić. Takie poczucie rodziło się zwykle z osobistej przyjaźni, choć brałem też pod uwagę wdzięczność — zwykłą, ludzką wdzięczność za pozostawiony majątek. Nic w tym dziwnego — matematyka jest raczej zjawiskiem społecznym, niż nauką ścisłą, choć do tej myśli trzeba przywyknąć.

— Siądźmy, trzeba na to uważnie popatrzeć — poprosił W. Milczeliśmy i wlepialiśmy oczy w Zetowy maczek. Milczeliśmy i piliśmy kawę. Milczeliśmy długo. Milczeliśmy, aż z kątów mieszkania wypełzły sine liszaje zmierzchu. To było to. Myślę, że wieczorem wiedzieliśmy już tyle, by zacząć rozmawiać. Różnica między nami polegała na tym, że ja korzystałem ze *w s z y s t k i c h* notatek Z. — tymczasem W. odczytał na głos założenia, które skompletowałem już około czwartej nad ranem, a potem oddał mi plik kartek i więcej do niego nie zaglądał. Obaj czyniliśmy drobne uwagi. Przepęłniało mnie szczęście.

Odtąd przychodziłem codziennie, choćby na dwie, trzy godziny. Obok notatek Z. rósł stos naszych komentarzy. Działo się coś niezwykłego — podążając za myślą Z. odrzuciliśmy dwa tysiące lat tradycji matematycznej, a mimo to nie natknęliśmy się na żadną sprzeczność. Wręcz przeciwnie — standardowe konstrukcje geometryczne upraszczały się i piękniały w oczach. To był dobry znak, gdyż — choć nikt nie wie, dlaczego — piękno jest jednym z najważniejszych kryteriów poprawności rozumowania, zaś teorie nieestetyczne prawie zawsze okazują się fałszywe.

Mówiąc w największym skrócie, patrzyliśmy na syntetyczną wizję geometrii różniczkowej, w której rozumowania graniczne zastąpiono prostą arytmetyką wielkości infinitezymalnych. Nie była to jednak kolejna zawołowana wersja analizy niestandardowej Abrahama Robinsona, lecz zupełnie nowe rozwiązanie. Aby teoria Z. (nazwaliśmy ją „teorią \mathbb{Z} ” z wiadomych względów) miała szansę być niesprzeczną, jej autor musiał odrzucić prawo trychotomii oraz pewnik wyboru (wszystko ma swoją cenę!), by w zamian posłużyć się wewnętrzną, intuicjonistyczną logiką toposów, posiadających pewien nie-

zwykły obiekt-pierścień, grający rolę zbioru liczb niezerowych, których kwadrat jest zerem. Toteż gdy tylko Z. dowiódł, że toposy o takich właściwościach istnieją (co było bodajże najtrudniejszym krokiem), mógł już odebrać nagrodę: w każdym nowym uniwersum dowolne przekształcenie było nieskończenie wiele razy różniczkowalne, a continuum – niepodzielne i rozciągliwe jak guma. Dzięki tej właściwości świata zniknęły wszelkie źródła możliwych, przyszłych patologii: delta Diraca, trawnik Dirichleta i tym podobne potworności. Tyle obejmowałem swoim rozumem ja, a widziałem, że i na W. projekt starego profesora wywarł ogromne wrażenie.

Praca pochłonęła nas do tego stopnia, że nie pamiętam, aby w zwykłym ciągu miesięcy zimowych wystąpił luty. Skoro jednak „natura nan facit saltus”, przyjmuję że go po prostu przegapiłem. W zamian otworzył mi się nagle widok w głąb, w archiwum historii myśli ludzkiej, i rozciągał się coraz dalej i dalej, aż do najdalszych horyzontów. Zjawiska, które studiowaliśmy pochodziły z różnicy poglądów na geometrię u Euklidesa i Protagorasa; spór ten nabierał kolorów w czasach Newtona i Leibniza, a zduszony przez Weierstrassa i zapchnięty w czelusć zapomnienia, odżywał, już łagodniej, racjonalniej, w późnych latach siedemdziesiątych. Tej otwierającej się perspektywie przyglądałem się z ogromnym spokojem geometry nowego tysiąclecia. Przecież za moimi plecami stali Z. i W.! Stawaliśmy się częścią historii – ależ to obezwładniające uczucie! Wiedziałem, że pewnego dnia przekroczę granice osiągnąć moich mistrzów i otworzy się znów nowa epoka, dla nich niedostępna. Pamiętam – pomyślałem wtedy, że prezes i Witold, wskazując na mnie, dokonali najlepszego możliwego wyboru. Tamtego cudownego miesiąca uwierzyłem w swoje siły.

Pracowaliśmy w zwykły sposób: W. zadawał pytanie — ja szukałem odpowiedzi. Potem on próbował moim wynikiem zaprzeczyć — ujawniał słabe punkty rozumowania i atakował je, nie okazując litości. Przyznaję, że robił to w pięknym, wysokim stylu — druzgotał moje wypocone konstrukcje jednym trafnym i do tego minimalnym kontrprzykładem. A ja — cóż było robić — zbierałem walające się szczątki srebrzystorybich łańcuchów logicznych, dołączałem szlachetny kruszec kontrprzykładu i szedłem na bok na kilka godzin, by lepić nowy argument. Z biegiem czasu moje odpowiedzi nabierały mocy i poczęły urzekać przejrzyistością — widziałem, że teraz nikt, absolutnie nikt nie mógł im nic zarzucić. Znów przychodziłem do W., który łączył te gotowe, perfekcyjne elementy w pojemniejsze teorie i dalej drażył ich użyteczność coraz głębszymi sondami pytań. Lecz i na nie umiałem znaleźć odpowiedzi. Walczyłem teraz o każdy krok dedukcyjny — no i przyszła taka chwila, że W. poddał się, a ja utrzymałem swoją rację. Pamiętam, że powiedział wtedy z podziwem: — No, no, widzę, że używasz swojej inteligencji, gdy tymczasem ja bezmyślnie biję głową w mur.

Następnego dnia przytaszczyłem do mieszkania W. szkolną tablicę i paczkę kredy, co przyjął ze zrozumieniem. Tym samym jeszcze bardziej ulepszyłem nasze dyskusje — nie dość, że po przyśrubowaniu tablicy do ściany, mogliśmy spierać się, krążąc po pokoju, to jeszcze przegrany w dyskusji mógł odegrać się na adwersarzu w drugiej (po dowodzeniu twierdzeń) konkurencji tablicowej. Mam na myśli rzut kredą do rynienki na kredę, umocowanej wżłuż dolnej krawędzi tablicy. Traktowaliśmy te zawody niezwykle poważnie — kto przegrał, mył naczynia po kolacji.

Gdy patrzyłem jak W. pięknym lobem ładuje patyczek kredy

do blaszanego pojemnika – chciałem wierzyć, że choć trochę tęskni za uniwersytetem. Ale – niestety – jego działania nie były konsekwentne, przez co wymykały się interpretacji. Zdaniem Madeleine, z którą kiedyś rozmawiałem poufnie, Witold był jak rtęć, która rozsypała się na podłodze. Albo jak woda, przyjmująca kształt obejmującego naczynia. Pracując ze mną, Witold stawał się dawnym uczonym, ale pozostawiony sobie – dryfował swobodnie ku przypadkowym zajęciom. Mnóstwo czytał. Wychodził, wracał. Rozmyślał. Właściwie nie posiadał już potrzeb finansowych: opłaty za mieszkanie pokrywało teraz Towarzystwo Bibliotekarzy. Na dodatek matka M. co miesiąc wysyłała córce pieniądze na utrzymanie i – jak domyśliłem się wkrótce – Madeleine wspaniałomyślnie przekazywała część z nich Witoldowi.

Tuż po zakończeniu sesji zimowej Mady rozpoczęła pracę jako instruktor kształcenia słuchu na Akademii Muzycznej – trzeba było widzieć, jak lśniły jej oczy, gdy przyniosła nam tę nowinę. Poza tym, M. – jak sama mówiła – syciła się atmosferą Krakowa, poznawała nowych ludzi, etc., etc. Za zgodą sąsiadów (tj. Sióstr i Towarzystwa) ćwiczyła grę na fortepianie, znajdującym się w antresoli. Gamy, pasaże i ćwiczenia harmoniczne, jako zbyt uciążliwe dla mieszkańców kamienicy, zdecydowała się wykonywać w wynajętej sali Akademii. Ale pracę nad utworami przynosiła – jak to się mówi – do domu. Tak więc codziennie między siedemnastą a osiemnastą słuchaliśmy koncertów, o dość imponującej rozpiętości tematycznej – od wczesnych polifonii po Lutosławskiego i Glassa. Wykonania były tak dobre, że otwieraliśmy na oścież dwuskrzydłowe drzwi, zarówno do mieszkania W., jak i do Bibliotekarzy, przez co altana zamieniała się na czas prób w długi korytarz, po którym dobrze niósł się dźwięk. Nic dziwnego, że koncer-

ty zaczęły gromadzić znaczącą publiczność. Przychodzili nawet melomani z ulicy, ciekawscy i zaskoczeni: jacyś studenci, weterynarz, wrażliwy hydraulik, młode małżeństwo z cichym niemowlakiem, manicurzystka, która ronila wielkie jak złotówki, srebrne łzy wzruszenia, a raz nawet znana piosenkarka, która do akompaniamentu M. wykonała *Come Away With Me* Nory Jones. Zostawiła Madeleine numer telefonu i czasem wychodziły razem na zakupy.

*

Mimo, że wiosny jeszcze nie było widać, stada ptaków wróciły z Afryki, by obsiać drzewa na wewnętrznym dziedzińcu kamienicy. Mój Boże, brakowało tylko flamingów! Ślęczałem wtedy nad pamiętnikami profesora Z., pochodzącymi z trzech ostatnich lat przed śmiercią. Ostatnie zeszyty straciły na czytelności. Jego pismo pochyliło się, a litery — mimo że nie słane już tak gęsto — zachodziły na siebie w pionie, jak gonty dachówki. Ale *n i e t o* budziło mój największy niepokój. Chodziło o treść zapisków, a chyba też i o niewielkie rysunki, coraz częściej ilustrujące główną linię argumentacji. Wpatrywałem się w nie, i choć znałem już metodę i narzędzia Profesora, nie umiałem odczytać ich znaczenia. Znów poczułem się tak, jak pierwszego dnia; tyle że byłem teraz innym człowiekiem — intensywna i systematyczna praca zmieniła mnie w pewnego swojej wartości młodego naukowca — byłem przekonany, że znajduję się dopiero na początku drogi do szczytu możliwości twórczych.

Rysunki, czy raczej diagramy, które przykuły moją uwagę, przedstawiały pęki krzywch. Ich kompozycje przechodziły ze skrajności w skrajność — raz skupione gęsto w punkcie, innym razem rzadkie — to rozłączne, to przecinające się. Kreślone

nie tak już pewną ręką, niektóre zdawały się być zwiastunami strachu lub ukrytej choroby. Opierając się memu sceptycyzmowi, urzekały wewnętrzną dynamiką, która pchała mnie do poszukiwań matematycznej zasady, wedle której zostały sporządzone. Strawiłem tydzień na roztrząsaniu możliwości, analizie przypadków, dokonując redukcji tych zawitych ornamentów do form podstawowych. Na końcu pozostałem z kilkoma głównymi typami konstrukcji: (a) dwie proste zbliżające się do siebie, nie przecinające się — figura ta zdradzała niepokój, zapadanie się w siebie, ale też nieuchronność (spotkania, kolizji), nadmierność (ciężenia), niestabliność; (b) wiązki krzywych: ciasne, równoległe, z rozgałęziającym się nurtem, organiczne, przypominające tkankę mięśniową, pofalowane, płynne, płaczliwe, mokre, wyrażające coś na kształt niezależności istnienia, kontrastualne, nieobejmowalne, wolne, irytujące; (c) formy zygzakowate i gzygzakowate (różniące się istnieniem bądź nieistnieniem symetrii, tak jak ‘zy-gzy’ przeciw ‘gzy-gzy’), czyli odcinki ograniczone w ruchu, a przez to uosabiające po równo linearność i planarność (każdy zyg-zag, będąc krzywą, wyrażał m o ż l i w o ś ć zamknięcia w swym wnętrzu przestrzeni), dynamiczne, maszynowe, elektryczne, impulsywne, kondensujące, rozgrzewające, dość mi sympatyczne, życzliwe, nawet zabawne; i w końcu: (d) struktury rytmiczne, punktkształty artykulacji, prymitywne, dudniące, mrukliwe, uparte, tępe, o prezencji metrycznej, oraz (e) okręgi — coż, jakie są okręgi, każdy widzi: okrągłe, czysty erotyzm.

No, ale nic z tego nie wynikało. Za wyjątkiem jakiegoś mglistego podobieństwa do idei rozproszonych szaf Arcybibliotekarza... Postanowiłem więc, że nie będę nic o rysunkach wspominał Witoldowi — lepiej dmuchać na zimne! Nic mi jednak nie przyszło z dobrego postanowienia, gdyż pewnego dnia ani

się nie spostrzegłem, a W. zajrzał mi przez ramię ...!

– Co to?

– Właściwie to nie mam pojęcia.

– Przywodzi na myśl...bo ja wiem? – kółka, sprężyny, tryby, blaszki – jakieś części maszyn?

– Raczej oznaczenia muzyczne – dynamika – agogika – przy moim drugim ramieniu pojawiła się Madeleine, a gdy pochylała się, jej włosy musnęły mi ucho. – Widzicie, chłopcy? dwie kreski, które się zbliżają – diminuendo. Zygzaki – tryle.

– Nie, nie – sprzeciwił się Witold – śrubki i blaszki.

– A co profesor chciałby wyrazić przez śrubki – zwróciłem się najpierw do W. – albo tryle? – potem do M. – to jest wykład o mikroprzepływach w polu wektorowym.

– Więc tym bardziej moja interpretacja... – W. chciał uzasadnić swój punkt widzenia, ale Mady przerwała mu łagodnie:

– Może zobaczymy oryginały?

Pochyliliśmy się w trójkę nad zeszytem. Mady twierdziła, że wygląda jak partytura – „jak chcecie, to wam zagram”, W. milczał, a potem odparł, że już dawno myślał o interpretacji mechanicznej teorii \mathbb{Z} , gdyż jest k o n s e r w a t y w n y m rozszerzeniem „zwykłej” geometrii różniczkowej – na to M. odparowała, że to my jesteśmy konserwatywnymi nudziarzami, a poza tym nie znamy się na muzyce. Przyglądałem się im z uwagą. Byli sobie warci! Kierowali się własnymi regułami, pozostając głusi lub otwarcie nieposłuszni wobec wszystkich innych reguł. Przebywając z nimi, dostrzegałem ich jawne, nieskrępowane dążenie do wolności. Ale gdy Witold uważał wolność za nieubłaganą konieczność rozumu, Madeleine szukała jej w bliskości innych ludzi (zaryzykuję nawet stwierdzenie, że dbała przede wszystkim o bliskość W.). Co ciekawe, oboje istnieli wyłącznie w terażniejszości, ale w odmienny sposób: W.

konfrontował rzeczywistość dnia powszedniego niejako z musu, zaś M. przeżywała każdą chwilę z nieklamana przyjemnością, nie myśląc nigdy o tym, że mogłaby — jak to już raz uczyniła — w ciągu kilku godzin spakować się i odejść. Myślę, że siła, która oddziaływała na tych dwoje była zarazem odpychaniem i przyciąganiem. Mógłbym to ująć w ten sposób, że razem posiadali wzorową tożsamość, a osobno nie. Każdemu z nich brakowało niezbędnego elementu: Madeleine potrzebowała trwałej odrębności od innych, W. — tożsamości z samym sobą. Ach, gdybym mógł sfalszować opowieść, zlepiłbym tych dwoje w jedną postać literacką. Wtedy jednak... nie odbyłaby się dyskusja nad rysunkami Z., w głowie M. nie powstałaby idea wykonania ich na fortepianie, zaś W. nie skierowałby swoich myśli ku mechaniczycznej interpretacji teorii \mathbb{Z} .

Nie wiem, jak to się stało, ale gdy patrzyłem na tych dwoje (W. bronił się ze śmiechem, rozkładając ręce — usta Madeleine poruszały się bez przerwy w zmysłowej podróży do początku, środka, końca i początku, środka, końca i początku następnego zdania — potem znów pochyłili się nade mną, nad brulionem Z.) poczułem się nasycony, spuchnięty od powietrza, zakorkowany, wzdęty... przeprosiłem ich i wyszedłem — chyba nawet tego nie zauważyli — na szczęście (jak dobrze) wracałem do pustego domu — Renata od tygodnia była na warsztatach operowych w Amsterdamie — spakowałem się i stałem, spakowany, pół godziny przy oknie, potem położyłem się do łóżka w ubraniu, spałem, a rano wyjechałem za miasto. Znów stałem — w butach, w polach, w pustej przestrzeni, w błocie, rozglądając się wkoło. Zima, ale już roztopy.

Zima, ale już roztopy. Białe płachty pól. Na ścieżce — pochylałam się — czarna larwa, zapowiedź motyla — pełnie po czymś, co musi być dla niej nieskończenie białym, płaskim

i wiecznym wszechświatem. No, kochana, nie masz szans. Zastanawiam się, czy przydepnąć, zmiażdżyć, z litości, ale nie – zostawiam, choć nadziei, dla niej, nie ma. Niechby nawet wpełzła do odcisniętego śladu buta, doszła do ziemi, wkręciła się w nią – zginie od nocnego mrozu. Pierwszy motyl, wyrzucony gdzieś z piekła na ziemię, ślepy, bezskrzydły, czołga się, ruchomy, martwy, w nieograniczonej bieli.

Zacznę jeszcze raz, od zapisu pejzażu. Granatowy pas okala horyzont. Zawsze tam jest – takie jest prawo głębi patrzenia – rzeczy dalekie sinieją, bo wpadają w chłód niebieskiego widma. Jeśli ów pas opiszę jako lokomotywę, która wypuszcza kłęby pary w niebo, to wtedy obłoki będą miały sens. Ich lenistwo jest komiczne. Niżej – śnieg, podbity trawą, ugory zapędzone w stożek perspektywy, który rozszerza się ku mnie i śle pod nogi, przypominając swą ciągłością, że stoję niżej nieba, na poziomie lokomotywy horyzontu. Skrawek pola pod butami, gdzie nie ma śniegu, przyprawia o ból głowy – źdźbła trawy, podparte stelażem zmrożonej wody, są liczne jak królestwo szarańczy – nie wskazują żadnego kierunku i zarazem wskazują wszystkie. Ziemia jest podziurawiona otworami, które dają schronienie nornicom, a może są tam z innego powodu – może wentylują rozległe, podziemne magazyny i maszynownie, ukryte w trzewiach Ziemi, konieczne dla jej obrotów wokół Słońca.

Strasznie zmarzłem na tych polach. Dostałem grypy i leżałem tydzień w łóżku. Musiałem odpocząć. Renaty wciąż nie było, dzwoniliśmy do siebie raz czy dwa, chciała zostać jeszcze, zwiedzać – nie miałem nic przeciw temu.

Do pracy z Witoldem wróciłem z nowym entuzjazmem, ale na miejscu okazało się, że pod moją nieobecność wytworzył się nowy układ sił i nie pozostało mi nic innego, tylko przy-

zwyczaić się do obcych warunków. Podczas mojej absencji W. nocami studiował diagramy Z., zaś w ciągu dnia dyskutował z Madelaine o muzyce. Co gorsza, przyjmował w odwiedziny Arcybibliotekarza, który z pomocą Anny dokonywał drobnych zmian w bibliotece Profesora. Teraz, gdy przychodziłem, prezes był niemal stałym gościem – kłanialiśmy się sobie uprzejmie i staruszek podejmował przerwane czynności. Najczęściej stał przy jednej z półek i, wyjmując po kolei każdą z książek, dyktował Annie przedziwne zdania, zawile lecz pełne precyzyjnie sformułowanej treści, wręcz pękające od charakterystycznej frazy, za każdym razem innej, tak jak za każdym razem inna książka spoczywała w jego dłoniach. Co pewien czas prezes podawał wyłącznie liczby, które – łatwo to zauważyć matematykowi – powracały w niewielkich okresach, jakby przysposobione do łatwiejszego zapamiętania. Ale nie dziwiłem się temu – oto jak łatwo przyzwyczaić się do najdrastyczniejszej anomalii, gdy powtarza się uporczywie w naszej obecności!

Kiedy pracuję, kiedy czegoś szukam, moje oczy widzą tylko to jedno. Wiedziałem, że notatki Z. zawierają prawdziwy skarb, i zamierzałem go pokazać światu. Czułem głęboką wdzięczność dla Witolda za jego dotychczasowe zaangażowanie, choć byłem już całkowicie pewien, że środowisko naukowe go utraciło, że spędzony z nim zimowy miesiąc był ostatnim etapem jego kariery. Wiedziałem tylko, że będę go zawsze wspierał. Nadal cenilem w nim mistrza, ale również przekraczałem go, wychodziłem poza etap imitacji – do tej pory żyłem w jego cieniu, jabym był tym samym człowiekiem, ale z opóźnieniem. Teraz nasze wybory nie dawały się już porównać.

Osiemnastego marca, w urodziny Madeleine, Witold skonstruował *Pierwszą Maszynę Feynmana*. Opis urządzenia znajdziecie w pierwszym tomie słynnego podręcznika Richarda

Phillipsa Feynmana. Z teoretycznych rozważań wynika, że maszyny nie można zbudować. Gdyby nie fakt, że W. złożył ją i, co więcej, udowodnił na gruncie teorii \mathbb{Z} , że konstrukcja jest poprawna, nadal wierzyłbym, że ta maszyna nie istnieje. No, ale subtelność jest znakiem rozpoznawczym \mathbb{Z} , a przypomnę też, że w latach czterdziestych nikt nie wierzył w tunelowanie Josephsona. Swoją drogą, to ciekawe, że w epoce, kiedy odkrycia fizyki są bardziej fantastyczne niż mity sumeryjskie, uniwersyteckie wydziały fizyki – powiedzmy to delikatnie – nie przeżywają oblężenia.

Pierwsza Maszyna była pełna cudownych sprzeczności. Rzdziła sobie pozornie bez udziału czynników zewnętrznych, ale właśnie to zewnętrzne oddziaływanie było fundamentem jej działania. Jeśli kiedykolwiek czytaliście opis Feynmana, wiecie, że Pierwsza Maszyna, opuszczając jedną kulę na długim ramieniu dźwigni, podnosi trzy kule na ramieniu krótkim. Mówiąc ściślej, na krótkim ramieniu podnosi trzy kule jednostkowe na trzykrotnie niższą wysokość niż wysokość jednostkowa, z której opuszcza, na ramieniu długim, jedną kulę jednostkową. Nic w tym dziwnego – unoszenie trzech na jedną trzecią równe jest opuszczeniu jednej na jedną, czy też odwrotnie, gdyż równość jest symetryczna i można o tym mówić, jak się podoba. Najzabawniejszą cechą Pierwszej Maszyny, a bez tego nic by się nie udało, była jej wielka powolność. Maszyna działała tak ospale, jakby była zepsuta. Dzięki temu nawet małe makroskopowe zastrzyki energii równoważyły nieuchronne straty na poziomie cząsteczkowym (jak każde skupisko atomów, Pierwsza podlegała bombardowaniu). Może nie wyrażam się jasno, ale wystarczyło kichnąć w pobliżu Pierwszej Maszyny, a zaburzenia rozchodzące się w masie tlenku i azotu otulającego głowę, docierały do niej i ładowały ją na

kilka tygodni. Ponieważ byłem jeszcze osłabiony po przejściu grypy, W. zachęcał mnie do złapania lekkiego przeziębienia i przebywania w pobliżu. Ten pomysł nie spodobał mi się, ale obiecałem, że gdy tylko powiesi maszynę na ścianie w pobliżu biurka, obiecuję od czasu do czasu dmuchnąć, dla fantazji, w jej kierunku, na co W. z radością przystał. Arcybibliotekarz był zachwycony wynalazkiem, choć i on musiał przyznać, że nie widzi w położeniu kul żadnej zmiany. W. zmartwił się trochę i postanowił, że jego przyszłe projekty będą bardziej spektakularne. Starłem się go jakoś pocieszyć, gdyż czytałem dowód poprawności i miałem absolutną pewność, że konstrukcja działa! I rzeczywiście, po upływie doby, maszyna przekroczyła punkt równowagi i trzy kule ruszyły do góry! A czwarta w dół! Stało się to w nocy, gdy wszyscy spali, a ja jeszcze ślęczałem nad profesorskim pamiętnikiem. Cóż za oczyszczające uczucie! W., gdy tylko dowiedział się o swoim sukcesie, promieniał szczęściem. Po namyśle, zamontował do lewego skrzydła Maszyny mały elektryczny wiatraczek i od tej pory kule hulały po ścianie, aż miło — co najmniej raz na siedemdziesiąt dwie godziny widzieliśmy wyraźny ruch.

Muszę zaznaczyć, że od początku byłem sceptycznie nastawiony do nowej pasji W., choć nie widziałem przyczyny, dla której miałbym swój sceptycyzm eksponować. Owszem, czasem budził się we mnie żal, że jego talent marnuje się, a ja nie robię nic, by temu przeciwdziałać. Ale na tym polega paradoks subiektywności: obcy nigdy nie mają racji. Jaką miałem gwarancję, że W. nie czerpie z życia radości niepomiernie większej niż moja? Nie było miary, którą mógłbym przyłożyć do nas obu. Sytuacja, w której się znalazł, była uszyta z przypadków i pewnej podatności samej natury — tak to widziałem — ale z j e g o punktu widzenia to ja stałem w miejscu, nietwórczy,

zastygły, jak okaz odcisnięty w węglu. Mogłem więc tylko zaakceptować nasze położenie i dostrzegać jego pozytywne strony. W istocie, było ich wiele i – jak uświadomiłem sobie po latach – nikt inny z naszej czwórki (już niebawem opowiem o Czwartym), a tylko i przede wszystkim – ja – zyskałem najwięcej na układzie, który się wytworzył. Nie musiałem eksperymentować, a zbierałem plony doświadczeń. Wnoszony na szczyty na Witoldowym grzbiecie – byłem zdobywcą jego Everestów. Byłem współbiedniakiem, który na przygotowanie uczyty nie wydał ani grosza. Ale wróćmy do rzeczy.

Druga z maszyn uwalniała się z ograniczeń pierwszej. Jeśli pierwszą traktować jak realizację eleganckiego dowodu twierdzenia teorii \mathbb{Z} , to druga była już samą elegancją. W tym sensie druga mieściła się na wyższym, o jedność, stopniu abstrakcji.

Nazwaliśmy ją Filigranową Maszyną. Jako Idea Elegancji, nie służyła żadnemu celowi, za wyjątkiem najważniejszego: działała bez zarzutu. Nakręcana korbką, cicho warczała, gdy ruch głównej zębátky przenosił się ku górze, ku częściom delikatnym i złożonym. Filigranowa składała się prawie wyłącznie z kółeczek druczianych, z których osi promieniście odchodziły ząbki się kocię wasy, coraz dłuższe i cieńsze, aż najwyższe z nich ugięły się pod własnym ciężarem, przypominając pasemka mgły otulające czub metalowej góry, a nie mechanizm identyczny z tym na dole.

Urządzenia, które W. powoływał do życia, relaksowały mnie, zwłaszcza jedno maleństwo – umieszczone w pudełku, złożone z silniczka, który niespiesznie obracał wałek, wałek nawijał na siebie sznurek, zaś sznurek ciągnął denko pudełka. Jeśli sprawy szły pomyślnie, linka nawijała się równomiernie i denko wskakiwało na miejsce. Była to Maszyna Kończąca Pracę i Zamykająca się w Pudełku. Pojawiało się ich wiele, coraz

więcej, samych dla siebie, już bez związku z \mathbb{Z} , składanych ze śrubek, drutu, ścinków blachy, sprężyn, pudełek, szpagatu, gum, spinaczy, klocków, trzpieni, kołków, klinów, nakrętek, płytek drukowanych, rdzeni, przewodów, rynienek blaszanych, szprych, łańcuchów, smaru, krokodylków, wężyków, żabek, cięgieł, wirników, podkładek, filcu, szczotek węglowych, koralu, guzików, magnesu i kul ołowianych, kształtowników, dźwigni, zaworów, rur, kranów, obudów, butli, kapsli, kolb, łożysk, zapadek, dźwigni, przeseł, tłoczków, bloczków i całych zamków, choć — jak zauważyła Mady — bez królowny w oknie i bez księcia na koniu — aż przestałem na nie zwracać uwagę. Choć nie, pamiętam dobrze jeszcze jedną: Tao. Tao uosabiała marzenie o dochodzeniu do wielkości małymi krokami. Była mi szczególnie bliska. Korbka wprowadzała w ruch kółeczko, które skręcało sprężynkę o gęstych zwojach. Gdy naprężenia osiągały odpowiedni poziom, sprężynka uwalniała energię, która wprowadzała w ruch kółko, a kółko skręcało sprężynę o gęstych zwojach. Gdy naprężenia osiągały odpowiedni poziom, sprężyna uwalniała energię, która wprowadzała w ruch koło, a koło skręcało sprężynę z grubego drutu. Gdy naprężenia osiągały odpowiedni poziom, sprężyna uwalniała energię, która wprowadzała w ruch Koło, a Koło skręcało Sprężynę z podwójnie plecionej liny. Gdy Naprężenia osiągały Odpowiedni Poziom, Sprężyna uwalniała Energię, która wprowadzała w ruch Kółko, które skręcało Potwora ze stalowej, okrętowej liny. Gdy zaś monstrualne spiętrzenia naprężeń osiągały odpowiedni poziom, stalowy Potwór, jak Zeus gromowładny, w potężnym refluksie wyrzygiwał Strumień Energii, wprowadzając w ruch Koło Młyńskie, Koła Młyńskie. I tak dalej.

Jak możecie się domyślać, Tao przeczyła zasadzie zachowania energii — dlatego powstała wyłącznie jej dokumentacja.

Ale w kilka tygodni po pierwszej prezentacji Madeleine postawiła na swoim i wykonała opis Tao na fortepianie, jako temat z wariacjami. Ten koncert zebrał owacje na stojąco.

I tak nieuchronnie musiało się stać: odtąd W. i M. występowali razem — co tydzień Witold prezentował nowy wynalazek, a Madeleine, inspirowana szkicami, tworzyła do nich muzykę. A ja pracowałem pilnie, składając na raz trzy, nie! cztery artykuły do publikacji. Segregowałem notesy, bruliony, karty, pozostałe po profesorsze. Przybywało ich. Odnajdywałem jego zapiski na marginesach książek, czasem wchodząc w paradę Arcybibliotekarzowi, ale wtedy uśmiechaliśmy się tylko do siebie, obojętni. Rosłem w siłę. Nabierałem rozpędu i pewności. Prawie przestałem wracać do siebie. Renata przystała na to, kierowana — jak myślę — praktyczną obojętnością, którą i ja znałem dobrze — wyjeżdżała bez uprzedzenia — widocznie miała swoje sprawy, nie cierpiące zwłoki. Mieszkanie W. stało się moim domem, mogę tak powiedzieć. Bo kiedy pracuję, kiedy czegoś szukam, moje oczy widzą tylko to jedno. Pilny, tkwiłem przy biurku, aż za oknem nieoczekiwanie pojawiła się wiosna — zanim ktokolwiek mrugnął, dni wydłużyły się, przeszły nad miastem ciepłe deszcze, wybuchnęły zielenią trawy i drzewa, Kraków zalała powódź turystów, temperatury wzrosły do trzydziestu kresiek i stanęliśmy wszyscy na progu dymiącego gorącym lata.

Rozdział V

Miłość

Teraz już nie opuszczałem pokoju, dając wyjątek pilnej potrzebie spacerów. Wychodziłem dopiero, gdy gasło niebo, a z otwartego na oścież okna nadpływała fala wieczornego chłodu. Czasem miałem ochotę wyrwać się wcześniej, na przykład gdy nad dachami przetaczał się ciepły deszcz, ale dawałem sobie spokój. Większy pożytek i radość sprawiało mi trzymanie się planu: zaczynałem pracę wtedy, gdy bez narażania wzroku mogłem czytać i notować. Kończyłem, jak już powiedziałem, wraz ze słońcem. Nic bardziej naturalnego. Z wielką przykrością myślałem o zimie, kiedy dni są ciężkie i niewyraźne, jak cieliska karpia śpiących w mule jeziora. No ale teraz trwały długie, nieruchome popołudnia, przezrocyste i ciche, wrzące od upału – więc korzystałem z tego, jak mogłem najsumienniej.

A nocą spacerowałem po wewnętrznym dziedzińcu, przeslizgując się między drzewami w zupełnej ciemności. Znałem każde pęknięcie chodnika i każdą odległość, mogłem więc przechadzać się, czy to szybko, czy wolno, bez otwierania oczu. Czasem, dla odmiany, wyciągałem ramiona w bok, by zahaczały o pnie. Dotyk szorstkiej kory wzmagał moją koncentrację na długie minuty. Potem godziłem się już, bez żalu, na mające nadejść jałowe godziny snu. Po powrocie na górę siedziałem jeszcze, tak po prostu, przy zgaszonej lampie i drzwiach uchylonych na korytarz.

Podczas takiej chwili zdarzyło mi się raz słyszeć zbiorową modlitwę sączącą się spomiędzy belek powały. A innym razem – szelest narzucanego na ramiona okrycia, potem miękkie, drobne kroki i cichy chrzęst zamka u drzwi Bibliotekarzy. To była Anna, która zanim wyszła do domu, stanęła w mo-

ich drzwiach i przypatrywała mi się, powolna, przyciągana przez zagęszczenie ciemności, które było moim ciałem. Podeszła cicho i usiadła mi na kolanach. Na ustach poczułem słodki, senny oddech. Ciężar piersi pod bluzką, który do tej pory odgadywałem, przypatrując się jej z daleka, spoczął w moich dłoniach. Anna całowała całą moją twarz i kierowała mną delikatnie, a ja poddawałem się tym i dalszym czynnościom, wykonywanym coraz intensywniej, bez jednego słowa. — Do jutra — szepnęła na koniec, ale kiedy ubrała się i wyszła, wybiegłem za nią.

Jak się przekonałem rano, niewielki pokój, wynajmowany przez Annę, znajdował się dwie przecznice dalej, nad gabine-tem weterynarza i fryzjerem dla psów. Był to dość ruchliwy zakątek miasta: parterowe części kamienic bez wyjątku przeznaczono na sklepy lub punkty usługowe, więc kręciło się tu mnóstwo ludzi. W sąsiedztwie stał przystanek tramwajowy, a ulica wygodnie łączyła centrum z Nową Hutą.

Obudził mnie gwar dobiegający z otwartego na oścież okna. Wyrzależem. W dole światło słońca, które było jeszcze nisko, odbiło się od twarzy kobiety, podążającej na przystanek. Kobieta szła wolno, oglądając się za siebie. Lecz zarazem na jej twarzy dostrzegłem cień mężczyzny, który idąc szybciej, przybliżał się do niej. Potem mężczyzna minął ją i twarz kobiety zupełnie się rozjaśniła. Była godzina siódma. Przy łóżku Anna zostawiła kartkę: *„Możesz zostać na stałe. Podobasz mi się, od dawna. A.”*. Miała staranne, jasne pismo z charakterystycznym inicjałem „A”, nad którym zatrzymałem się, na długo, na bardzo długo. Gładkie zakręty u dołu i ostry szczyt litery, złączone w jeden symbol, przemawiały do mnie wyraźnie. W tamtej chwili wierzyłem, że kompozycja tego znaku pomaga mi pogodzić obraz Anny, którą znałem dotychczas, z obrazem

kobiety, która zawładnęła mną wczorajszej nocy, wyjaśnia też jej trwałą autonomię w obecności Arcybibliotekarza. W pracy wiele razy byłem świadkiem, jak (pozorny) konflikt uzyskuje (uderzająco piękne) rozwiązanie na wyższym poziomie. Nie czułem się jednak na siłach, by odkrywać tajemnice ludzkiej egzystencji, by zejść z raz obranej drogi, nawet jeśli zostałem do tego zadania wybrany („Podobasz mi się, od dawna.”). Powtarzałem sobie: płynę rzeką, której nurt potężnieje, chcę się utrzymać, dotrzeć do ujścia, wdrzeć się w pełne morze. Byłem po prostu wdzięczny Annie za błogość zaspokojenia i za dyskrecję.

Rozejrzałem się. Pokój był skromnie urządzone i na pierwszy rzut oka nieco staroświecki. Okrągły stół przykrywała ręcznie robiona serweta, a na jego środku stała japońska misa, napełniona wodą. Na powierzchni wody pływały białe kwiaty frezji. W kącie pokoju zauważyłem parawan, a za nim krzesło i toaletkę z rozrzuconą nań biżuterią. Nad łóżkiem wisiała grafika, oszczędna i w ciemnej tonacji, przedstawiająca akt — kobietę dojrzałą, w wyzywającym kontrapoście, gładzącą swoje biodra, najwyraźniej dla przyjemności innej postaci, ledwie zarysowanej, ukrytej w cieniu. Akwaforta dostała okazałą ramę ze starego, ciemnego drewna, z trzema równoległymi żłobieńcami, wyściełanymi dukatowym złotem. W pokoju było też kilka prostych krzeseł i fotel, z nachyloną nadeń wysoką lampą i stertą książek leżących na drewnianej podłodze. Nie zatrzymałem się, by przeczytać tytuły, jak to zawsze robię. Przy wyjściu znalazłem klucz. Wyszedłem, cicho zamykając za sobą drzwi. Tego dnia nabrałem tak wielkiej ochoty do pracy, że nie zauważałem ludzi wokół i zapomniałem o posiłkach. Ocuciło mnie nadejście wieczoru i wtedy z całą siłą poczułem głód i jeszcze inne, wewnętrzne drżenie, które zniknęło do-

piero wtedy, gdy wślizgnąłem się do Bibliotekarzy i ujrzałem zbierającą się do wyjścia Annę. — Chodźmy coś zjeść — usłyszałem, z oddali, szorstki, nienawykły do mówienia, głos. Mój głos. — Dobrze, kochany — Anna przytuliła się, szczelnie, wysoko, sięgając końcami palców łopatek na moich plecach. A ja, obejmując wzajem Annę, odgradzałem się już od starej epoki, choć w tamtej chwili jeszcze niczego się nie domyślałem. Zresztą w każdej chwili zaczyna się nowa epoka, jakaś nowa epoka, nic w tym nadzwyczajnego.

Powiedziałem Annie, że płynę rzeką, której nurt potężnieje, chcę się utrzymać na powierzchni, dotrzeć do ujścia i wdrzeć się w pełne morze. Zrozumiała mnie. Powiedziała, że mnie rozumie.

Uzmysłowiłem sobie, z gorzkawą satysfakcją, że wreszcie potrafię mówić dokładnie to, co myślę, bez wcześniejszego przygotowania. Oznajmiłem Annie, że jestem żonaty. Odrzekła, że to nie ma dla niej żadnego znaczenia, gdyż nie wierzy ani w wielkie deklaracje, ani w osobowego Boga, a co za tym idzie, w wielkie deklaracje składane przed Bogiem. — Wierzę w impulsy namiętności, w ciężar, jaki przynosi samotność, w to, co widzę — wilgotna czerń jej oczu odbijała światła uliczne, a potem płomyki świec, które kelnerka zapaliła na naszym stoliku w restauracji. Poczulem wstyd, choć moje więzy z Renatą rozpadły się jeszcze przed ślubem. Wstydzilem się za moją powolność i za fałszywe poczucie odpowiedzialności, które kazały mi podnieść wieloletnią znajomość do rangi oficjalnego związku. Zrobiłem to — uległem bezwładności zdarzeń i natarczywości chorej matki Renaty.

Lecz, dobry Boże, po co raczyłem tę kobietę, która lśniła naprzeciw mnie, bełkotem o przeszłości? — Naprawdę chciałabyś, abym został? — zdobyłem się na takie sformułowanie

przeprosin. — Rankiem będę ci parzyć kawę, kochany. O ile ty zadbasz o moje przyjemności — w ten sposób Anna sformułowała umowę doskonałą — i dodała jeszcze: — o moje drobne przyjemności.

Zawsze kochaliśmy się bardzo długo. Anna nienawidziła dystansu, nie zgadzała się na żadną pozycję, w której nasze ciała ściśle do siebie nie przylegały. Zasypiała wtulona we mnie z głową ułożoną na wgłębieniu obojczyka, nogami oplatając moją nogę. Co było zadziwiające, zasnawszy tak nie poruszała się do samego rana. Oddychała bezszelestnie jak niemowlę. Gdy budziłem się wcześniej, wyplątywałem z uścisku i mogłem obserwować ją bez przeszkód, widziałem, że jej powieki lekko drżą, obmywane przez łagodne senne wizje, tak jak leniwy nurt obmywa gładkie kamienie leżące na dnie rzeki. Na szyi, w rytm oddechu, unosił się naszyjnik, którego Anna nigdy się nie pozbywała — talizman z szerokich płatków srebra — podobny, zdaje się, widziałem na rycinie przedstawiającą biżuterię kobiet Mezopotamii. Srebrne elipsy nagrzewały się do temperatury jej ciała — widziane za dnia, gdy Anna asystowała prezesowi, doprowadzały mnie do szaleństwa — przed oczami miałem Annę naga, powolną mi, rozgorączkowaną — wiedza intymna była za dnia przekleństwem dla mojej pracy.

Dopiero po pewnym czasie nauczyłem się czerpać pełnię szczęścia z zaistniałej sytuacji. Myślałem wtedy, że stan tak całkowitego zaspokojenia — fizycznego, duchowego i intelektualnego — już nigdy nie powtórzy. To znaczy: fizycznego i intelektualnego, gdyż duchowość, z czego jestem dumny, udało mi się niemal całkowicie podporządkować umysłowi. Całej tej duchowości mam już dość, nakłania jedynie do niehigienicznego trybu życia. Tak, tak! Higiena i dyscyplina, a także precyzja — jak u perkusisty filharmonii wiedeńskiej podczas koncertu no-

worocznego — prowadzą mnie prostą drogą do sukcesu. I ten niebywały kontrast dni pełnych skupienia i sierpniowych wieczorów z Anną! Którejś nocy wyjechaliśmy za miasto, by fotografować rój Perseidów.

Nasze życie codzienne jest bombardowane przez przypadki, zetknięcia ludzi i zdarzeń w nieoczekiwanych układach. Ale przypadki nie następują chaotycznie, lecz z godną podziwu systematycznością wykorzystują wszystko, co sami podsuwamy. To dlatego człowiek, który nauczył się nowego słowa w obcym języku, zaraz słyszy je w rozmowie turystów na ulicy. I właśnie dlatego alergicy — i tylko oni — obserwują, jak w wiosenny dzień sierść psów, kotów i koni wzbiera kłębem w czystym powietrzu i zasłania słońce. A czy genetyka rozwinęłaby się tak pysznie bez upadku religijności? Innymi słowy, cały świat nagina się do naszych potrzeb, czy to uświadomionych, czy nie. Dlatego też, gdy otrzymałem od Renaty pozew rozwodowy, zrozumiałem, że czekałem nań od dawna. Wręcz byłem zdziwiony, że nadszedł tak późno. List — oszczędny, obojętny — nie zapowiadał jeszcze jak długi i przykry będzie proces sądowy — ale ta historia jest tak przeraźliwie smutna, że byłoby zbrodnią ją tu opisywać. Jedyne, co chcę dziś pamiętać, to widok śpiącej, ufnej, wtulonej we mnie Anny — chcę by ten obraz wypełnił całą moją pamięć poetycką — i nic więcej. Niestety złe wspomnienia zostają ze mną dłużej niż dobre i o wielu przykrościach, które Renata przygotowała dla mnie w nadchodzących miesiącach, trudno mi będzie zapomnieć.

*

W tym samym, mniej więcej, czasie wyszły na jaw poszlaki świadczące o tym, że śmierć profesora Z. nie była wcale zbiegiem nieszczęśliwych okoliczności. Oczywiście nie mam tu na

myśli obserwacji o charakterze kryminalnym, ale silne przeżucie, którego podstawę będzie mi dość ciężko wytłumaczyć. Początkowo nie miałem dobrego rozeznania, ale im bardziej nikłe były ślady, tym czulej we mnie rezonowały – wszystkie te drobne potknięcia, wyslizgnięcia z profesorskiej roli. Ogarniało mnie to samo uczucie, kiedy nagle wieczór przechodzi w noc, a każda próba uchwycenia tej migotliwej zmiany jest skazana na niepowodzenie; masa światła i świata dotyka progu nocy i jednej chwili do niej przynależy. Znaki i rysunki Z. wiły się jak węże lub pętle, lub suche kwiaty trawione ogniem, lecz przez to zapiski wypełniały się jego obecnością, skupioną, pałającą, cierpiącą. Im bliżej dnia swojej śmierci, tym pewniej traktat matematyczny przechodził w literacką opowieść, choć przecież materia znaków była ta sama. Historie Z. zawierały myśli tak odległe, że związanie ich łańcuchem przepływającej prawdy zdawało się być ponad moje siły. Stawałem się czytelnikiem w bibliotece Babel, słuchaczem kakofonii logiczno-filozoficznej, mnichem schodzącym krętymi schodami w cześć klasztornych lochów – usypiany monotonnym bełkotem, białym szumem liczb i liter greckich, by co kilka stron (lecz coraz rzadziej niestety) stanąć dęba z przerażenia i rozkoszy nad uderzającym równaniem, wykopanym spod piachu jałowych rozważań. O czasie, twe piramidy!

Lecz trwałem, poruszony losem człowieka. Bo z trwania rodzi się czasem myśl niepodobna do niczego, co można pomyśleć w biegu. I chyba temu trwaniu zawdzięczam pewność, że to, co miałem przed oczami, musiało być fragmentem większej całości. Zobaczyłem więc to, czego nie było. Stawało się dla mnie jasne, z sekundy na sekundę, że musiał istnieć inny dziennik Z., pisany w chwilach wytchnienia. Człowiek samotny i praktyczny – takiego Z. wszyscy znali – mógłby chcieć

pozostawić po sobie jeszcze jeden słabo odcisnięty, ale za to niepowtarzalny, ślad. Doskonale wiedziałem, że jeśli podejmę się poszukiwań na własną rękę, poniosę nieznane mi, być może surowe, konsekwencje. Ale nie było już odwrotu. Czy nie po to stanąłem na progu domu Witolda, by podjąć się rozwiązania zagadki śmierci Z.?

Reakcja Anny przeraziła mnie. Zbladła, a całe jej ciało drgnęło gwałtownie, tak że wydało się, że gruba powieka świata mrugnęła i rzeczy doznały przesunięcia wokół niej, nieruchomej. Złapała mnie za rękaw. — Nie rób tego — miała lodowate palce — proszę! Kazałem jej się opanować, ale natychmiast pożałowałem swoich słów, gdyż A. cofnęła się z niedowierzaniem. Przytulilem ją mocno i dopiero wtedy zaczęła się uspokajać. Mnie — waliło serce. Działać! Pragnienie stało się tak silne, że gotów byłem na wszystko.

Anna była mi potrzebna — jej obecność łatwo usprawiedliwiała wtargnięcie do gabinetu prezesa. — Gdyby nas przyłapał, będzie wyglądało, że zapomnieliśmy się po pracy i... sama wiesz — tłumaczyłem. Owszem, przyznała, ale widziałem, że godzi się ostatekiem sił, pokonana przez mój upór, wbrew sobie.

Sforsowanie drzwi nie było konieczne — prezes zostawiał klucz na sekretarzyku w głównym pomieszczeniu Towarzystwa. Trudność polegała na tym, że w ciągu dnia prezes nie opuszczał swej samotni, a gdy wychodził, nie mieliśmy żadnej gwarancji, że zaraz nie zjawi się z powrotem. Poruszał się wedle ścisłego planu — to pewne — ale jego wytyczne były dla nas niezrozumiałe jak ruch indeksów giełdowych. Przez trzy doby obserwowaliśmy każdy jego krok; niewiele z tego przyszło. Zaczynał punkt siódma — gdybyż to mogło pomóc!

Nie! jednak każde staranie coś znaczy. Zobaczyłem jak cu-

downą osobą jest Anna. Wspólna tajemnica związała nas silniej, aż zacząłem zwierzać się jej z przeszłego życia, które tkwiło we mnie jak zadra. A. przyjmowała to ze spokojem równym temu, z jakim ocean przyjmuje skrzynie cezu, znikające bez dźwięku w jego topielach. Powiedziała mi, że będzie czekać cierpliwie. Ja, oczywiście, nie zwróciłem na to należytej uwagi, ale i tak w mojej podświadomości zagościło na stałe poczucie bezwarunkowego wsparcia.

Zdarzył się też drobiazg bez znaczenia: ot, Achille schodził po schodach, prowadząc za sobą psa na smyczy – jego broda była przyszczyżona, zniszczona twarz wygładziła się, nos twar-do odcinał się od reszty, nieoczekiwanie znamionując stałość, niosąc jakąś nową prawdę o człowieku. Grek pozdrowił mnie, unosząc dłoń. – Cień kobry – rzucił pewnym siebie głosem, ale zbyt głośno. Z jego uszu sterczały słuchawki, a kable prowadziły do kieszeni. Słuchał muzyki. Co najdziwniejsze, był trzeźwy i zadbany. Uprzejmie odpowiedziałem na pozdrowienie, choć wiedziałem, że mnie nie usłyszy.

Z niemożności wybrania najlepszej pory, wybraliśmy na chybił trafił – piątek, tuż przed wieczorem – albo każdy następny dzień, gdyby prezes akurat został w gabinecie do nocy.

A jednak piątek! Staruszek wyszedł z ukrycia już około dwudziestej, najuprzejmiej życzył dobrej nocy Annie, która zajmowała się zwykłą pracą w sekretariacie (korespondencja, rozsyłanie i przyjmowanie zaproszeń, itd.), narzucił płaszcz, który wyprzedzał chłody o kilka dobrych tygodni, i wreszcie poszedł sobie. Skoczyłem, jak oparzony, dźgnięty ostrzem przygody. Odczekawszy minutę, wybiegłem na ulicę. Prezes, w oddali, szedł wolnym krokiem – zamyślony, stukał szpicem parasola o bruk. Oto Pessoa w Lizbonie. Wiatr wiał mi w twarz i wysuszał usta. Odprowadziłem go wzrokiem, aż zniknął na skrzy-

żowaniu z Bandurskiego. Pomknąłem na górę, pięć kroków na siedemnaście. Teraz! Ale Anna zatrzymała mnie jeszcze. — Poczekaj — szepnęła — jeśli nie wróci w pół godziny, nie wróci na pewno. Oboje wiedzieliśmy, że tak wcale nie musi być, ale wstrzymałem się, a przez to poczucie przygody spotęgowało się i rozkwitło.

Podniosłem klucz z sekretarzyka i w ciszy poszliśmy wzdłuż zasklepiającego się nad głowami morza książek. Otwierając gabinet, baczyłem, by drzwi nie skrzypnęły — wszystkie moje inne myśli zeszyły na dalszy plan. Ruszyliśmy w dogodnym momencie — kalkulowałem — to szara, przedwieczorna godzina, gdy wszyscy zajęci są swoimi sprawami. Siostry dały znak dzwonkiem na modlitwę przed kolacją — będąc stałym mieszkańcem, rozpoznałem ten dźwięk, co w tej szczególnej chwili przyniosło mi wielką radość i otuchę. Madeleine i Witold byli poza domem.

Gdy drzwi otwarły się, wszedłem w szary prostokąt stłumionego światła i myśl, że jestem tu nielegalnie, z Anną, podniosła mi tętno, jakbym nadal był nastolatkiem. Musiałem przywołać się do porządku, zaś A., tak samo rozplomieniona, z wypiekami na policzkach i z przyspieszonym oddechem, szła tuż obok. Jak było ustalone tysiąc razy wcześniej, pozostała w pobliżu drzwi, na czatach.

Wszystkie martwe przedmioty, zgromadzone w gabinecie, nic nie znaczyły z osobna, ale zebrane razem, zmiękczone półmrokiem, nabrały mocy nienaruszalnej własności prezesa — stanowiły żywy symbol jego obecności. Zauważyłem, że rama okna lekko skrzypi, pod naporem wiatru. Zegar — słyszałem — tyka. Zegar, zegar — tłukło mi się — nie bać się kukułki, co może znienacka... Krzesło, kosz, biurko, a na nim książki, dalej gabloty, ich armia w szeregu, stół w centrum i wazon z kwiatami.

mi, które bez oświetlenia zrzucały resztki koloru i tlały w szarości. Papiery na stole — nieistotne. Przycisk — płaski kamień. Błysnęło ostrze! Spokój! Spokój. . . nożyk do papieru, zszywacz. Czego tu szukałem? Nędza mego przedsięwzięcia już poczęła się obnażać. Zawzięłem się i zacząłem myszkować, szperać i w końcu dobierać się delikatnie. Sprawdzałem odkryte półki, szukając grzbietów czystych, bez tytułów. Nic. Łaziłem po kątach. Trwało to chyba z dziesięć minut. Euforia mijała. Jeszcze pięć minut. Z rozczarowaniem odkryłem, że witryny zamknięto na klucz. Nic! Nic nie mogłem zdziałać. Zawahałem się, ale skoro doszło już do tego. . . Nagle w oddali trzasnęły drzwi. Anna cicho krzyknęła. Zamarłem, jakby mnie ktoś ogłuszył kijem. Po chwili usłyszeliśmy wesołe głosy. — M. i W. — szepnęła Anna. — Pospieszmy się — dodała zaraz. — Jeszcze biurko — odwróciłem się i starałem, nawet w obliczu porażki, wyglądać przekonująco.

Byłem lunatykiem, który grzebał w cudzych rzeczach. . . Nie wiem dlaczego wcześniej nie pomyślałem o szufladzie pod blatem. To od niej powinienem był zacząć moje poszukiwania! Wąski pojemnik poddał się bez żadnych problemów. Jeszcze raz doznałem nieodpartego wrażenia, że przekraczam granicę, do której nie powinienem był się zbliżyć. Pobieżne oględziny przyniosły tym większe rozczarowanie. Stos czystych rewersów, armia ołówków, otwieracz do butelek. — Nic? — usłyszałem za plecami. — Nic — zmierzch był teraz gęsty jak manna, sklejał mi powieki, rzeczy poddawały się wyłącznie gruboziarnistym przybliżeniom, o dalszych oględzinach nie mogło być mowy. Ale otwieracz do butelek lśnił jeszcze stłumionym, mosiężnym blaskiem i nagle nastąpił zwrot — zdziczenie interpretacji — całość poukładała się w nową formę, która pozbawiła mnie oddechu — mosiężną rękojeść otwieracza stanowiły tors

i nogi; wyrzucone w bok ręce nie znajdowały podpory. To był Chrystus, Syn Boży — pozbawiony krzyża, śmiesznie i makabrycznie, jak pływak, który trenował na sucho, albo jak ranny, zrzucony z noszy. Nie mogłem tego pojąć. Otwieracz? Chrystus?

A potem jeszcze to: Chrystus i ołówki? Możliwości, jakie stwarzał ten układ, powalały mnie. W jednej chwili doznałem poczucia upływu, nie! nie upływu — c i a g ł o ś c i czasu, w którym, niezmiernie powoli, przesuwałem się w przód. Wymarzona chwila na zastanowienie się nad sobą: południowy wiatr wydymał szyby, we wgłębieniu między ścięgnami szyi zgromadziło się bajoro wilgoci. Dziękuję bardzo, z tej okazji nie zamierzam skorzystać. Chrystus ma ugięte kolana, jakby brał zakręt w gigancie, i skomplikowany węzeł mosiężnego materiału omotany wokół bioder. Kunszt oddania fałd materiału w przedstawieniach Boga zawsze mnie zdumiewał. O ileż mniej wymagające są współczesne bokserki! Może właśnie dlatego artyści preferują formy wyszukane — by wyżyć się i popisać (w najlepszym wypadku) przed potomnością. Inna sprawa, że skoro złoty Chrystus pojawił się już w historii sztuki (mniej więcej tyle wiedzą o sztuce inżynierowie), to Chrystus w bokserkach byłby wobec owego złotego żalosnym plagiatem. Chrystus ośmieszony! Chrystus odpalony! Nie mogę w to uwierzyć. Stoję więc tak, ze zwieszonymi rękami, pochylony nad szufladą i czekam, nie wiem na co, chyba na zapadnięcie nocy. Kiedy się ściemni, zdobędę się na odwagę i odejdę. Czy Prezes uczesniczył, czy nie uczestniczył w morderstwie Z.? To pytanie jest zasadnicze: tu utknąłem i nie mogę odejść, zanim się na coś nie zdecyduję. Ale już nie ufam sobie: wszędzie dostrzegam demoniczność, zdaje mi się, że ona tłumaczy wszystko. Nagle zaczynam się ze sobą potwornie nudzić — ciągle te same

histerie, wątpliwości, trzymanie w karbach, gdy moja prawdziwa natura wystaje jak goła stopa spod krótkiego koca. Być dla siebie łagodniejszym? Czy jeśli ceną jest pogrzeb zdrowego rozsądku, wolno mi się na to zgodzić?

Więc jak, brał udział w morderstwie? W dniu śmierci profesor Z. przebywał cały dzień w swoim pokoju na uniwersytecie. Zresztą — jak zwykle, nic nadzwyczajnego. Czy prezes mógł go odwiedzić? Portierzy nie odnotowali żadnych wizyt późnym wieczorem. A może dzwonił? Albo może wcale nie musiał, gdyż śmiertelny cios zadał wiele godzin, dni, miesięcy wcześniej? W końcu był do tego zdolny. Nadal pamiętałem zwierzęcą panikę, jaką wywołał we mnie pierwszy wykład — poczucie, że nie mogę oprzeć się jego wizji świata, tej retoryce dowolności, sprzedawanej jako wyższe wtajemniczenie. Stała mi przed oczami twarz W., który podczas wykładu nie odychał, i stało się dla mnie oczywiste, że szaleństwo Z., udokumentowane w dziennikach, było podsycane przez innego człowieka, który nie miał żadnych skrupułów. A reszty dokonała samotność. Jeszcze raz ujrzałem rozpaczliwe traktaty Z., w których starał się dowieść prawd, mających coraz mniej wspólnego z teorią, od których wzięły początek, jego dociekania już nie analityczne, ale niepoahamowane, udręczone drobiazgowością, niekończące się wywody o wielkim stopniu ogólności, nie przystawające już do żadnej znanej matematyki. Zacisnąłem z całej siły powieki, a kiedy je otworzyłem i zniknęły srebrne kręgi, sięgnąłem do szuflady i zabrałem Ukrzyżowanego.

Nie spaliśmy, nikt chyba nie mógł zasnąć. Na balkonach sąsiednich domów raz po raz pojawiały się ogniki papierosów, dolatywały nas niskrępowane rozmowy i śmiech. Było gorąco, rozwarliśmy na oścież okno i patrzyliśmy jak wiatr targa franką. To powietrze musiało nadpłynąć gdzieś znad Istan-

bułu lub Aleksandrii, wciąż było pełne dziennego żaru i woni spalonej słońcem równiny. Mówiliśmy do siebie cicho i długo, a gdy wszystko już wyjaśniłem, Anna znów zwracała się do mnie — potem mówiłem ja, ona, ja i ona, zgadzaliśmy się we wszystkim — wszystkim — ogarnął mnie wielki spokój, a jeszcze później — zanim zasnąłem — myślałem, gasnąc, że nigdy nie podróżowałem, że nawet gdybym teraz zaczął, to już nie zdążę zobaczyć... że zawsze będą na świecie miejsca, do których nigdy nie dotrę i miasta, których nie odwiedzę: Bukareszt. Sofia. Ateny. Ankara. Kahramanmaras. Damaszek. Amman. Jerozolima.

Nazajutrz — Chrystus zostaje w domu, a ja całuję śpiącą Annę i idę do W. Jest wczesnie rano, ale duszno, słońce, czarno od słońca. Prezes zjawia się natychmiast. Przypatruję mu się ze szczególnym podziwem. Już wie. Zdaje się być dziesięć lat młodszy, zogniskowany, nieprzenikniony — a ja od razu słabną przy tej afirmacji mocy. — Myślę, że powinien pan kończyć, doktorze — zwraca się do mnie bez emocji. — Zresztą wkrótce nie będzie pan miał czasu — semestr zaczyna się... kiedy to? wrzesień? październik? — Październik — odpowiadam; mimowolnie zdradzam złość, która rodzi się ze strachu. ArcyB. uśmiecha się kpiąco. — Cieszę się, gdyż ta praca pana zmieniła — opiera rękę na blacie biurka — tak jak przewidywałem. — Podziwiam, że się tak wyrażę, pańskie nowe upierzenie. Widać, że uczył się pan od mistrza! — Oficjalnie mowa o profesorze Z., ale obaj wiemy, że ma na myśli s i e b i e. Teraz naprawdę się boję. Co on zrobił Z.? — Czy to są wszystkie osobiste notatki profesora? Czy nie istnieją d o d a t k o w e d o k u m e n t y? — kładę na szali wszystko, co mam. Następuje chwila milczenia, i widzę, że ugodziłem celnie. Jego indycza szyja, wystająca ze sztywnego kołnierzyka, napina się. Teraz już ma pewność,

że t o j a. — Nic mi o tym nie wiadomo — rzuca przed siebie. — Wiele pan skorzystał, więc teraz ja proszę o raport z tych prac — dodaje i szyja flaczeje po mistrzowsku, podporządkowana. Wie, że węszyłem; wie też, że niczego nie znalazłem. To gorzki triumf, ale jakże wyrazisty. Podejmuję ogromny wysiłek i patrzę mu w oczy. Są zażawione, w czerwonych obwódkach. — Dobrze — mówię. Starzec krzywi usta w uśmiechu, ale oczy ma złe. — Czekam zatem, powiedzmy do piątku. — Jest oschły, zwraca się ku wyjściu. Czuję teraz ogromne zniechęcenie, siadam na krześle. Ostatnie, niespodziewane pytanie trafia mnie w tył głowy. — Czy wierzy pan w Boga, doktorze?

Nawet gdyby pominąć aktualny kontekst, jest to najdotkliwsze z możliwych pytań. Pułapka. Nie zostałem obdarzony łaską wiary i jest to fakt, wobec którego jestem bezbronny. Zwalić wszystko na nowoczesność? Jeśli tylko jest we mnie odrobina uczciwości, nie mogę. Spójrzcie — ideę, której nie doznałem, nazywam ł a s k ą wiary? Skąd mogę wiedzieć? Otóż — n i e w i e m, gdyż nie wierzę, i ten b r a k wypala mi dziurę w głowie. Pracując, prawie o tym zapominam i wtedy jest nieźle. Gdy rozmnażam torusy, stać mnie na obrazoburcze myśli. Ale gdy wpadam na trop większego odkrycia, moja osoba natychmiast przestaje się liczyć, układy struktur dążą do ustalonych miejsc, już bez mojej zasługi, bez twórczego wysiłku i nie pozostaje nic, co nie doczekałoby się sądu przed obliczem Prawdy. Rzeczy, czy tego chcę, czy nie, dzieją się poza mną — raz popchnięte we właściwym kierunku, same prowadzą do rozwiązania.

Korytarz Prawdy jest wąski. Mogę tylko nadażać, przeciskać się, notować, i czynię to gorliwie. Lecz w takich chwilach zawsze zdejmuję mnie strach, że na końcu drogi, na końcu drogi odkryć, gdy będę już śmierział starością, zobaczę równość Bo-

ga i Prawdy, ale w nią nie uwierzę.

Dlatego milczę i nie odwracam się. Właśnie taki cios mógł załatwić Z., wydrażyć mu umysł, pchnąć w ostateczność. Prezes jest zbyt dobrze wychowany, by powtórzyć pytanie. Ale stoi jeszcze, czeka, chłonie swój triumf, chce mieć pewność, że wyrządził mi krzywdę. Myślę, że to go gubi – zapomniał, że dzieła nas trzy pokolenia; że wszyscy teraz potrafimy, gdy trzeba, być asertywni i, gdy nie ma wyjścia – chamscy. Tak! Chamstwo jest tu najskuteczniejszą bronią – chamstwem, którego się we mnie nie domyśla, załatwię go, spławię – i chamstwem się uratuję.

Nie odwracając się, przeciągam się na krześle i ziewam szeroko i głośno. Ryczę jak hipopotam, obnażam dziąsła, aż po zęby mądrości, strzela mi jakiś staw w barku.

Potem z premedytacją, giętki i obojętny, wychodzę! Wychodzę z pokoju, do kuchni. Parzę kawę! Parzę kawę, wciąż naelektryzowany wybuchem chamstwa, ale jakby nigdy nic.

*

Gdy wróciłem do pokoju, prezesa już w nim nie było.

*

Tymczasem na świecie pękał płaszcz ziemi, tryskała lava i działały się rzeczy światowe. Kurator Cooper-Hewitt National Design Museum, sir Timothy Clifford, odnalazł na stercie szpargałów rysunek Michała Anioła, przedstawiający menore, który niebawem wyceniono na dwanaście milionów dolarów. Wykopanie ze stosu śmieci nowego dzieła starego mistrza, i to w Nowym Jorku, okrzyknięto cudem. W. nie oceniał, oczywiście, tego zdarzenia aż tak entuzjastycznie, po prostu przypominał

sobie to, co przypadkiem przeczytał. Nie istniała też przyczyna, oprócz odruchowej i przelotnej ciekawości, dla której ten właśnie artykuł prasowy W. wyróżniłby spośród setek tysięcy innych w bieżącym, przeszłym czy przyszłym serwisie informacyjnym. Gazety od zawsze relacjonowały nagłe pojawienia się i zniknięcia osób i rzeczy, dodając od siebie osąd moralny lub estetyczny w postaci komentarzy na następnych stronach. Komentarze zwykle przeczyły sobie wzajemnie, ba, im bardziej rozległe opinie można było znaleźć w jednym numerze, tym bardziej poczytna stawała się gazeta. Co najciekawsze, komentarze do komentarzy posiadały nie mniejsze znaczenie, wzbudzały też nie mniejsze emocje i często stawały się zarzewiem czynów: faktów już nie polemicznych, ale sprawczych; faktów, które powodowały, że grupy ludzi przemieszczały się stamtąd tu i stąd tam, faktów godnych pierwszych stron gazet, znajdujących oddźwięk na stronach: drugiej, trzeciej, czwartej... Cykliczność tak wytworzona była zjawiskiem jak najbardziej pożądanym, stanowiła bowiem *raison d'être* periodyku. W ten sposób gazety tworzyły historię, którą W. rozumiał jako wielką łunę ogarniającą wszystkie periodyki i wszystkie ich wydania, przeszłe i przyszłe, a także informacje doń wpływające i zeń wypływające, wraz z komentarzami. Tę łunę dostrzegali nieliczni, najbardziej zaawansowani czytelnicy i komentatorzy, których głowy wystawały ponad głowy innych, pochylonych, i znikały w jaskrawym paśmie łuny. Co do W., nigdy nie widział jej na własne oczy, gdyż nie czytywał periodyków, a nawet więcej: nie czytywał ich *s y s t e m a t y c z n i e*, dodając im przez to trochę ducha „drugiej strony”. Można rzec, że regularność, z jaką W. nie czytał gazet, świadczyła o jego najgłębszym zaangażowaniu w sprawy codzienne. Można to też ująć w ten sposób, że W. przeżywał codzienność bez zbęd-

nych komentarzy. To była kwestia wyboru, kwintesencja dotychczasowych przemyśleń. Zwyczajność oszałamiała go i brała za mordę jak aktor z charyzmą bierze swą publiczność. Zaskakiwały go możliwości d z i a ł a n i a. Dawniej, jako czynny matematyk, zaznaczał swój udział w intelektualnie podniecającej grze, którą była Nauka. Teraz, jako h u m a n i s t a, czy raczej, jak mawiał G.: projekt na humanistę, sam dyktował reguły wszelkich możliwych gier. To właśnie jest wolność — myślał — wolność artysty, o której nic się nie da powiedzieć — gdyby szukać jej źródeł, zniknie. Dumał więc nad planami nowych maszyn i otaczał się drobnymi przedmiotami, które mogły się przydać w konstrukcji. Zaprzyjaźnił się ze zwałistym i kudłatym właścicielem otwartego niedawno w podziemnym przejściu pod Rondem Mogilskim składu artykułów elektrycznych i elektronicznych. Robert miał drobne zęby głęboko wbite w dziąsła i zrosnięte brwi nad grubym nochem boksera, ale w bliskim kontakcie odznaczał się łagodnością i subtelnym poczuciem humoru. W. zamawiał u niego gotowe podzespoły, po które — bywało — jeździli razem na Śląsk zgniłozielonym żukiem; samochód pamiętał jeszcze czasy upadku Cesarstwa Rzymskiego, ale nigdy nie zawiódł w trasie, domagał się tylko comiesięcznego przeglądu, i brał olej. Wyjeżdżali o piątej rano, żeby nie tracić dnia. Pewnego razu Robert przyszedł obejrzeć maszyny. Gdy odsunąłem krzesło i wstałem, by go powitać, ścisnął mi dłoń z czułością niedźwiedzia; rozglądał się ciekawie, sapał i cmokał na widok każdego urządzenia, a potem zamilkł gwałtownie na widok Madeleine, która pojawiła się w odległej, niebieskiej perspektywie sypialni; nieuprzedzona o wizycie szła boso, w szlafroku i z turbanem ręcznika na głowie. To prawda, Madeleine była w tamtych dniach olśniewająca; spokój, z jakim referuję ten fakt, zawdzięczam wyłącznie

mojej Annie. Robert począł odwiedzać nas regularnie i w jego towarzystwie W. znacznie poweselał, mimo że w obecności M. sklepikarz zacinał się i peszył.

moja samotność niczym Wszechświat
 – trwa i trwa!
 Czy miłość dwojga ludzi ma jakikolwiek sens?!
 Czy stransferować ją na
 bezdomnego psa

– Witold i Kudłaty ryczeli unisono, gdy byliśmy sami; ale gdy M. krzątała się po domu, Robert nie mógł wydusić z siebie nic prócz żenującego dowcipu o teściowej w samochodzie. Jego zrosnięte brwi stroszyły się nad ciemnym zapadliskiem wilgotnych oczu, jak kępy tataraku nad brzegiem jeziora. Starał się nie gapić na M., lecz nie potrafił oderwać od niej wzroku.

Ach, Madeleine! Omal nie umknął mi fakt najważniejszy: Robert był pierwszym zwiedzającym wystawę maszyn Witolda. Oczywiście wagę tego wydarzenia można oceniać wyłącznie z perspektywy terażniejszości – wtedy to nie miało najmniejszego znaczenia. Sprawy przybrały inny obrót, gdy zjawił się drugi zwiedzający: Mirek Sikorski, człowiek z ASP, zwabiony z ulicy przez dźwięki fortepianu unoszące się w powietrzu w sobotni wieczór.

Po występie podszedł do solistki, by wyrazić swoje uznanie, a M. zaprosiła go na herbatę. – Ma pani du-duszę – taki p-piękny dźwięk. Uśmiechnęła się i podała mu dłoń.

– Mady.

– Mirek.

– Zostań, zrobię herbaty.

Po kwadransie ich rozmowa zesła na tematy sztuki w ogóle, śmierci sztuki, Baudrillarda, śmierci w ogóle, a potem znów

dotyczyła zróżnicowanego języka sztuki, i Madeleine pokazała Mirkowi Sikorskiemu szkice W., a potem już same maszyny, którymi się żywo zainteresował. Chodzili z notatkami Witolda po pokojach i dopasowywali opis do dzieła. — Wi-widziałem takie rzeczy — mówił Mirek — ale dawno w Stanach. — Słyszałaś o rzeźbach ki-ki-kinetycznych? Artur Ganson, Gina Kamensky — gdy zaczerpywał z głębi swojej pamięci i wpadał w rytm dyskusji, jego wada wymowy zanikała. No, no to mamy tu coś takiego. Już wiem, że lubię te sz-kice: jedna karta, jeden przedmiot. Można by zrobić z tego niezły pokaz. A obok ustawić te maszynki. Albo nawet zebrać je razem, w ciasnej przestrzeni, stworzyć relacje, związki, a niechby i dać zagrać su-surmom przesyty. Sam mam taki obraz z serią miedzianych przedmiotów, z okolic 1996 roku. On jest tak pomyślany — pokazuje relacje między przedmiotami, w zasadzie to jest samo sedno. Są trochę osobno, trochę się ze sobą wiążą. Rodzaj irracjonalnej maszynerii. Jak to się ma do tej podstawowej myśli? To jest ciężka realizacja tego, co lekkie. Połączenia pamięciowe są ruchliwością naszych skojarzeń, ruchliwością naszego umysłu, a tu jest rodzaj łubu-du. Ciężkie przedmioty i ciężkie funkcje, wyginanie się, przelewanie. Nie ma migotliwości przedmiotowej, jest raczej zmaterializowanie rzeczy ulotnych. W podstawowym pomysle ten mój obraz to jest obraz symboliczny — każdy z obiektów symbolizuje jeden ze zmysłów. Rodzaj alegorii nawet. Nie wiem, który jest który, już zapomniałem... No pa-patrz, tu też to samo: te ma-ma-szynki to symbole, znaki. Ale czego? Taka zagadka. No już to lubie! — powtórzył i było z niego wielkie ciepło i zadowolenie, jakby wewnątrz miał wbudowany elektryczny piecyk. Mirek był ciężkim palaczem, gdy szedł, ciągnął za sobą zapach tytoniu, nawet gdy akurat nie palił, a to w połączeniu z intelektem — w tym niewyso-

kim, sprawnym, ruchliwym ciele – wywierało silne wrażenie na kobietach.

Nie minęło dużo czasu, gdy decyzja, by zorganizować Witoldowi wystawę, została podjęta, sam nawet deklarowałem, że włączę się w przygotowania. Oddałem prezesowi raport (nic, nic, cisza, spokój, chłód), zakończyłem segregowanie papierów Z. i oficjalnie nie byłem już potrzebny w domu Witolda. Wprowadziłem się do Anny, ale chciałem być nadal potrzebny. Muszę przyznać, że pomysł wystawy spadł mi z nieba. – Po-połączymy dwie sroki w jedną, za ogon – Mirek Sikorski zżył się z nami do tego stopnia, że nie musiał objaśniać swoich skrótów myślowych, o których mówił: takie szумы, zlepy, ciagi. – w Centrum wystawia Nieistniejąca Grupa Trzy Oczy, po-podnajmiemy jedną salę i wrzucimy te najlepsze maszynki, i niech się ludzie na to natkną, wpadną i w to wsiąkną, b-bo właśnie w takie rzeczy się najlepiej wsiąka znienacka. Trzeba ludzi jakoś zaskoczyć, sprzedać drogo. – Jak to: sprzedać – W. nic nie rozumiał. – N-Nie rozumiem – teraz Mirek Sikorski był zbity z tropu. – Wiesz, mamy mnóstwo ś-świątecznych ludzi i naprawdę kupę znakomitych pro-propozycji. To, co zrobiłeś, jest fajne, nawet b-bardzo, ale choćbyś projektował dla samego diabła, to musisz i tak zadbać o pro-promocję. A zresztą – to przyjemne, trochę o siebie zadbać przed występem.

I miał rację. Przygotować wystawę to przejść drogę od narodzin do śmierci w tydzień. Oglądaliśmy każde dzieło z osobna, wyciągnięte na środek pokoju. Witold mówił o swoich wytworach, a mnie jeżyły się włosy na głowie, gdyż mogłem wreszcie na własne oczy i uszy przekonać się, jak daleko jego wizja świata oddaliła się od uniwersalnej wizji naukowej. Pływał w ideach ogólnych: dobro, zło, doświadczenie egzystencjalne, Ja, byt, nicość, transcendencja, i tak dalej, czego z przyzwoito-

ści nie powtórzę. Wszystko i tak zresztą mi się mieszało, za to porozumienie Witolda z Mirkiem Sikorskim umacniało się z każdą minutą.

Wybraliśmy dwadzieścia parę okazów, w tym Filigranowa, Tao, a także Maszynę C-Nieskończoność – gdy zastukać w nią cynową kołatką n razy, reagowała cichutkim „pstryk” na każdą zmianę zmiany zmiany zmiany . . . zmiany – to powtórzone n razy – ruchu wokół niej – no, ale dyskusje trwały nadal. Znowu maszyny szły na środek, Mirek stawał obok, przyglądał się, palił. Potem mówił. Trzymał papierosa w szczególny sposób (czy t a k pał a r t y ś c i?) – papierowy cylinder z tytoniem przedłużał, jak antena, wyprostowane, równoległe palce. Aby się zaciągnąć, Mirek dobierał się do papierosa tuż przy samych opuszkach. Gdy mówił, lekko unosił pięty i gestykutował zawzięcie, przez co dym zawijał się wokół łysiejącej bańki jego głowy jak wokół sygnałowej pochodni ze świeżych gałęzi. Umiał mówić o wszystkim. Świat wlewał się w niego i wypływał jako idea, ubrana w okrągłe słowa i wiedziałem już, co tak bardzo pociągało W. – to była wolność, nieskrępowana wolność wyboru tematu, poszerzenie pola widzenia, ten stan gotowości intelektualnej, który jest czystym potencjałem, instant, wprost i do użycia – teraz czy później, kiedy chcesz. Tylko mnie zaczep, a powiem ci, co myślę. A myślę, ja – artysta, ja – Mirek Sikorski – artysta – że choć nie wszystko jest sztuką, to sztuka jest wszystkim. – T-takie pierdolenie – kudłaty Robert przedrzeźniał Mirka pod jego nieobecność, ale kiedy zrozumiał, że ten w ogóle nie jest podatny na wdzięk Madeleine, a ona podziwia wyłącznie jego elokwencję i wiedzę – odetchnął z ulgą i przestał.

Siedzieliśmy w piątkę na wąskiej ławce w ogrodzie na dziedzińcu, z głowami w najniższych partiach wiśni i orzecha. Na

wysokości ust miałem gorzki orzechowy liść, na linii oczu — maszerującą do góry nogami biedronkę. — Najgorsze jest to, że wszystko już było — Madeleine, która wypowiedziała te słowa, parsknęła śmiechem, czym wywołała poruszenie wśród swoich liści. — A gdyby tak wziąć jakąś rzecz i po prostu na nią spojrzeć, wzrokiem ją ukonstytuować i taką „dostrzeżoną” wystawiać? — podjął W. — N-nie, t-to już było — odrzekli Mirek i Mady, a moja biedronka spadła. — To może kilka rzeczy przypadkowych, zebrać razem i dodać trafny tytuł — Było — razem z Mirkiem i Mady stworzyliśmy zgodny chór. Na chwilę zapadła cisza. — A gdyby jednak namalować, ale coś naprawdę zwalającego z nóg, natężonego do granic, jakąś czerní... regularną, ostrą i jeszcze skontrastować, powiedzmy... czarny kwadrat na białym tle? — Nie... zapomnij — nawet Robert, który nie miał zielonego pojęcia o malarstwie, wiedział, że to było. — To może wyczerpywać baterijki — parsknąłem z radości jak koń w jabłkowym sadzie, ale zagłuszono mnie: — Było! — Więc żeby coś zasłonić — tym razem wyrwała się Mady, po czym zawahała się — a potem odsłonić — jej piękne usta drgały od tłumionego chichotu — i znów odsłonić? — eksplozja, poruszenie liści, spadające biedronki. — Było! — ryknęliśmy chórem i zamilkły ptaki. — A napisać książkę, o ludziach nudnych i zagubionych, w której nic się nie dzieje? — O! T-to było, w-wielokrotnie... — Mirek trząsł się od śmiechu i nie mógł trafić płomieniem zapalniczki w końcówkę papierosa. — To może wymyśleć postać, od zera, kogoś zupełnie nowego, dać mu obywatelstwo, datę urodzin, historię rodzinną, zawód — będzie wynalazcą! — opatentować za niego fikcyjne urządzenia, pisać dziennik, wysłać rowerem do Afryki — nie chciałem zostać w tyle za innymi — potem niechby stało się coś supermodnego — no, na przykład mógłby przejść na islam. — Fikcyjne postacie już były — mruk-

nał opanowany już Mirek, oparł o pień i z lubością zaciągnął gryzącym dymem – r-robili to chyba w Czechach. – To może coś zniszczyć, a potem oświetlić – widząc nasze kpiące twarze, Robert szybko dokończył – no, żeby rzucało na ścianę abstrakcyjny cień? – Wszystko to było – zaśpiewaliśmy unisono. – Malować po płótnie nagimi modelkami! – Niestety, to już też... Nie wytrzymałem i odgryzłem liść, który zasłaniał mi widok przyjaciół. Gorzko. Cierpko. – Nie chcesz chyba powiedzieć, że już gdzieś, kiedyś, tak ludzie siedzieli w ogrodzie...? – rzucił jeszcze W., ale Mirek nie miał litości – N-no pewnie, chłopaki z Azorro to wykonali, i du-dużo lepiej, wy cieniasy – powiódł po nas karcącym wzrokiem – szkoda gadać, chodźmy coś zjeść.

Gdybym nawet chciał, nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego niektóre wydarzenia potrafią wyryć się w moim umyśle z bezlitosną dokładnością, inne zaś – rozsypują się wraz z upływem czasu, zostawiając próżnię, przeciąg, wiatr na pustym rżysku. Wystawa maszyn Witolda, którą Mirek dopiął na ostatni guzik, owszem, odbyła się – ale nie odcisnęła w mej pamięci żadnych trwałych śladów. Podczas otwarcia, które nazywa się wernisażem, pewnie od łacińskiego *verum*, jako że jest to dla artysty chwila prawdy, przewalił się tłum, ale wtedy za darmo dostaje się wino. Po ustąpieniu pierwszej fali, pozostał tylko cienki strumyczek ludzki; skąd mogliśmy wiedzieć, że przełom września i października wprost pęka od nadmiaru propozycji kulturalnych, przy których wystawy, takie jak tamta, należą do najmniej efektownych? Tylko jeden mały chłopiec, zaczarowany przez Witoldowe dzieła, przychodził, pod kuratelą dość nieszczęśliwie wyglądającego, zrezygnowanego ojca, by z wciąż nowym entuzjazmem bawić się dzwignikami i nakręcać serca mechanizmów. Zwykle po kilku minutach opiekun

malca – urzędnik ze skórzastymi workami pod oczyma i wilgotnym spojrzeniem baseta – wydobywał od syna słowa przysięgi, a potem znikał na godzinę lub dwie, w kawiarni przy wejściu do galerii, gdzie zagłębiał się bez pamięci w lekturze Polityki, Newsweeka czy Wprost, co tam tylko wisiało na kiju przy bufecie. Mały mógł godzinami patrzeć na sforznie, pręty i sprzęgła, a gdy kule Feynmana ruszały w górę, śmiał się i klaskał, aż echo niosło się po pustej galerii. – Dla niego warto było – twierdził Witold, ale widziałem – och, widziałem w nim smutek, jakieś duchowe przygarbienie, smętny znak utraconych nadziei. I nic na to nie mogłem poradzić. Rozmawiało się jeszcze z Mirkiem o zorganizowaniu w mieszkaniu W. pracowni graficznej, ale i z tego nic nie wyszło. Nie pojmuję, jak Witold mógł sobie wyobrażać swoją przyszłość inaczej niż na uniwersytecie czy w instytucie badawczym. Wśród tych – mógł przebierać, jak w ulęgalkach. Każdy pracodawca otworzyłby przed nim swoje drzwi i z miejsca otoczył szacunkiem, o którym mogłem tylko marzyć. Dość powiedzieć, że ja – mający tylko Witoldowe referencje – byłem na wysoce uprzywilejowanej pozycji. Nie wiem zatem – powtarzam – jaki W. upatrzył sobie cel, ale przecież nie mógł chyba przypuszczać, że bez wysiłku, jeśli pominąć rok przemyśleń i lektury, dołączy swoją bożą iskrę do pochodni krakowskiej Humanistyki. Nowi zawsze muszą przeczłgać się przez błoto i od tej reguły nie ma wyjątków. Robert, który czyta gazety i ogląda telewizję, dodaje, że w biznesie, nie wspominając o showbiznesie, że to nie jest błoto, tylko ludzkie gówno. Mirek myśli podobnie, choć wyraża się górnolotnie:

– T-tak – potwierdza – owoce nasze musimy spożywać wprost z paszczy przebiegłego węża.

 Nie wydaje mi się, by Witold był przygotowany na błoto

i węże. Najznakomitszą cechą naszej pracy jest to, że nikt nas nie rozumie, więc nie musimy nikogo zadawać. Matematyka (to moja własna sentencja, która, mam nadzieję, zostanie moją wizytówką. Będzie się mówić: „Waszkiewicz twierdził, że matematyka. . .”) jest tamowaniem nieskończoności i sytuowaniem się na jej drodze. Jest niewyczerpanym źródłem natchnień. Nasze marzenia o liczbach pozostają czyste. Nie pojmuję, że można zrezygnować z tej doskonałości.

*

Wieczorem pierwszego października rozległ się dzwonek do Witoldowych drzwi — cichy gong szybko rozpuścił się w ciszy i nie przeszkadzał nikomu, ale W. odłożył książkę i podniósł się z fotela. Przeszło mu przez myśl, że być może Achille zaśłabł i jeszcze zanim Madeleine zapytała: — Kto o tej porze? — otworzył. Przez chwilę jego oczy przyzwyczajały się do mroku antresoli, ale zaraz dostrzegł na progu dwie ogromne walizy a pomiędzy nimi karła z ogromnymi, żyłastymi dłońmi, który jednak nagle wyrósł do potwornych rozmiarów, a gdy wypełnił całą ramę drzwi, walizy uniosły się lekko ponad ziemię. W. cofnął się odruchowo i ogromny, długojasnowłosy mężczyzna przekroczył próg jego domu.

— Czy łóżko jest wygodne? — zapytał olbrzym ciepłym barytonem. Zanim jeszcze W. i M. zdążyli otrząsnąć się z zaskoczenia, dodał: — Na tym najbardziej mi zależy. — Nazywam się Vim, jak Wenders, ale przez ‘V’. — W. — odparł W. — M. — odparła M. — Ale o co chodzi? — obudził się w końcu gospodarz. — Ja w sprawie ogłoszenia. — Vim zaniepokoił się, wyjął skrawek papieru z kieszeni i przeczytał:

Poszukuję współlokatora. Mieszkanie w dobrej lokalizacji.

Czynsz płatny z góry.

Trwało chwilę, zanim W. przypomniał sobie, iż rzeczywiście nadał taki anons, zaś w tym czasie olbrzym nie spuszczał z oczu drzwi prowadzących do sypialni w głębi mieszkania. W końcu nie wytrzymał. — Można? — zapytał i nie czekając na odpowiedź, zajrzał do pokojów. Zobaczył duże materace i solidne ramy łóżek, więc z niemałą ulgą odetchnął, westchnął i mruknął: „chyba i tak trzeba będzie w poprzek”, zaś W. i M. przyglądali mu się z rozbawieniem, ale wciąż nieco przestraszeni niespodziewanym wtargnięciem. — Napisałem ogłoszenie chyba pół roku temu i nikt się nie zgłosił... — zaczął W., ale nagle zmienił zdanie i dokończył: — Jak Wenders przez ‘W’?

Gdy po raz pierwszy spotkałem Vima, pomyślałem, że na jego widok można uwierzyć w Boga. Dałbym głowę, że młode mniszki z drugiego piętra widziały w nim anioła (straszne słowo „anioł”, które wyznacza poziom dna w popularnych piosenkach radiowych traci tu swoje pejoratywne zabarwienie) — mijają go w korytarzu potulne i zestrachane, jeszcze cichsze, skromniejsze, zaczerwienione, uważne na schodach. Vim zajął nieużywany do tej pory niewielki pokój po przeciwnej stronie kuchni. Za zgodą W. kupił i wniósł ogromny materac, który zajął całą powierzchnię podłogi — myślano wcześniej o zamianie łóżek i dostawieniu jakiejś skromniejszej kanapy dla Witolda, ale pomimo pierwszego pozytywnego wrażenia, żadne z posłań znajdujących się w domu nie odpowiadało wymaganiom Vima. Komfort snu był dlań pierwszorzędą sprawą. Choć nikt, nie znając go, nie śmiałby dociekać przyczyn — mężczyzna tej postury nie musi się tłumaczyć nikomu — Vim wyjaśnił, że pracuje jako *stunt man* i codziennie wykonuje morderczą pracę nad swoim ciałem, by pozostało w formie. Dlatego po pracy musi odpoczywać w królewskich warunkach. Gdy zapytaliśmy, na czym polegają jego zajęcia, odrzekł, że ludzie wynajmu-

ją go, by robił to, czego nie potrafią lub czego się boją, i że jest w tym naprawdę dobry. Wierzyliśmy w jego słowa; gdy mówił, przytakiwaliśmy bezwiednie, oddychając równo i cicho, jak na koncercie w filharmonii. Vim nigdy się nie chełpił, przez co z miejsca zyskiwał wielką sympatię. Gdy opowiadał o swoich projektach, znikaly wszelkie dolegliwości tego świata. Słuchaliśmy i czuliśmy się, w sąsiedztwie potężnej wieży jego ciała, bezpieczni jak dzieci. W tydzień stał się nieodzownym domownikiem i zrozumiałem, że Witold traktuje go jak młodszego brata, którego dotąd nigdy nie miał. W ciągu miesiąca okazało się, że sprawy przybrały tragiczny obrót dla Roberta, gdyż Vim zakochał się z wzajemnością w Madeleine. Konkury były krótkie i rzeczowe. Nikt nie miał żadnych wątpliwości co do jego zamiarów. Były one uczciwe, rozsądne i trafiły na spragniony, płodny grunt. Właściwie tej eksplozji uczuć, gdyby pomyśleć logicznie, należało było spodziewać się już wtedy, gdy Vim przekroczył próg kamienicy. Tego wieczora M. nie wymówiła więcej niż kilka słów, co w innych okolicznościach byłoby nie do pomyślenia.

Stali się nierozłączni, a sprawy wyglądały tak poważnie, że gdy pewnego razu spacerowali wzdłuż ulicy (lato zarządzało już wielki odwrót) mały chłopiec, ogarnięty niezrozumiałymi dlań uczuciami, wrzasnął za nimi zaciętrzewiony: — Kochankowie! — i uciekł.

Niezbyt często zaglądałem teraz do Witolda, gdyż natchnienia matematyka przychodzą falami, a ja znajdowałem się właśnie na szczycie takiej fali. Ukazała się większość artykułów, które napisałem z W. pod wpływem lektury dzienników starego profesora, i moja pozycja na uniwersytecie była już zabezpieczona. Potwierdzał to pojawienie się pierwszych wrogów, jeszcze nieśmiałych i nieprzekonanych do swej niechęci,

którzy za moimi plecami sceptycznie odnosili się do wyboru *Aesthetic of Spatial Reasoning* jako odpowiedniego forum dla takich znakomitości jak Z. i W. (publikowaliśmy zawsze we trójkę), przy czym moje nazwisko pomijano wzgardliwym (ale jeszcze nieśmiałym w swej wzgardliwości) milczeniem. Niemniej jednak habilitację miałem już w kieszeni i stawałem się cennym nabytkiem kadrowym.

Mówiłem o tym, że rzadko odwiedzałem Witolda, więc za każdym razem spotkanie z Vimem robiło na mnie duże wrażenie. Tym razem jadł śniadanie – jego mocne szczęki poruszały się z godnością; mrużył oczy od nieskrywanej rozkoszy, gdy nadgryzał bułeczki smarowane masełkiem i miodem.

– Co dzisiaj robisz? – zapytał W. pomiędzy jednym a drugim łykiem kawy.

– Jadę się palić na Błonia. – odparł Vim, oblizując palce z miodu.

Do tego projektu przygotowywał się od wielu tygodni. Jego zadaniem było wybiec z płonącego budynku i pozwolić się dogasić czekającej na zewnątrz drużynie strażackiej, a potem odwieźć do szpitala polowego na drugim końcu Błoni. Wyczyn Vima był pomyślany jako kulminacyjny moment pokazu sprawności krakowskich sił pożarniczych, a ten, z kolei, był satelitą warsztatów doszkalających dla służb miejskich; całą imprezę sponorował Europejski Fundusz Bezpieczeństwa i to nadawało jej prestiżu i rozmachu.

– Najpierw fryzjer, żeby nie zajęły mi się włosy, no, nad pożarem fryzury trudno zapanować, potem kilka godzin czekania i jakieś 20-30 sekund na wykonanie numeru. Trzymajcie kciuki, żeby nie padało, to na Błonia ściągnie większy tłum.

Madeleine, nie muszę dodawać, była przerażona, ale absolutny, niezachwiany spokój Vima udzielił się jej wbrew świa-

domej niezgodzie na to, co usłyszała. Gdy wrócił wieczorem do domu, bez najmniejszego draśnięcia, wziął prysznic i odetchnął chwilę na sofie w bibliotece, wzięła go za rękę, zaprowadziła do sypialni, gładziła po gładkiej czaszce, skroniach i policzkach, szepcząc zaklęcia miłosne.

Vim cierpiał na lekką bezsenność, ale tę przypadłość uważał za cudowne zrządzenie losu. – Gdybym umiał kłaść się do łóżka i spać do samego rana, jak mógłbym docenić dobroczynne działanie odpoczynku? Byłoby mi żal straconych godzin. „Przesypiamy połowę życia” – takie zdanie z żalem może wypowiedzieć tylko ten, kto sypia zimowym snem niedźwiedzia. A ja bez wyrzutów sumienia mogę zakopać się w pościeli, nakryć głowę i rozkoszować ciepłem, które zatrzymują przy mnie pierzyny.

Obok olbrzymiego łóżka w pokoiku Vima stały rzędem butelki, wyposażone w porcelanowe korki, które co wieczór napełniał wrzątkiem i wsuwał w pościel.

Bezsenność wprowadzała dyscyplinę. Vim spożywał ostatni posiłek nie później niż trzy godziny przed udaniem się na spoczynek; pół godziny przed zaśnięciem wypijał duszkiem szklankę piwa. Po to, by zasnąć musiał mieć na sobie świeżo wyprasowaną piżamę z miękkiej bawełny, którą opasywał jeszcze ściśle wokół brzucha półelastyczną chustą, w jakiej hinduskie matki noszą niemowlęta (taką chustę można dziś kupić w każdym dobrze wyposażonym sklepie dla dzieci). Piżamę prasował wolno i precyzyjnie, kierując się logiką szwów – najpierw górę, płachtę pleców, rękawy, kołnierz, potem dół, w kant, jakby pokazywał nam, że nagrodą za unikanie pośpiechu jest możliwość, że świat stanie się znacznie bardziej interesujący.

Leżąc w łóżku, Vim oddawał się lekturze. Wieczorami czy-

tywał klasyków, a przed samym zaśnięciem studiował tablice matematyczne, które były dlań źródłem małych olśnień. Jak mówił, nie trafił nigdy na prawdziwego nauczyciela, który umiałby swoich uczniów zarazić pasją nauki, ale zawsze żywił podziw dla oszczędnego sposobu, w jakim matematyka zamyka ogrom wiedzy ludzkiej w swoich wzorach. Szybko przekonaliśmy się, że jego podziw jest autentyczny. Vim znał wzór Archimedesza na pole trójkąta, podstawę logarytmów naturalnych z dokładnością do trzydziestu miejsc po przecinku, wzory Eulera, de Moivre'a, rozkład jedyńki, zależności trygonometryczne, definicje konchoidy i kardiody, wzór na psią krzywą i, w końcu, sposób szybkiego mnożenia liczb czterocyfrowych. Z wielką czułością przeglądał ciągnące się przez wiele stron tablice logarytmów i funkcji hiperbolicznych. To właśnie przy nich zasypiał najlepiej.

A rano pił kawę w łóżku i czytał kolorową prasę, traktując dość poważnie te wszystkie zaręczyny, zerwania, udział gwiazd w programach tanecznych, związki gwiazd z tancerzami, rozwody gwiazd z życiowymi partnerami z powodu związków z tancerzami, rozstania tancerzy z gwiazdami, dramaty życiowe gwiazd, upadki gwiazd z firmamentów, życiowe porady gwiazd, przepisy kulinarne gwiazd, reportaże o miłości gwiazd do zwierząt domowych. Vim marzył o niewielkim psie-kanapowcu, ale wiedział, że gdyby zdecydował się na jednego – a tylko biedne mordki ze schroniska wchodziły w grę – musiałby przygarnąć je wszystkie. Vim zostawał w pościeli większość dnia, a łóżko stawało się dlań bastionem chroniącym przed okrucieństwem świata. Jednak gdy przygotowywał się do kolejnego projektu, jego dzienny tryb życia ulegał dramatycznej przemianie. Wstawał bardzo wcześnie, trenował na siłowni (trening tej intensywności zabiłby każdego z nas) i bie-

gał wiele kilometrów dziennie. Dziwiło nas, że człowiek, który tak bardzo kocha komfort i spokój, wykonuje pracę, która mu je całkowicie odbiera. — Jestem profesjonalistą — odpowiedział Vim — moje życie prywatne i zawodowe nie spotykają się na żadnej płaszczyźnie. Dostałem od losu taki, a nie inny talent i żał byłoby go zmarnować. Tyle mam do powiedzenia.

Madeleine wprowadziła w wyżej wymienione życie prywatne Vima sporo zamieszania, które, siłą rzeczy, albo dokładniej: siłą uczucia, zamieniało się w nowy ład. Półelastyczna chusta dla niemowląt musiała odejść. Plan zagospodarowania bezsenności Vima znacząco się ujednolicił, i to ku zadowoleniu obu stron. Na niebie i ziemi pojawiło się w owym czasie sporo znaków świadczących o trwałości tego związku. V. z pasją uczył się alfabetu muzyki poważnej, Mady wiedziała wszystko o polskiej szkole kaskaderskiej od lat pięćdziesiątych zeszłego wieku, zaś niemowlęca chusta — trudno było tego nie połączyć w logiczną całość — leżała na półce, starannie złożona, w oczekiwaniu na swe właściwe przeznaczenie.

Niespełna rok od niespodziewanej wizyty na peronie jesienno-gare Saint-Lazare, Madeleine wraz z Vimem ogłosili swoje zaręczyny i wyprowadzili się na Wolę Justowską w okolice kopca Kościuszki.

W ten sposób Witold został zupełnie sam.

Rozdział VI

Upadek

Witold został zupełnie sam i natychmiast zachorował. Niewykluczone, że wirus przyplątał się, gdy kichnął w jego kierunku zakatarzony grubas, świadomy swego złego stanu i usiłujący za wszelką cenę odgrodzić się od świata, by na przekór wszystkiemu wypić swoją ulubioną czarną kawę w zatłoczonym *Vis-à-vis*. Ale to mogło też wydarzyć się w tramwaju, do którego zagnał go marznąca deszcz. Albo jeszcze gdzie indziej. Dwa razy w roku, na wiosnę i jesienią, mieszkańcy wszystkich polskich miast kichają, rżęzą, smarkają, usuwają dyskretnie flegmę z ust do chusteczki, a w domach właczają w siebie gripex, proszą o natarcie pleców olejkami kamforowymi, płuczą gardła solą, piją mleko z masłem, czosnkiem i miodem. Kiedy nic nie pomaga, dopiero wtedy udają się do przychodni. Witold chorował tak rzadko, że nie miał wybranego lekarza i nie był pewien, czy ktokolwiek go przyjmie — trzeba przyznać, że w tych sprawach był zupełnie bezradny — zeszły dwa dni, zanim wpadł na pomysł, że musi też istnieć opieka prywatna. Do gabinetu dotarł z wysoką gorączką.

Lekarz orzekł infekcję grypopodobną, ale po chwili zastanowienia dodał coś jeszcze. Był to doktor starej daty, w koszuli i krawacie pod białym kitem, w grubych rogowych okularach. — Tak naprawdę ma pan grypę — powiedział, zamaszyście wypisując recepty — ale tylko raz w trzydziestoosmioletniej praktyce stwierdziłem to oficjalnie; miałem wówczas prywatny gabinet na wsi i po postawieniu tej diagnozy przez pół roku nie mogłem uwolnić się od sanepidu. — Wirus trzeba przeczekać, antybiotyk przepisuję osłonowo, niech pan leży, dużo pije, oszczędza się. Gdyby gorączka skoczyła powyżej 40 stopni

i utrzymywała się pomimo zażywanych leków, proszę dzwonić na mój numer prywatny — tu go panu zapisuję — albo od razu na pogotowie — w tych okolicznościach muszą do pana przyjechać. Głowa do góry, wygląda pan na silnego człowieka. Ma być OK, zrozumiano? — Zrozumiano — W. uśmiechnął się blado. — W recepcji zamówią panu taksówkę — do apteki i do domu. Głowa do góry — powtórzył doktor i pożegnał pacjenta.

Dni z gorączką, spędzone w łóżku mogą przynieść wiele błogosławieństw. Jedną z najznakomitszych zalet W. było to, że nigdy nie traktował swojej cielesności zbyt serio. Gdyż trudno, doprawdy, z powagą obserwować wzrost paznokci i włosów, samonatłuszczenie skóry, pocenie, wypróżnianie, a co za tym idzie trudno, doprawdy, uwierzyć w fakt, że skrupulatna kontrola wzrostu paznokci, włosów, nawilżenia i natłuszczenia skóry, próby eliminacji pocenia, a także obserwacja regularności wypróżnień zajmuje ludzkości aż tyle czasu. Leżąc w osłabieniu, W. nabierał dystansu do ostatnich i dawniejszych wydarzeń; obserwował szarugę i wsłuchiwał się w zacinający o szyby deszcz; wyjście do kuchni po kubek gorącej herbaty z cytryną stawało się wielkim przedsięwzięciem — wielką improwizacją w teatrze dreszczy, ale gdy zanurzał się z powrotem w pierzyny i upijał pierwszy łyk gorącego płynu, czuł się szczęśliwy. Porządne sezonowe chorowanie wyklucza pośpiech, przynosi spokój i zmienia perspektywę widzenia — a poza tym prowadzi ku wyzdrowieniu, więc nie ma w nim miejsca ani na chaos, ani na strach.

Niespodziewanie odwiedził go mecenas Aleksandrowicz. Dowiedziawszy się, że W. jest chory, przyszedł z torbą zakupów. Oświadczył, że w jego wieku niespecjalnie boi się chorób, i rzeczywiście — wizyty u W. nie miały wpływu na jego zdrowie. Adwokat żartował, że powinno się tu przybić do drzwi kart-

kę z napisem „strefa pomoru”, ale W. odparł, że tak sztuczna próba nasilenia poczucia przygody byłaby przesadą. Po czym śmiali się ze swoich słów, i o to chodziło. Częstym gościem W. był również Robert, który – jak to ujął – nie ma z kim wypić piwa; przychodził, jak dawniej, bez zapowiedzi i mieszał na małym ogniu alkohol, kardamon i miód. – Wychrzań ten antybiotyk, ja cię tym szybciej uzdrowię. Wspominali wyprawy starym żukiem, ale gdy R. próbował wyciągnąć z chorego przyjaciela zapewnienie, że gdy tylko wyzdrowieje, pojedą na Śląsk, Witold milczał. Przyciśnięty do muru, powiedział tylko: – Zobaczymy. Daj mi kilka tygodni, zobaczymy. A potem: – Jesteśmy kumplami, to najważniejsze, reszta nie ma znaczenia.

Gdy wieczorem zostawał sam, W. uważnie obserwował zmiany światła: zmianę jego głębi – z lekkiej, w ciężką szarość, potem gaśnięcie przedmiotów. Z nie mniejszym skupieniem słuchał dźwięków, ale wśród nich nie było, niestety, odgłosów fortepianu. Dom bez Madeleine ucichł i spoważniał, wpadając w dawny rytm wyznaczany przez nabożeństwa i modlitwy zakonnice. Witold studiował ten rytm w odniesieniu do przemijającego światła, a przemijanie światła sytuował względem zanikania ostatnich znaków lata. Czynił te obserwacje wyłącznie dla własnej przyjemności, swej chorobie zawdzięczając całkowitą obojętność na to, co przyniesie mu przyszłość. Jego postawa w pewnym sensie nie uległa zmianie: nie zamierzał nigdy powracać do pracy na uczelni. Ale wiedział już też, że nie wróci do zajęć ostatnich tygodni. Koniec z maszynami, żadnych dalszych wystaw. Przestał interesować go problem natchnienia, o którym do tej pory tak wiele rozmyślał, który, można rzec, spowodował tę całą rewolucję. Gdyż teraz nagle pomyślał, że upływ czasu, zmiana światła, zmiany pór roku, rytm życia kamienicy – wszystkie zjawiska kategorii pochodnej – są nie-

pomiernie ciekawsze i bardziej złożone od jakiegoś próżnego natężania się w celu wejścia w stan natchnienia, czy — co gorsza — sięgnięcia po sukces. Jak nierzeczywista jest twarz Sukcesu, niech poświadczy przypadek pewnego publicysty, który — ukrywając się pod inicjałem — na łamach dwóch wrogich pism prowadził zażartą dyskusję, sam przeciw sobie, rzucając krwawe oskarżenia i lżąc przeciwnika w tonie tak wysoce kulturalnym, jak nieprzyzwoitym. Oczywiście temat sporu szybko zszedł na drugi plan, zaś nakład obu pism każdorazowo zniknął jak drób porwany letnią wichurą. Nic dziwnego, że wyrosła z tego ogólnonarodowa dyskusja, która zakończyła się skandalem, przynosząc jego sprawcy sławę i najśłodsza ze słodkich beztroskę finansową. Ale przecież w pół roku o nim zapomniano. A o tym jak grymaśna jest twarz Sukcesu, niech powie przykład olimpijczyka z Vancouver, który w pierwszym z wielu zaplanowanych dla siebie startów zdobył złoto. Patrzcie! mistrz pozuje fotoreporterom i w ekstazie gryzie medal — oto gest symboliczny, potwierdzenie, że złoto jest najwyższej próby! Mistrz gryzie medal, łamie ząb, z bólu dostaje torsji, a kontuzja eliminuje go z dalszych występów. Lecz i po nim zostanie próżnia. A Witold nie pragnie już sukcesu. Myśli o drzewach, gdyż w układzie ich gałęzi jest zapisana zarówno historia gatunku, jak i średnia z kierunku wiejącego tu wiatru. Myśli o asymetrycznych koronach sosen nad Bałtykiem. O tym jak wiele piękna jest w prostych czynnościach, o tym jak złożone są proste czynności. Jest mu tak dobrze! znów ma dreszcze, pije gorące mleko, jego gorączka to rośnie, to spada.

Morzy go sen, płytki i przerywany; gdy budzi się w środku nocy, jest przeпоcony, zgarnia na opuszkach słoną wilgoć z czoła i wkłada palce do ust; wewnątrz ust jest gorące, W. nie czuje jeszcze ni smaku, ni zapachu. Zmienia bieliznę, przekłada po-

ściel na drugą stronę, wyciera głowę ręcznikiem, z powrotem okręca szyję miękkim szalem, nakłada suche, grube skarpety. Proste czynności, jak wiele w nich mocy życia.

A potem zdrowieje i czuje się na tyle dobrze, by spacerować. Nosi wiatrołap i czapkę, a ręce trzyma w kieszeniach. Nie oddala się od domu, siada pod lysiejącymi od jesieni drzewami na dziedzińcu, patrzy w górę na swoje okno, jest szczęśliwy. Ta fasada była tu już sto lat temu, jeszcze zanim wykiełkowały drzewa, które teraz koronami sięgają piętra. Gdy wraca do domu, otaczają go rzeczy – ocean przedmiotów – niektórych używał jako ostatni profesor Z. Gdy wstaje rano i otwiera oczy, W. widzi je wszystkie. Niektóre są ważne, inne nie. A jeśli popatrzeć z punktu widzenia *człowieka wewnętrznego*, żadna rzecz nie jest ważna. Książki? W. na próbę wybiera przypadkowy tomik poezji i uczy się kilku wierszy na pamięć – tych, które mu się podobają, a inne pomija. Następnego dnia dokonuje powtórek. Tydzień później jest pewien, że słowa poety zostaną z nim na zawsze. Wystarczy, że będzie powtarzał je w głowie co kilkanaście dni. Książka nie jest już potrzebna, traci swoje znaczenie. Jest estetyczna jako przedmiot, ale już pusta, opróżniona. Może przyda się komuś innemu? W. pozostawia ją, niby przypadkiem, na stoliku w kawiarni, starając się, by barman nie zapamiętał jego twarzy. Następnego dnia już jej nie ma. Inną książkę W. zanosz do księgarni i wkłada na przypadkową półkę. Żaden z tych sposobów nie jest dobry na dłuższą metę. Organizm miasta jest jednokierunkowy. Życzliwi ludzie oddają zguby. W księgarniach są zamontowane kamery, a jeśli stojąc przy półce zachowujesz się nienaturalnie, może paść podejrzenie, że kradniesz. Któż uwierzyłby, że jest odwrotnie? Antykwariaty nie przyjmują nic, oprócz wybranych, modnych tytułów, a takich, przy całym ogromie kolekcji, nie ma w domu

Witolda. Na szczęście większością zbiorów książkowych dysponuje Towarzystwo. W. udaje się naprzeciwko i prosi prezesa, by zechciał przechować je u siebie. Starzec jest ogromnie zaskoczony, ale nie zadaje wielu pytań. W kilka dni wynajęci ludzie przenoszą bibliotekę Z. do refektarza Sióstr – pomieszczenia, które Arcybibliotekarz wyprosił u sąsiadek. Mimo to mieszkanie W. wydaje mu się nadal spuchnięte od mnogości przedmiotów. Ma wrażenie, że pojawiają się nowe pokoje, których do tej pory nie odwiedzał. Wie, że to tylko złudzenie, ale jakże sugestywne, literackie, choć przecież literacko wyeksploatowane.

Przenosiny biblioteki mają w sobie coś historycznego, przywodzą na myśl ocalenie przed pożarem lub potopem. To bardzo mocny akord, który napełnia duszę W. zadowoleniem. W. udaje się do biblioteki Jagiellońskiej i odszukuje informacje o ocaleniach słynnych bibliotek, a także o zniszczeniu słynnych bibliotek; dowiaduje się, że palono książki na stosach i jest wstrząśnięty. Tego dnia czuje się gorzej, ma ataki kaszlu, które wykluczają dalszy pobyt w czytelni, jednakże w domu mijają bez dalszych powikłań. Wypożycza więc *Auto da fé* Eliasa Canettiego i czyta tę powieść w dwa wieczory. Następnego dnia przypomina sobie kluczowe sceny; potem jeszcze wraca do powtórek za tydzień. Powieść zostaje w jego głowie na stałe, a książka jako taka jest już opróżniona, więc W. oddaje ją do wypożyczalni.

Herbata to ulubiony napój Madeleine i szafki kuchenne są pełne najrozmaitszych herbacianych gatunków. W. nie przepada za herbatą w torebkach, gdzie zaparza się też bibułę i malutką metalową zszywkę podtrzymującą sznurek z tekturką. Czasem bywa, że wrzątek, nalewany na torebkę, pociąga ją silnie w dół, aż do naparu wpada i sznurek, i tekturka, która zwija

się pod wpływem gorąca. Dlatego problem herbaty domaga się natychmiastowych rozstrzygnięć.

Podobnie źle mają się sprawy łazienkowe, a najbardziej fatalne jest istnienie szafki, sześciokondygnacyjnej, wypełnionej po same brzegi akcesoriami, które M. i V. uznali za zbędne lub zbyt kłopotliwe do przeniesienia. Poczynając od prawdziwej gąbki z gąbki, z koralowej rafy, poprzez minireczniki, myjki, szczotkę do pleców, kosmetyczki, nieznane W. przyrządy do... — no właśnie, do czego może służyć wygodna rękojeść zakończona gładką łopatką? — po płyny żrące, zapach do toalety, a także przedziwne nakładki na suszarkę przypominające drobnoustroje z kropli wody powiększone do potwornych rozmiarów użytkowych — jest w niej wszystko. W. z niedowierzaniem odkrywa, że żel pod prysznic ma k s z t a ł t s p o r t o w y, co musi oznaczać, że sportowość sama w sobie posiada esencję, którą genialnemu nieznanemu projektantowi udało się zakląć w formie plastikowego pojemnika. Nawet gdyby wykończyć żel, co wydaje się W. zadaniem ponad siły, pozostanie ta przekłeta męska, silnie erotyczna, butelka, niepotrzebna komplikacja, nie znajdująca uzasadnienia, stokroć gorsza od zwykłego mydła, które, jak niewiele rzeczy na tym świecie, umie zniknąć bez śladu, do końca, i to w rozsądnym czasie.

Już nie tylko rzeczy powszednie, ale i uniwersalne abstrakcje domagają się od W., by zajął stanowisko. Czas, czasowość, trwanie — W. jest dumny z tego, jak radzi sobie z czasem. W żadnym wypadku nie przykłada się do tego, by czasu nie tracić, ale też nie trwoni go bezpodstawnie. W pewnym sensie, poprzez swoją fenomenalną umiejętność opóźniania poczucia radości (dopiero teraz zaczyna doceniać, jak wielki jest to dar), jest panem czasu. Owszem, jak każdy, płynie w zambeziań-

skim korycie czasu, ale płynie w swoim tempie. Witold nie reguluje zegarka, gdyż zna różnicę czasu wskazywanego z czasem rzeczywistym, a także tempo przyrostu spóźnienia (to 0.35 s na tydzień); ponieważ ma talent, w każdej chwili z łatwością może dokonać stosownych kalkulacji. W. jest zadowolony, gdyż problem podawania czasu aktualnego utrzymuje go w dobrej formie obliczeniowej. Lubi, gdy przechodnie zaczepiają go na ulicy i pytają, czy ma zegarek. Oczywiście nie chcą wiedzieć, czy ma zegarek, czy nie, toteż W. nigdy nie odpowiada wprost, ale udziela odpowiedzi na inne pytanie, które w żaden logiczny sposób nie jest związane z pierwszym. To pytanie brzmi: „Która godzina?”. Gdy zatrzymują go młode kobiety, podaje czas w minutach i sekundach, przy czym chwila, gdy przestaje mówić jest chwilą aktualną. Kobiety uśmiechają się, gdyż wierzą, że taka dokładność to znak specjalnej uwagi, jaką okazuje im ten przystojny, ale jakby nieobecny mężczyzna – i mają rację! – ale ponieważ nie mają zegarków (czyż inaczej pytałyby o czas?), nie mają szans docenić fantastycznej formy W. Dlatego ta spontaniczna gra jest jedynie występem w teatrze pustej formy, który jednakowoż wnosi w dni W. wiele przyjemności.

Istota Sztuki pozostaje dla W. nieprzenikniona. Pomimo starań, pozostaje osobą spoza kręgu Artystów. Gdyby rzec, że jego fantastyczne osiągnięcia intelektualne, konstrukcje, z których zbudował wielkie twierdzenia roztrzaskanego z furją o ścianę opus magnum, są Sztuką, uznałby to za pomieszanie pojęć. Gdyby wskazać Maszyny, poskarżyłby się na ludzką wobec nich obojętność. Gdyby zaskoczyć go hasłem Życia jako dzieła Sztuki, raziłaby go dowolność tego sformułowania. W. przeczuwa jednak, że Istotą Sztuki może być Stosunek Sztuki do Sztuki Promocji Sztuki, a Sztuką niewątpliwie, co łatwo stwierdza się naocznie, nie jest żaden przejaw twórczości nie uwikłany

w ten Stosunek. I to daje mu do myślenia.

W. z jakimś zdumieniem, które na pewnym głębokim poziomie jego duszy rezyduje jako „potworna ulga”, przyjmuje do wiadomości – tak, właśnie! przyjmuje do wiadomości! – że wszelkie jego próby, przeszłe i teraźniejsze, przybliżenia się do poznania swych przyszłych celów, sytuują te cele znacznie dalej, a także zacierają je i często nakładają na siebie. Czystość sytuacji i jasność celów ujawniają się jaskrawo dopiero wtedy, gdy są one zupełnie nieaktualne, a co za tym idzie, prawdziwym otwartym, jasnym umysłem W. penetruje wyłącznie fenomen fiaska projektów przeszłych. Dodatkowo znakomitą przejrzystość posiadają jego myśli o Madeleine, Vimie i innych bliskich osobach. I to daje mu do myślenia.

W. docenia ogromne znaczenie „definicji negatywnych”, które przyszpilają zjawiska definiowane przez ograniczanie ich pola znaczenia. Wiedzieć, kim nie jesteśmy, jest w pewnym sensie najwyższym możliwym osiągnięciem. Zrozumiawszy to, W. daje sobie w ogóle spokój z problemem „ja”. I to na dobre, tak jak uczyniło to wiele milionów Polaków z tej, czy innej, przyczyny.

I mimo moich wcześniejszych poręczeń, że wszystkie wydarzenia złączą się w jedyny logicznie uzasadniony ciąg, trudno przewidzieć, jak dalej potoczyłaby się ta historia, gdyby W. nie zauważył, że w jego mieszkaniu jest jeszcze jedno pomieszczenie, mała garderoba – odgałęzienie z kąta dotychczasowej sypialni Madeleine – ot, mały schowek, zamknięty na klucz, nieużywany, przeoczony przez wszystkich. Przyznaję, że temat małych, tajemniczych pomieszczeń jest wstydlivy, ich pojawianie się w punkcie kulminacyjnym opowiadanej historii jest dość żenujące, tak, ten wątek jest literacko wyeksploatowany już w średniowieczu i naprawdę W. stawia mnie w niezręcz-

nej sytuacji, gdy wzywa Roberta na pomoc — Robert ma złote ręce — mówi się też, że *jest złotą rączką* — i dorabiają klucz — rzecz niełatwa, bo zamek jest nietypowy, sprzed wielu wieków, nie chcą, nie mogą, go zniszczyć, wyłamać, no, ale klucz w końcu pasuje i otwiera drzwi. Gdybym był pisarzem, który żyje z wytworów swojej wyobraźni, spaliłbym się ze wstydu. Na szczęście mam dobrą posadę na najstarszej uczelni w Polsce, której, z moimi kwalifikacjami i usposobieniem, nie uda mi się utracić, i nie muszę brać na siebie odpowiedzialności za błędy wszystkich innych literatów. Piszę do szuflady, a gdybym kiedyś zabłysnął gwiazdą na firmamencie Nauki, gdybym był zapraszany do ośrodków naukowych na egzotycznych wyspach Pacyfiku, i gdyby moje zapiski o życiu W. odnaleziono i odczytano w atmosferze wielkiej medialnej niespodzianki, i jeszcze natychmiast wyrażono pałace pragnienie ich wydrukowania (lecz nie czarujmy się — jeśli nie będę sławny, nie zainteresuje się nimi nawet pies z kulawą nogą) — to wtedy przerobię ów fragment tak, że nabędzie ostrości znamiennej dla tej literatury, o której powiada się, że nie jest damą lekkich obyczajów i nie można bezkarnie poklepywać jej po tyłku.

Drzwi otwierają się i ukazuje się wielka mnogość przedmiotów trwałych: książki, samowar, rower, kilka zwiniętych szali, obój w futerale, zapasowe uszczelki do okien i tak dalej, nie do sklasyfikowania i nie do ogarnięcia. W głębi opalizuje, nakryte welonem z pajęczyn, kremowe pudło z widokówkami, które przez lata przysyłali Z. inni samotni, starzy profesoro- wie, kilkadziesiąt jego niewidzianych dotychczas zdjęć i teczka z nieokreślonymi bliżej rysunkami. Wśród książek W. znajduje to, czego brakowało w księgozbiornym — pierwsze wydania starych angielskich i francuskich monografii matematycznych, prawdziwe rarytasy — Witold patrzy na nie ze

wzruszeniem, któremu ja w ogóle nie potrafię się dziwić. Jego powierzchowna emocja szybko jednak mija i W. stoi teraz wobec kolejnych dziesiątków kilogramów nowych przedmiotów, i nagle dojrzuje w nim postanowienie, co do dalszego losu tych przedmiotów, i co do własnego losu, i nawet ja dziś rozumiem, że trakt jego myśli nie mógł prowadzić w innym kierunku — za dużo problemów nabrzmiało, zbyt wiele razy W. był o krok od tego wniosku, gdyż jednak nie wyzwolił się całkowicie spod presji osiągnięcia Sukcesu, nie wprowadził swoich ideałów w wymiar praktyczny (któż z nas umie to uczynić, no kto?), i teraz wreszcie zdecydował się na krok nieodwracalny, który wymagał natychmiastowej rozmowy z Mirkiem Sikorskim i któż by się dziwił, że Witold nie uzyskał gładko jego aprobaty, ale wtrącił w stan głębokich, gorączkowych rozmyślań, tak że Mirek odpalał jeden papieros od drugiego i buchał dymem jak parowóz, dopóki pracownia w jego domu, gdyż tam W. udał się po poradę, wypełniła się mleczną, gryzącą mgłą, która wywołała niekończący się atak kaszlu u W. i jego natychmiastową ewakuację do Mirkowej kuchni — tam zawisł bezwładnie na krześle, wyczerpany wewnętrznym trzęsieniem oskrzeli, i jego globalnymi skutkami, ze szklanką wody w dłoni, w połowie pełną, będącą tylko i aż optymistyczną wersją szklanki w połowie pustej.

— N-no tego jeszcze nie było — chyba, chyba nie? — no, nie u nas, z pewnością nie — to będzie strasznie mocne — łubu-du w łeb, czy ty chociaż wiesz, co tam masz? — Witold nie wie, ale przecież właśnie zamierza się dowiedzieć.

Kochana Madusiu — pisze W. — śniłaś mi się wczoraj. A w tym śnie grałaś na Steinwayu — ja zaś przysłuchiwałem się muzyce. To była prosta i porywająca melodia, przypominająca pozytywkę, a może rodzaj tematu z wariacjami. Nagle rozpadało się

i krople uderzały tak głośno, że zaguszyły cię, a potem deszcz rozmazał Twój obraz. Wtedy obudziłem się. Padało naprawdę. Niestety nie mogę was teraz odwiedzić, gdyż przeziębilem się – na szczęście niegroźnie. Uściskaj serdecznie swojego wielkolu. Przesyłam Ci w prezencie opis Tao, który tak lubisz. W. wkłada zaadresowany list do większej paczki, którą okleja szarym papierem. Całość adresuje ponownie. Szanowni Państwo, rozwiązuję naszą umowę ze skutkiem natychmiastowym. Usługa, którą Państwo dostarczacie, nie odpowiada zupełnie moim potrzebom – niestety, Państwa regulamin „świadczenia usług energetycznych” nie przewiduje wyboru taryfy przez Klienta, zaś abonament, który płacę obecnie, wyliczony pokrętnie i jak mogę łatwo udowodnić – nieprawidłowo, jest stanowczo zbyt wysoki w stosunku do zużycia prądu w moim mieszkaniu. Rzeczywiście, odkąd W. przystosował się do korzystania wyłącznie ze światła dziennego (bardzo rzadko zakłócał ciemności nocne małą lampką do czytania), jego rachunki opiewały wyłącznie na kwoty potrzebne do zaparzenia dwóch-trzech kaw dziennie (nie gotował, nie potrafił). Niestety dostawca prądu dostawał dziesiątki podobnych listów, które w dziale korespondencji z klientami umieszczano w specjalnej przegródce, opatrzonej napisem: „zgryźliwi emeryci”, i nadal wiele tygodni świadczył swoje niechciane usługi, wysyłając ponaglenia do zapłaty i coraz mniej stonowane ostrzeżenia przed procesem sądowym. Drogi Pawle, jestem Ci winien przeprosiny... powinienem był odezwać się już dawno... Wykonałeś wspaniałą pracę, nigdy Ci tego nie powiedziałem wprost i chciałbym to teraz naprawić. Moim zdaniem teoria \mathbb{Z} ma przed sobą wielką przyszłość, tylko nie daj się zniechęcić tym wszystkim geniuszom, którzy będą cytować dziesiątki przyczyn jej nieużyteczności. Przypomnij sobie Alexandra Grothendiecka i jego SGA. I kto jest

górá? W ramach przeprosin mam dla Ciebie uproszczony dowód Twierdzenia o Rzucie – można powiedzieć – rarytas z Księgi – a także posyłam Ci paczkę. . . – gdy otworzyłem pudełko, wraz ze skrawkami szarego papieru opadła na podłogę moja szczeka – ten facet miał królewski gest – przed moimi oczami leżał stos osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych monografii: Cartan, Bolzano, Bombelli, Weil, Klein. . . Panie Prezesie – Witold rozpoczyna kolejny list – nie wiem, kim był dla pana profesor Z., ale Pan z pewnością był dla niego ogromnym autorytetem, ciągle niezadowolonym, można rzec: niezaspokojonym autorytetem. Prywatny dziennik profesora, który przed kilkoma dniami znalazłem wśród osobistych rzeczy, których nie miał pan możliwości oglądać, jest zapisem autentycznych zmagania tego wielkiego człowieka z problemami samotności i braku wiary, jest testamentem jego niepokoju i bólu, które – jak mogę przypuszczać – podsycił Pan swoimi niedyskretnymi pytaniami. Ale nie mnie osądzać znajomość Panów i jej skutki. Liczę na to tylko, że lektura ostatniego, prywatnego pamiętnika Z., nie sprawi Panu przyjemności. Żegnam Pana, W. G. Ten list Witold odkłada na półkę, gdyż zamierza wysłać go na sam koniec. Potem idzie na górę, by podarować zaskoczonym Achillesowi samowar. Pani(e) Kierowni(czko/ku) – adres domu dziecka znalazł w książce telefonicznej na poczcie głównej – przykro mi, że rower jest tylko jeden, ale proszę przyjąć jeszcze kilkanaście prawie nieużywanych ubrań, obój należący dawniej do zasłużonego profesora matematyki. . . – uzbierały się tego dwie ogromne paczki, za których przeniesienie kurier zażądał dodatkowej opłaty – i taką dla świętego spokoju, otrzymał.

W. ogląda przedmiot po przedmiocie, nie spiesząc się – ma przed sobą całą zimę. Te bezużyteczne rozkłada na części

pierwsze – plastik, papier, metal, szkło – osobno. Zanim znikną, zostają sfotografowane i odnotowane w spisie, który nosi roboczy tytuł: „Katalog rzeczy zbędnych”. W. realizuje marzenie o wielkich porządkach, które jest bliźniaczym odbiciem marzenia o wielkim posiadaniu. To pierwsze wymaga odwagi, drugie – pieniędzy. W. jest marzycielem, który nie ma pieniędzy. Z mieszkania znikają powoli nagromadzone jeszcze przez rodziców profesora, i przez dziesięciolecia nieużywane, zastawy, srebra, obrusy, zegary, pozytywki, pudełka z biżuterią, akcesoria kuchenne, które W. przekazuje, w zależności od ich wartości, Muzeum Etnograficznemu lub kawiarence na parterze – trzeba przyznać, że jego sądy są trafne, a dary – przyjmowane z wdzięcznością. Wydaje się teraz, że mieszkanie, tak oczyszczane, nabiera głębokiego oddechu, i pozbawione przygniatających go rupieci, staje się gotowe na nadejście nowoczesności. Gdy W. jest już zadowolony ze swoich poczynań, pakuje jeszcze jedno pudło, w którym znajdują się osobiste pamiątki po starym profesorze – korespondencja, kasety z muzyką, krawaty, paski, chustki do nosa z monogramem, zdjęcia rodzinne i okazały zbiór numizmatów – po czym idzie na ulicę Rakowicką, w odwiedzinach do mecenasa Aleksandrowicza. Zastaje go w gabinecie, siedzącego w wysokim fotelu, pograżonego w lekturze. Witają się serdecznie, a potem bardzo długo rozmawiają. – Czy jesteś tego absolutnie pewien? – pyta z naciskiem adwokat, nie dbając już o zachowanie zwykłych form grzecznościowych. – Tak – odpowiada W. Przy rozstaniu ściskają sobie mocno dłonie. W. odwiedza jeszcze Mirka, aby wręczyć mu „Katalog rzeczy zbędnych”, teraz już w trzech tomach. – To najmocniejszy happening, jaki widziałem – mówi poważnie Mirek – p-pozbyć się wszystkiego bez żadnego rozgłosu – jesteś nie-niesamowity, s-stary. No to jest Sztuka przez

du-duże S. Dzwon o każdej porze dnia i nocy, jakby co. Rzucają się sobie w objęcia. Po czym Witold odchodzi. Jakiś miesiąc później Robert, sklepikarz z Ronda Mogilskiego, otrzymuje akt własności niewielkiej podkrakowskiej działki, zaś mieszkanie w zabytkowej kamienicy — tę wiadomość mecenas Aleksandrowicz przekazuje zainteresowanym osobiście — przechodzi w ręce Madeleine i Vima.

Rozdział VII

Gabanga

Z perspektywy lat coraz słabiej rozumiem motywy, którymi kierowaliśmy się w naszych młodzińskich wyborach. Za to, pewnie w ramach odgórnej rekompensaty, z niezwykłą jasnością doświadczam ciągłości zdarzeń – cokolwiek byśmy nie uczynili w młodości, znajdzie swój dalszy ciąg w latach dojrzałych; co więcej – nie stanie się nic, czego nie zwiastowałaby młodość.

Anna odeszła ode mnie następnego roku po zniknięciu W. Nasze rozstanie było jednak... przyjemne, prawie tak przyjemne, jak dzień w którym poznaliśmy się.

Prezes pozbył się Anny, gdy tylko zakończył pracę nad katalogowaniem księgozbioru profesora Z. Dostałem szału, w pierwszej chwili chciałem biec do kamienicy, sam nie wiem, po co – zdemolować gabinet? potrząsnąć tym człowiekiem? – przecież był zbyt stary, abym widział w nim przeciwnika – to wszystko nie miało sensu i tylko wykrzyczałem się w czterech ścianach, zaś Anna siedziała w fotelu i wycierała nos. Potem leżeliśmy razem, objęci, patrząc na przesuwane się po suficie odbłaski świateł samochodów, przejeżdżających tej nocy wzdłuż naszej ulicy. Przez następne tygodnie żyliśmy z mojej pensji uniwersyteckiej i nie miałbym nic przeciwko temu, by tak zostało na zawsze. Ale Anna usychała z braku zajęcia, wychodziła na całe dni, aby szukać pracy, wertowała ogłoszenia w prasie, pukała do każdych drzwi, pytała osobiście o wakaty w administracji krakowskich towarzystw, fundacji, zrzeszeń, bibliotek, i tak dalej. A ponieważ Europa otworzyła dla Polski swój rynek pracy, Anna odpowiadała również na oferty z zagranicy. Wkrótce otrzymała zaproszenie, z którego nie mogła nie sko-

rzystać — poszukiwano asystentki w bibliotece *The Royal Ballet School* w Londynie. Aparycja, wdzięk, kompetencje językowe i doświadczenie Anny zrobiły doskonałe wrażenie i otrzymała tę posadę. Myślę, że oboje zrozumieliśmy, że właśnie dobiega końca nasza cudowna przygoda. I dlatego zafundowaliśmy sobie trzy tygodnie miłosnego rajku. Przesyt, do którego głębi dotarliśmy, był wspaniały, i, nie owijajmy w bawełnę, bardzo praktyczny. Niektóre serca widocznie potrafią kochać goręcej, inne zaś zadowolają się tym, co dyktuje rozsądek. Mimo wszystko na lotnisku Anna płakała, co było potwierdzeniem faktu, że już w tamtej chwili zamykaliśmy za sobą drzwi, prowadzące do dwóch różnych światów — światów bez wspólnej przyszłej historii.

Gdy Madeleine zadzwoniła do mnie po wielu miesiącach, nie wypadało uchylić się od zaproszenia. Tego dnia pogoda również nie mogła być wymówką: klony gubiły już liście, ale powietrze pod kopułą bezchmurnego nieba było nagrzane do dwadziestu stopni.

Ledwie zdążyłem na umówione spotkanie — jak zwykle na początku roku akademickiego, miałem urwanie głowy, rozpoczynał się cały ten cyrk z imponowaniem pierwszorocznikom, młyn administracyjny, prezentowanie i podsumowywanie dorobku naukowego, wdrażanie niekończących się ulepszeń naszej oferty edukacyjnej, odwiedziny Państwowej Komisji Akredytacyjnej i inne tego typu przygody. Szedłem przez park Jordana i byłem odurzony powietrzem. Patrzyłem w migdałowe oczy jesieni: liście klonów skręcały się pierścieniem, w alejkach parkowych zalegały kopce złota, z których niższe roztrącałem butem na boki, a wyższe kopnięciami wzbijałem w powietrze. Na Błoniach przygotowywano Pokaz Interwencji Policyjnych, wielką coroczną imprezę obrazującą stan gotowości

naszych służb porządkowych, a także sprawność miejskiego aparatu administracyjnego. Tam zmierzałem. Z M. i V. umówiliśmy się wszakże jeszcze w parku. Dostrzegli mnie pierwsi – stali na środku głównej alei, Mady przyklejona do męskiego ramienia i roześmiana, zaś Vim machał do mnie wielką łapą. Nie widzieliśmy się odkąd zniknął Witold. Usiedliśmy, by wypić kawę w Jordanowskim okragłaku. Mady była piękna, szczęśliwa, promieniejąca, i nie dawała nam dojść do słowa, ale właśnie tak było najlepiej. Powiedzieli, że wprowadzili się na powrót do mieszkania, które podarował im W. Zapytałem, czy prezes Towarzystwa Bibliotekarzy nie nęka ich swoją obecnością, ale zaprzeczyli – nie widują go wcale. Wygląda na to, że odszedł na emeryturę. Potem Vim dość szybko pożegnał się, gdyż musiał przygotować się do swojego zadania. W ciągu tej godziny, która pozostała do rozpoczęcia pokazu, dużo mówiłem o W. Pamiętam, że porównałem go do Alexandra Grothendiecka, osobliwego, genialnego matematyka dwudziestego wieku, który porzucił swoją karierę, rodzinę i przyjaciół, w imię wyższych ideałów, po czym zaszły się w górach Księstwa Andory i słuch o nim zaginął. To dziwne, że się tak rozgadałem. Mady nie przerywała mi, a gdy skończyłem mówić, kawa wystygła i przestała mi smakować. Powoli poszliśmy na Błonia. Tłum powoli krążył wokół rozstawionych namiotów. W jednym z nich dokonywano bezpłatnych pomiarów ciśnienia i kolportowano ulotki wyjaśniające przyczyny powstawania miażdżycy i chorób wieńcowych. W innym, i tam zgromadziło się najwięcej matek z dziećmi, rozdawano butelki z niegazowaną wodą mineralną X i błękitne baloniki reklamujące X. Gdy matki piły wodę, dzieci puszczały baloniki w niebo. Wkrótce zaczął się pokaz. Najpierw nadleciał helikopter i na ziemię zeskoczyła kilkusobowa grupa komando-

sów sił specjalnych policji, by pokonać, w pełnym uzbrojeniu, tor przeszkód. Huknęły brawa. Potem, w wielu miejscach zebrano ochotników – młodych chłopców, którym oficerowie policji zrobili publiczne szkolenie radzenia sobie z uzbrojonym przeciwnikiem. Instruktaż obejmował naukę kilku skutecznych bloków i duszeń, a także odpowiedź na atak nożem, łączący w sobie poprzednio demonstrowane elementy obrony własnej. Gdy szkolenie zakończyło się, huknęły brawa. I tak dalej. Impreza rozkręciła się i co rusz rozlegały się oklaski. Pokaz, w którym uczestniczył Vim, miał być bardzo widowiskowy, więc zaplanowano go na końcu. Młody oficer policji długo wyjaśniał przez megafon, co będziemy widzieć.

Gdy tylko słowa policjanta rozplynęły się w powietrzu, Vim, ubrany w kask z kratą na twarz, podobny do tego jaki posiadają bramkarze hokejowi, w watowane spodnie, kurtkę i grube rękawice, wybiegł na murawę Błoń z bronią w rękę. Widziałem jego ogromny spokój i wielką wewnętrzną siłę, gdy nabierał prędkości, szarżując prosto na pierwszą linię widowni. Gdy był jakieś trzydzieści metrów od barierki, wypuszczono psy policyjne, które bezgłośnie ruszyły w kierunku uciekającego bandyty i w kilkunastu skokach dopadły go i po krótkiej, pozorowanej szamotaninie – powaliły na ziemię. Vim skulił się i zamarł bez ruchu, co miało być sygnałem dla psów do zakończenia akcji, a na miejsce interwencji biegli już opiekunowie bohaterskich czworonogów. Rozległy się pojedyncze oklaski.

Nagle zaczęło dziać się coś złego. Vim skoczył przed siebie jak oparzony, trzymając się za głowę i zerwał kask. Psy, widząc uciekającego, rzuciły się nań ponownie. V. potknął się i nadal nie w pełni odzyskawszy kontrolę nad sytuacją, upadł na ziemię tak niefortunnie, że z całym impetem przygniótł

i zmiądzzył tułów psa, który uwiesił mu się zębami na rękawie. Oszalałe z bólu zwierze zawyło i rzuciło się Vimowi do szyi. Zanim opiekunowie odwołali psy, kilka z nich dopadło i szarpało leżącego mężczyznę. Oblał mnie zimny pot, gdy uzmysłowiłem sobie, że Vim nie broni się przed tym atakiem. Nie wiem, co działo się dalej, gdyż tłum poruszył się i zasłonił mi widok. Usłyszałem przerażający krzyk Madeleine, która próbowała minąć bokiem ciżbę i linię ochrony, by dotrzeć do Vima. Zaraz też rozległo się wycie syren. Na teren pokazu wjechał pędem ambulans i sanitariusze w pośpiechu zabrali leżącego. Młody oficer zmienionym, drewnianym głosem prosił widzów, aby zrozumieli, że zdarzył się wypadek i odeszli, ale tłum trwał i falował w rozgorączkowaniu, dopóki ochroniarze stanowczymi środkami nie rozproszyli zbiegowiska.

*

Asymilacja nowej teorii w środowisku naukowym jest procesem żmudnym i powolnym, wymagającym nakładu pracy wielu osób. Gdyby chcieć jedynie pozyskać współautora publikacji – sprawa jest prosta; żądać, by poświęcił cały swój czas, entuzjazm i pasję “podejrzanej nowości” – to zadanie graniczące z niemożliwością. Wyjątek stanowią te teorie, które biorą środowisko szturmem, rozwiązując uznany problem otwarty, zwykle opatrzony wielkim nazwiskiem, jak hipoteza Riemanna, Weila, Hodge’a, Poincarégo, itd. Teoria szturmująca, która pojawia się raz na kilkadziesiąt lat, błyskawicznie zyskuje entuzjastów, którzy w relatywnie krótkim czasie doprowadzają ją do granic użyteczności; wtedy teoria traci swoje ponętne, drapieżne oblicze i wchłania się spokojnie, stając się częścią monstrualnego Organizmu Nauki. Tak więc zwykła praca środowiska naukowego polega na dokonywaniu drobnych usprawnień,

kosmetycznych poprawek i powierzchniowych porządków po szturmach ostatniej rewolucji. Nowe teorie, które rodzą się przy tej robocie mają często naturę unifikującą i dają swym pasjonatom radość, którą i my odczuwamy zawsze, gdy doprowadzimy do syntezy pozornie niezwiązanych ze sobą pojęć, albo wyniesienia jakiegoś znanego problemu matematycznego na wyższy poziom abstrakcji.

Teoria profesora Z. nie należy do żadnej z wymienionych kategorii. Jest spóźnioną o trzysta lat teorią szturmującą, która dopiero dziś, dzięki niewyobrażalnemu zaawansowaniu dostępnego nam aparatu matematycznego, zyskała solidne podstawy aksjomatyczne. Zajęło mi kilka lat, by w pełni zdać sobie z tego sprawę. Pomimo moich ogromnych wysiłków, na przekór przychylności, z której oznakami spotykałem się w recenzjach moich prac i na wielu konferencjach, na które jeździłem bez opamiętania, starając się kontynuować dzieło Z., nie udało mi się pozyskać stałych współpracowników — za wyjątkiem kilku błyskotliwych, lecz nie widzących pełnego obrazu, doktorantów. Nie pozostaje mi nic innego, tylko pokładać w nich swoje nadzieje. Są podobni do mnie — to uparci, dociekliwi idealiści. Marzyciele. Niepewni swoich możliwości, ale z ładnie zarysowanym kompleksem wyższości. Dlatego poświęcam im cały mój wolny czas. Opowiadam im anegdoty o W., świadomie budując mit, który w chwilach zwątpienia — a te w naszym zawodzie zdarzają się co rusz — posłuży im za oparcie. Przyznam się, że gdy gruchnęła wieść, że potwierdzono hipotezę Poincarégo, i że odkrywca jest wyrzutkiem spoza środowiska akademickiego, przez ułamek sekundy stałem sparaliżowany, błagając w duchu Opatrzność, aby to był Witold! Niestety, chodziło o Perelmana, genialnego rosyjskiego świra, który nie przyjął ani medalu Fieldsa, ani czeku na milion dolarów ufun-

dowanego przez Instytut Matematyczny Claya.

*

Od śmierci Vima minęły cztery lata, w czasie których zbudowałem swoje życie wokół najściślejszego rdzenia rzeczywistości i rezultat jest chyba doskonały. Gdy zdarzył się wypadek na Błoniach, Mady była w pierwszym miesiącu ciąży. Zaofiarowałem swoją bezinteresowną pomoc, której nie odrzuciła. Pracowaliśmy we trójkę z psychologiem i przebrnęliśmy szczęśliwie przez pierwszy trymestr, kiedy to ryzyko poronienia jest największe. Z upływem tygodni Madeleine coraz bardziej skupiała się na sobie i zachodzących w jej ciele zmianach. Byłem z nią codziennie, przez wiele godzin. Zdobyłem też pewność, że gdybym zachorował lub zaniemógł, o Mady zadbają siostry zakonne z drugiego piętra.

M. urodziła zdrową, silną dziewczynkę, której dała na imię Elena. Niestety, poród był ciężki i słaby dotąd wzrok Madeleine pogorszył się na tyle, że młoda matka i dziecko potrzebowały ciągłej pomocy. Podjąłem się opieki nad nimi, a trudy dzieliłem z siostrami Klarysą i Lukrecją, które pełniły swoje obowiązki z wielką pokorą i oddaniem. Dwa następne lata walczyliśmy o wzrok Madeleine. Udało się — seria operacji, przeprowadzonych w szpitalu uniwersyteckim, zakończyła się sukcesem.

Nie braliśmy ślubu — po prostu poprosiła, abym z nią zamieszkał. Moja kochana, piękna Madeleine.

Aby spłacić kredyt, który zaciągnąłem, by pokryć koszty leczenia, musiałem podjąć pracę na drugiej uczelni, która — wedle zarządzenia rektora — nie mogła być wybrana spośród szkół krakowskich.

Dlatego dwa razy w tygodniu dojeżdżam do miasteczka X. Uczę wszystkiego, na czym się nie znam: finansów, obsługi komputera, rysunku technicznego – zgodnie z niewielkimi, dziwnymi wymaganiami tej placówki. Miasteczko X jest zapomniane przez Boga: gdy kończą się długie roztopy zimowe, obnażające miejskie nieczystości, przychodzą gęste mgły i trwają do prognozy lata. Potem wieje suchy wiatr, który sypie w oczy piachem z niesprzątniętych ulic. X jest pełne dziewcząt i chłopców, o ostrej, południowej urodzie, ubranych niedbale, co jeszcze podkreśla smukłość ich ciał. Chłopcy mają ogolone głowy i jeżdżą starymi, błyszczącymi samochodami. Ciągły wiatr wznieca uliczny brud, wysusza usta, drapie w gardle, niesie smak popiołu. Kobieta, która mnie mija, ma podkrążone oczy i mocny makijaż. Taszczy zakupy ze wzrokiem wbitym w ziemię. Idę do pracy w X ulicami bohaterów: Batorego, Żółkiewskiego, Piłsudskiego, Kościuszki, a potem ulicami kwiatów: Orchidei, Gardenii, Azalii, Konwaliową... Mijam blokowsko, betonowe klomby, betonowe ławki wkopane głęboko w ziemię, ogródki przydomowe, w których rozkwitają tajemnicze, egzotyczne kielichy kwiatów. Zatrzymuję się, by przypatrzeć się ich niezwykłej urodzie. Zza firanki mieszkania na parterze, obserwuje mnie, wsparty łapami na purpurowej poduszce, żółty, wylupiastooki pies. W kałuży pod nogami gromadzą się szypułki leszczyny.

Gdy wrócę do domu, zapomnę o wszystkim. Madeleine zagra *Grande valse brillante*, a ja będę tańczył z moją jasnowłosą córeczką Eleną.

Wczoraj rano Elenka uśmiechnęła się do mnie i powiedziała wyraźnie: *gabanga*. To jej pierwsze słowo, a może dwa słowa? Razem z Madeleine długo dyskutowaliśmy, co to może znaczyć. Być może *gołabek*, albo *dzień dobry*. Albo zupełnie coś

innego. Bo co można wiedzieć? Każdego dnia improwizujemy. Każdego dnia głowami przebijamy ciemność. Nasza sztuka jest tylko oślepieniem prawdą. Poza tym nie wiemy nic.

KONIEC